

**Graham MASTERTON**

**CZTERNAŚCIE OBLICZY STRACHU**

**(Przełożył : ZYGMUNT HALKA)**

## **PRZEDMOWA**

Możecie zwiedzić wszystkie zakątki świata i zbadać wszystkie kultury - od argentyńskiej po zuluską - i wszędzie, w każdej z nich, spotkacie się z posępnymi mitami i przerażającymi legendami.

Prawdopodobnie stworzyliśmy je sami, aby wytłumaczyć nasze lęki przed kapryсами natury, takimi jak: choroby, susza i wszelkie katastrofy, którym nie możemy zapobiec. Możliwe, że stworzyliśmy je po to, by lepiej zrozumieć istotę dobra i zła.

A może w ogóle ich nie tworzyliśmy? Może niektóre najczarniejsze diabły naszego piekła istniały, nim jeszcze powstailiśmy, czekając już na nas? Może aniołowie spadli z nieba, a jurajską nocą rządził bezimienny horror?

W różnych kulturach egzystują podobne do siebie demony; nie można więc odczuwać prawdopodobieństwa ich istnienia. Miewają różne imiona, na przykład: meksykański Micantecutli, wielki aztecki władca umarłych, który z opuszczoną głową pełza po ziemi, niczym pająk w swojej sieci, żeby pozbierać dusze niedawno zmarłych;

Azazel, żydowski kozioł ofiarny, który demoralizuje kobiety, ucząc je używania kosmetyków, a ich synów wprowadza w najokrutniejsze arkana sztuki wojennej; Ravana, hinduski odpowiednik szatana; Baba Jaga, czarownica słowiańska, która wypruwa ludziom wnętrzości i mieszka w domku na kurzej nodze.

Chociaż demony te mają różne imiona - uosabiają te same podstawowe ludzkie lęki: strach przed ciemnością, obawę o życie i zdrowie najbliższych, strach przed nędzą i przed zarazą.

Macie okazję poznać kilka spośród wielu rozmaitych kultur świata, biorąc udział w podróży do sfery najgłębszego ludzkiego strachu. Wasz bilet jest już zarezerwowany, paszport macie w ręku.

Jeśli się odważycie, zabiorę was na trzy kontynenty: zobaczycie Brugię w zimowej mgle, kwieciste wzgórza Fezu, jesienną Nową Anglię i parną Alabamę. Poznacie też różne wierzenia religijne: od rzymskokatolickich po mitologię australijskich aborygenów.

Niektóre z tych miejsc są wam znane. Nasze wspólne wycieczki doprowadzą was jednak do zakątków, których turyści nie ośmielają się odwiedzać. A po powrocie do swoich domów będzie się wam wydawać, że wokół czai się groza.

## **JAJKO**

Bayswater, Londyn

W drodze na lotnisko zatrzymajmy się na chwilę w owej zatłoczonej różnorodnym tłumem dzielnicy Londynu, położonej na północ od Hyde Parku, stanowiącej mieszaninę eleganckich budynków, bloków z wytwornymi apartamentami, domów czynszowych z kawalerkami i niektórych najlepszych restauracji etnicznych w Londynie. Bayswater jest częścią dzielnicy Paddington ("siedziby Irlandczyków"), która jeszcze do 1860 roku była wioską. Później bogaci zaczęli tam budować duże domy, obok których wyrosły mniej komfortowe domki ludzi, utrzymujących się z pracy dla tych pierwszych. Paddington został wybrany w 1860 roku na siedzibę Great Western Railway; także pierwsza na świecie linia kolejki podziemnej została poprowadzona pod ulicami Hayswater. To tutaj Tom Pointing otworzył jeden z pierwszych domów towarowych "tylko za gotówkę".

Tak jak wiele innych miejsc w Londynie, Bayswater w ciągu zaledwie kilkudziesięciu lat zmienił się z dzielnicy wytwornej w prawie nędzną. Pod koniec wieku na ulicach nie słychać już było turkotu eleganckich powozów konnych, a zamiast tego rozlegały się wrzaski dokerów irlandzkich, sprzedających pomarańcze i orzechy, gorące pyzy i jajka.

To jest opowiadanie o jednym tylko jajku. W tym wypadku to jedno jajko wystarczyło, a nawet było go za wiele.

Michael zorientował się, że z tym jajkiem jest coś nie w porządku, kiedy tylko wyjął je z rondelka. Było nienaturalnie ciężkie i wydawało się źle wyważone, jak coś w rodzaju wańki – wstańki .

Sygnetem stłukł skorupkę i odłamał dwa lub trzy kawałki. Wnętrze było bladobeżowe i lśniło od śluzu. Wyrzucił jajko ze wstrętem do wiadra na odpadki i nalał zimnej wody do rondelka. Zapalił gaz, ale po paru sekundach wyłączył go. Stracił już ochotę na jajko. Miał skłonności do nudności i nawet najmniejsza plamka krwi w żółtku powodowała, że potem tygodniami nie mógł jeść na śniadanie gotowanych jajek. Sięgnął po muesli i napełnił nim swoją jedyną miseczkę.

Siedząc na laminowanym stole kuchennym i słuchając drugiego programu radiowego, jadł w samotności muesli. Osamotnienie odczuwał tylko podczas jedzenia, a przeżuwanie muesli trwało w nieskończoność.

W kalendarzu wiszącym na pomalowanej na zielono ścianie kuchennej były tylko dwie notatki: w najbliższy czwartek wypadały jego trzydzieste drugie urodziny, a w następny piątek musi spotkać się z dentystą w sprawie zęba mądrości. Dziewczyna z kalendarza miała nieprawdopodobnie duże piersi; Michael zaczerpnął długopisem jeden z jej zębów.

Z okna widać było tylko gołą ścianę sąsiedniego Bayswater Hotel i skrawek nieba w kolorze kitu.

Otworzył wiadro na odpadki, żeby wysypać do niego resztki muesli. Jajko leżało wśród zużytych torebek herbaty, skórek pomarańczy i szczątków pudełka po biryani. Odłamały się dalsze kawałki skorupki i teraz widać było, że jasnobeżowe wnętrze to nie białko jajka, lecz śluzowata skóra, a skorupka kryła nagie, na pół wylęgłe pisklę. Co więcej, wydawało się, że pisklę się porusza.

Oddarł kawałek papierowego ręcznika i wyjął jajko z wiadra. Dopiero kiedy kładł je ostrożnie na płycie zlewozmywaka, zorientował się, że to wcale nie było pisklę. Poczł mrowienie pod włosami. W ostatnim kawałku skorupki leżało dziecko z twarzą skierowaną w dół. Malutkie, trzęsące się dziecko.

Michael oddarł więcej ręcznika i poskładał go w grubą poduszczkę. Łykając ślinę ze strachu i z powodu skurczów żołądka, wyjął małe, śliskie stworzonko ze skorupki i położył je na poduszczce. Był to chłopiec. Leżał, nie mogąc złapać tchu, wywijając malutkimi rączkami i kręcił na oślep główką, jak gdyby w poszukiwaniu sutka.

Michael nalał trochę mleka do talerzyka, umoczył w nim palec i przyłożył go do warg stworzonka. Natychmiast odwróciło głowę i zaczęło płakać słabym malutkim szlochem, który wydał się Michaelowi przerażający, a przy tym wzruszający.

- O co ci chodzi, nie lubisz mleka? - zapytał Michael.- Co powiesz na coś słodkiego?

Próbował dać dziecku miodu, napoju pomarańczowego, czekolady i syropu. Za każdym razem odwracało głowę, a jego płacz stał się histeryczny.

Michael wyszedł do sieni i podniósł telefon. Po schodach właśnie schodziła Liz, ruda dziewczyna mieszkająca bezpośrednio nad nim, ubrana w krótką zieloną spódniczkę i głęboko wyciętą, żółtą koszulkę. Michael wychylił się przez poręcz, żeby na nią popatrzeć.

- Tu pogotowie. Który oddział pan sobie życzy?

Wziął głęboki oddech i nic nie odpowiedział, Który oddział? Do kogo się telefonuje po znalezieniu dziecka w ugotowanym jajku?

- Nie... nie, dziękuję. Przepraszam, pomyliłem się.

Wrócił do kuchni. Dziecko leżało spokojnie na plecach, z rozpostartymi rączkami i nóżkami. Przyszło mu do głowy, że może nie żyje, ale potem stwierdził, że oddycha - krótkim, lepkiem dziecięcym oddechem.

Z paczki muesli wyjął woreczek, nożyczkami odciął tylną ściankę kartonu i włożył doń dziecko. Niemal godzinę przyglądał mu się w zakłopotaniu i zaciekawieniu.

- Co mam z tobą zrobić? - zapytał.

Poszedł do pracy. Dzień okazał się ospały, ponieważ był to środek lata, a nikt w lecie nie kupuje telewizorów i pralek automatycznych. Myślał ciągle o malutkim chłopcu w kartonie po muesli. Może to jedynie twór wyobraźni? Może nie będzie już żył, kiedy on sam wróci do domu?

Podczas lunchu w pizzerii zagadnął Willowby'ego, starając się nadać głosowi jak najzwyczajniejsze brzmienie:

- Czy dziecko może urodzić się w jajku? W takim zwykłym, jak kurze?

Willowby miał na twarzy pryszcze i nosił jedwabisty, młodzieńczy wąsik.

- Nie dziwię się, że nie masz dziewczyn - uśmiechnął się, szczerząc zęby.

Wróciwszy do domu, Michael poszedł prosto do kuchni. Wszystko było na miejscu - pudełko po muesli i mały chłopiec, wciąż śpiący. Michael patrzył na niego, obgryzając paznokieć kciuka. To niewiarygodne, myślał, a przy tym wydarzyło się naprawdę; został widać wybrany, żeby znaleźć to dziecko i zaopiekować się nim. Usiadł, pochylił głowę i wymamrotał:

- Dzięki Ci, Panno Błogosławiona, za ten cud. Przrzekam, że będę je żywił, będę się o nie troszczył i wychowam je, tak jak Ty wychowałaś Jezusa. I nazwę go Ian. Amen.

Ian rósł tak samo jak wszystkie dzieci, z tą różnicą, że jadł zupełnie coś innego niż jego rówieśnicy. Już drugiego dnia Michael odkrył, że chłopcu smakował rozcieńczony ocet winny, że lubił ogórki i w ogóle to, co było gorzkie i kwaśne. Rozwijał się jednak harmonijnie i dobrze i nim skończył rok, ważył niemal tyle, ile normalne dziecko.

Michael rzucił pracę w sklepie Curry'ego i poświęcił się całkowicie wychowywaniu dziecka. Wszyscy myśleli, że są ojcem i synem, chociaż w najmniejszym stopniu nie byli do siebie podobni. Michael kojarzył się z myszą. Ian miał białą skórę, był szczupły, o kędzierzawych, prawie czarnych włosach i oczach, które okazały się bezbarwne, jak gdyby nie były oczami, lecz oknami.

Ian miał cztery lata, kiedy siedząc z Michaeliem w kuchni i jedząc smażone jajko z tostem, zapytał:

- Skąd ja się wziąłem?

Michael przestał jeść.

- Znalazłem cię całkiem przypadkowo - odpowiedział.

- Więc nie jesteś moim ojcem?

- Jestem, ponieważ cię kocham. To wystarczy, żeby być ojcem.

- Co będzie, jeśli mój prawdziwy ojciec mnie poszukuje, co będzie, jeśli mnie znajdzie?

Michael wstał, podniósł Iana i przytulił do piersi.

- Teraz ja jestem twoim ojcem. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Podczas całego dzieciństwa Iana bawili się i rozmawiali na wszelkie możliwe tematy. Michael opowiedział Ianowi historię o muminkach i o Hemuleniu. Ian mówił o swoim prawdziwym ojcu - o tym, czy kiedyś się pojawi. Michael chodził na wszystkie szkolne mecze sportowe, stawał na końcowej linii boiska i dopingował drużynę Iana okrzykami: "Naprzód, Wood Park! Naprzód, Wood Park!" - tak samo jak prawdziwi ojcowie.

W czasie wakacji jeździli na wyspę Wight i do Devon. Grywali w krykieta i chodzili na plaże, na których fale odpływu zostawiały na piasku kształty żeber prehistorycznego potwora, kształty, które raziły ich w stopy.

W dniu siedemnastych urodzin Iana Michael zabrał go na curry do restauracji przy Queensway. Była ciepła hałaśliwa noc, kiedy szli Bayswater Road, wracając do domu. Stanęli przed mieszkaniem i wtedy Ian powiedział:

- Teraz muszę iść.

- Jak to?

- Przekroczyłem czas. Mój ojciec mnie zabiera. Mój prawdziwy ojciec.

- O czym ty mówisz?

Niespodziewanym gestem Ian wziął Michaela w ramiona i uściskał mocno.

- Miało być inaczej - wyszeptał mu do ucha. – Miałem stać się kimś zupełnie innym. Ale kochałeś mnie, a ponieważ mnie kochałeś, przeto zmieniłeś mnie. Zmieniłeś więcej rzeczy, niż ci się wydaje.

Po wypowiedzeniu tych słów odszedł. Michael stracił go z oczu prawie natychmiast. Zbyt wielu ludzi spacerowało, przepychało się, rozmawiało. Mignął mu jeszcze przelotnie koło wejścia do metra: szedł blisko wysokiego, bardzo wysokiego ciemnego mężczyzny. Rozmawiali z sobą jak ludzie, którzy mają wspólne sekrety. Michael poczuł w powietrzu zapach płomieni, spopieliałych nadziei... i octu.

- Ojczy, tęsknię do niego.

- Nie byłeś jego prawdziwym ojcem, mój synu. Jego prawdziwy ojciec ma do niego więcej praw niż ty.
- Ale ja go wychowywałem. Urodził się w jajku, a potem sam go wychowałem.
- Co to znaczy: urodził się w jajku?
- To prawda. Rozbiłem jajko, a on tam był. Zwinięty w kłębek.
- Zatem to diabeł. To syn szatana. Dzieci szatana wylęgają się z jajek. Jedno na każde pokolenie. Ciężko zgrzeszyłeś, mój synu, wychowując dziecko Księcia Ciemności.

Michaela zaarrestowano następnego dnia w Battle Perchery, w hrabstwie Sussex. Rozbił ponad siedemset jajek. Na policji zeznał: "Znalazłem jednego i ocaliłem go. Na pewno jest ich więcej".

Oczyścili go z żółtek i wpakowali do celi. Przycisnął policzek do pomalowanej na zielono ściany i myślał o Ianie. Myślał o jego szkolnym okresie, o jego dzieciństwie. Był pierwszym człowiekiem w historii ludzkości, który pokochał diabła.

## **SZARA MADONNA**

Brugia, Belgia

Chociaż Brugia jest miastem popularnym, tłumnie odwiedzanym przez turystów - zachowała atmosferę średniowiecznego mistycyzmu, odczuwalną szczególnie podczas chłodnych, jesiennych dni, gdy mgła wisi nad kanałami, a na wietrznych, brukowanych ulicach słychać tupot kroków niewidocznych ludzi. Stolica Flandrii Zachodniej zachowała pochodzące z dawnych czasów mury obronne z ufortyfikowanymi bramami, a Stare Miasto szczyci się kilkoma spośród najwspanialszych budowli gotyckich Europy, na przykład XIV-wieczną katedrą Świętego Zbawiciela i kościołem Najświętszej Marii Panny. To właśnie podczas spaceru wśród kolekcji posągów w kościele Najświętszej Marii Panny przyszedł mi do głowy pomysł napisania o szarej madonnie. Zdążyłem już obejrzeć liczne kamienne madonny, ozdabiające narożniki ulic Brugii, ale tu stałem przed "Madonną z dzieciątkiem" dłuta Michała Anioła, posągiem, który zdaje się żyć własnym życiem. Kiedy dotyka się ręki Madonny, to aż trudno uwierzyć, że nie jest ciepła.

Jedźcie do Brugii dla jej koronek, jej haftów i jej świeżych czekoladek. Zasmakujcie w kawiarniach i restauracjach i najedzcie się do syta gotowanych na parze małży i waterzooi - gulaszu z kurcząt. Przejdźcie się łodzią po kanałach, zwiedźcie galerie sztuki i pospacerujcie po parkach. Ale bądźcie ostrożni przy zapuszczaniu się pojedynczo w boczne uliczki i oglądajcie się za siebie, żeby sprawdzić, kto za wami idzie.

Zawsze wiedział, że musi wrócić do Brugii. Tym razem wybrał jednak zimę, kiedy powietrze było mgliste, kanały przybrały barwę zaparowanej cyny, a na wąskich, średniowiecznych uliczkach było znacznie mniej wlokących się ociężałe turystów.

Od trzech lat starał się nie myśleć o tym mieście. Ale zapomnieć o nim, tak naprawdę zapomnieć, nie potrafił. Wynajdywał rozmaite sposoby, żeby odwracać od niego uwagę, nie rozmyślać o Brugii. Telefonował więc do przyjaciół, włączał telewizor lub też wyjeżdżał samochodem na spacer, nastawiał aparaturę dźwiękową na największą głośność i osiągał stan nirwany.

Wszystko, byle tylko nie stać znów na drewnianym molo, naprzeciwko wystających okapów i przystani XIV-wiecznego szpitala zakaźnego, czekając, aż belgijscy pletwonurkowie policyjni znajdą ciało Karen. Tyle razy, w tyłu już snach stał tam - oszołomiony, przyrumieniony słońcem turysta amerykański z torbą na ramieniu i kamerą wideo - podczas gdy chorowicie niemrawe szpaki przysiadają na stromych, falistych dachówkach ponad nim, a niżej przelewała się i bulgotała woda w kanale.



Byle tylko nie przyglądać się lekarce w świeżym białym uniformie, ze splecionymi blond włosami: nie patrzeć, jak rozpiną suwak czarnego, poliwinylowego worka na trupy i jak pojawia się twarz Karen, nie biała, lecz prawie zielona.

- Nie cierpiała długo - usłyszał gardłowy, wydobywający się z głębi krtani, flamandzki akcent. - Szyja została złamana prawie natychmiast.

- Czym?

- Cienkim sznurkiem o średnicy około ośmiu milimetrów. Mamy próbki dla sądu, pobrane z jej skóry. To były albo konopie, albo splecione włosy.

Inspektor policji, Ben de Buy, kładąc mu na ramieniu poplamioną nikotyną dłoń, powiedział:

- Jeden z dorożkarzy twierdzi, że widział, jak pańska żona rozmawiała z zakonnica. To było mniej więcej dziesięć minut wcześniej, nim przewoźnik zobaczył jej ciało pływające w kanale.

- W którym miejscu?

- Na Hoogstraat, przy moście. Potem zakonnica skręciła na rogu Minderbroederstraat i woźnica stracił ją z oczu. Nie widział już pańskiej żony.

- Dlaczego miałby w ogóle zapamiętać moją żonę?

- Ponieważ była atrakcyjna, panie Wallace. Woźnice mają oko na przystojne kobiety.

- To wszystko? Rozmawiała z zakonnica? Czemu miałyby rozmawiać z zakonnica? Nie jest katoliczką... - Przerwał, a potem poprawił się: - Nie była katoliczką.

Inspektor de Buy zapalił cuchnącego papierosa Ernte 23 i wydmuchnął dym przez nos.

- Może pytała o drogę. Nie wiemy jeszcze - powiedział. - Odnalezienie zakonnicy nie powinno być trudne. Nosila jasnoszary habit, co jest dość niezwykle.

Dean został w Belgii jeszcze przez tydzień. Policja nie zdobyła żadnego nowego materiału dowodowego; nie było nowych świadków. Opublikowano zdjęcie Karen w gazetach i skontaktowano się z wszystkimi zakonami w Belgii, południowej Holandii i północnej Francji. Ale nie znaleziono żadnego śladu. Nikt nie widział, w jaki sposób umarła Karen. I nie było takiego klasztoru, w którym zakonnice nosiłyby szary strój; a zwłaszcza jasnoszary, o jakim mówił dorożkarz.

Inspektor de Buy oznajmił:

- Czemu nie zabierze pan żony z powrotem do Ameryki, panie Wallace? Tu, w Brugii, niczego więcej pan nie uzyska. Gdyby nastąpił przełom w sprawie, wyślę panu faks, dobrze?

Teraz Karen leżała na cmentarzu episkopalnym w Milford, w stanie Connecticut, pod purpurową warstwą klonowych liści, a Dean przybył ponownie do Brugii. Był zimny flandryjski

poranek, a on czuł się zmęczony i otumaniony po długim locie odrzutowcem, i bardziej samotny niż kiedykolwiek.

Przeszedł rozległy pusty plac, nazywany 't Zand, na którym tryskały fontanny, a we mgle majaczyła rzeźba grupy cyklistów. Prawdziwi cykliści dzwonili i pedałowali wściekle po kocich łbach. Przechodził koło kafejek z zaparowanymi, oszklonymi werandami, gdzie Belgowie o nalanych twarzach siedzieli, pijąc kawę, paląc i pochłaniając ogromne kremówki. Ładna dziewczyna o długich czarnych włosach odprowadziła go wzrokiem, kiedy ją mijał; twarz miała białą jak aktorka kina europejskiego. W osobliwy sposób przypominała mu twarz Karen tego dnia, kiedy spotkał ją po raz pierwszy.

Z podniesionym z powodu chłodu kołnierzem i parującym oddechem, przechodził koło sklepów sprzedających koronki i czekoladki, pocztówki i perfumy. Zgodnie ze starą flamandzką tradycją nad wejściem do każdego sklepu wisiała flaga przyozdobiona herbami wszystkich ludzi zamieszkujących dom w ciągu wieków. Trzy groteskowe ryby pływające w srebrzystym morzu. Mężczyzna, podobny do Adama, zrywający jabłko z drzewa. Kobieta o bladej twarzy i dziwnym, dwuznacznym uśmiechu.

Doszedł do rozległego, brukowanego rynku. Po przeciwległej stronie dwadzieścia lub trzydzieści zakonnic, wyglądających jak stado mew, w milczeniu dreptało we mgle. Wysoko nad nim prześwitywała strzelista wieża Dzwonnicy Brugijskiej - sześćset stopni stromo wznoszących się na szczyt. Dean znał te schody, ponieważ kiedyś, razem z Karen, pokonali wszystkie, dysząc i śmiejąc się podczas wspinaczki. Obok dzwonnicy stały dorożki furgonetki z lodami i kioski z parówkami. W lecie turyści czekali w długich kolejkach na zbiorowe wycieczki po mieście z przewodnikami. Ale nie dzisiaj. Trzy dorożki stały obok siebie, podczas gdy woźnice palili papierosy, a okryte kocami konie zanurzały głowy w workach z obrokiem.

Dean podszedł do woźniców i podniósł rękę w powitalnym geście.

- Trasa wycieczkowa, sir? - zapytał młody, nie ogolony ciemnooki mężczyzna w przekrzywionym, słomkowym kapeluszu.

- Dziękuję, nie dzisiaj. Szukam kogoś... jednego z waszych kolegów. - Dean wyjął złożony wycinek z gazety. - Nazywa się Jan de Keyser.

- Kto go szuka? Czy on ma jakieś kłopoty?

- Nie, nie. Nic z tych rzeczy. Może pan mi powiedzieć, gdzie on mieszka? Dorożkarze popatrzeli po sobie.

- Czy ktoś wie, gdzie mieszka Jan de Keyser? Dean wyjął portfel i wręczył im po sto franków. Znów popatrzeli po sobie, więc Dean dał im po jeszcze jednej setce.

- Oostmeers, w połowie ulicy, po lewej stronie - powiedział nie ogolony mężczyzna. - Nie znam numeru, ale jest tam mały sklep spożywczy, a jego domek jest następny, ma brązowe drzwi i brązowe szklane wazy w oknie. - Zakaszłał, a potem spytał: - Czy prócz tego chce pan pojechać na wycieczkę?

Dean potrząsnął głową.

- Nie, dziękuję. Myślę, że widziałem w Brugii wszystko, co kiedykolwiek chciałem zobaczyć... a może nawet więcej.

Odwrócił się i ruszył z powrotem wzdłuż Oude Burg, a potem, pod nagimi lipami, szedł Simon Stevin Plein. Autor pomysłu wprowadzenia waluty w systemie dziesiętnym tkwił ponuro na swoim cokole, spoglądając na sklep z czekoladą po drugiej stronie ulicy. Ranek był tak zimny, że Dean żałował, iż nie przywiózł pary rękawiczek. Wielokrotnie przechodził z jednej strony kanału na drugą.. Kanał był cuchnący i posepn i nasuwał mu myśl o śmierci.

Pierwszym razem przyjechali do Brugii z dwóch powodów. Przede wszystkim po to, by skończyć z Charleyem. Charley nie mówił, nie spacerował, nie ujrzał nawet światła dziennego. Ale sonda dźwiękowa powiedziała, że jeżeli się urodzi, będzie na zawsze kaleką - przez całe swoje życie pozostanie zaślinionym, kiwającym się chłopcem w wózku inwalidzkim. Dean i Karen siedzieli cały wieczór, płacząc i pijąc wino, i zdecydowali w końcu, że Charley będzie szczęśliwszy, jeśli pozostanie w sferze nadziei i pamięci - błyskiem rozjaśniającym przez sekundę ciemność - i umrze. Charley został usunięty i teraz Dean nie miał już nic, co przypominałoby mu Karen. Jej zbiór porcelany? Jej stroje? Jednego wieczoru otworzył szufladę z jej bielizną, wyjął parę majtek i trzymając przy nosie, rozpaczliwie wciągał powietrze, mając nadzieję poczuć jej zapach. Ale majtki były wyprane, a Karen nie było - jak gdyby w ogóle nie istniała.

Przyjechali do Brugii także dla sztuki: do Groeninge Museum, do jego XIV - wiecznych obrazów religijnych i jego kolekcji mistrzów współczesnych; przyjechali dla Rubensów, van Eycków i Magrittesów. Dean był weterynarzem, a jednocześnie zapalonym malarzem amatorem, Karen zaś projektantką tapet. Spotkali się po raz pierwszy blisko siedem lat temu, kiedy Karen przyprowadziła do jego gabinetu swego złotawego psa myśliwskiego, żeby Dean zajrzał mu do uszu. Dean spodobał jej się od samego początku. Zawsze lubiła wysokich, subtelnych, ciemnowłosych mężczyzn ("Wyszłabym za Clarka Kenta, gdyby Lois Lane mnie nie ubiegła"). Ale tym, co najbardziej ją urzekło, była czułość i cierpliwość, jaką Dean zajmował się jej psem. Po ślubie śpiewała mu często piosenkę Love Me, Love My Dog, akompaniując sobie na starym banjo.

Teraz Buffy także już nie żył. Tęsknił za Karen tak rozpaczliwie, że Dean w końcu go uśpił. Oostmeers była wąską ulicą, składającą się z małych, schludnych, szeregowo stojących domków; każdy z nich miał wypucowane okno frontowe, świeżo pomalowane drzwi i nieskazitelnie czyste

koronkowe firanki. Dean łatwo odnalazł sklepik spożywczy, ponieważ był jedyny, nie licząc sklepików handlarzy antykami. Sąsiedni domek był bardziej odrapany niż inne, a brązowe szklane wazy w oknie pokrywała warstwa kurzu. Przycisnął dzwonek i potarł dłonie, próbując je rozgrzać.

Po długiej chwili usłyszał, jak ktoś schodzi po schodach, potem kaszle a jeszcze później drzwi frontowe uchyliły się nieco. Przez szparę spoglądał młody mężczyzna o twarzy koloru szarego mydła.

- Szukam Jana de Keysera.

- To ja. Czego pan chce?

Dean wyjął wycinek z gazety i pokazał mu.

- Pan był ostatnią osobą, która widziała moją żonę żywą.

Młody człowiek marszczył twarz nad wycinkiem przez blisko pół minuty, jak gdyby niedowidział, a potem rzekł:

- To było dawno temu, proszę pana. Od tamtej pory choruję.

- Czy mimo to mogę z panem porozmawiać?

- Po co? Wszystko, co powiedziałem, jest w gazecie.

- Chciałbym dowiedzieć się, jak to się stało.

Jan de Keyser zaniósł się wysokim, rżącym kasztem.

- Zobaczyłem, jak pańska żona rozmawia z zakonnica... i już jej nie było. To wszystko. Obróciłem się na siedzeniu i zobaczyłem, że zakonnica wchodzi w Minderbroederstraat, w słoneczny blask, i też znika. I to było wszystko.

- Widział pan kiedykolwiek przedtem zakonnice ubraną w podobnie jasnoszary habit?

Jan de Keyser potrząsnął przecząco głową.

- Nie wie pan, skąd ona mogła być? Z jakiego zakonu? Na przykład dominikanie, franciszkanie lub coś takiego?

- Nie znam się na zakonnicach. Ale może to nie była zakonnica.

- Co pan ma na myśli? Zeznał pan policji, że to była zakonnica.

- A co, według pana, miałem powiedzieć? Że to był posąg?

Mam już dwa wyroki z powodu narkotyków. Zamknęliby mnie albo wysłali do tego przekłętego szpitala dla idiotów w Kortrijk.

- O czym pan mówi... O posągu? - zapytał Dean.

Jan de Keyser znów zakaszlał i zaczął zamykać drzwi.

- Czemu pan się dziwi? To jest Brugia.

- Ciągle nie rozumiem.

Drzwi zawahały się tuż przed zatrzaśnięciem. Dean wyciągnął portfel, ostentacyjnie wyjął z niego trzy stufrankowe banknoty i trzymał przed sobą.

- Przyjechałem po to kawał drogi, Jan. Muszę wiedzieć wszystko.

- Niech pan poczeka - odparł Jan de Keyser i zamknął drzwi.

Dean czekał. Spojrzał w mglistą Oostmeers i zobaczył młodą dziewczynę z rękami w kieszeniach, stojącą na rogu Zonnekemeers. Nie był pewny, czy go obserwowała, czy nie.

Po dwóch lub trzech minutach drzwi znów się otworzyły i Jan de Keyser wyszedł na ulicę, ubrany w brązową, skórzaną kurtkę. Na szyi miał szalik w kratkę. Śmierdział papierosami i jakimś mazidłem.

- Byłem bardzo chory od tego czasu. Moje płuca. Może to nie miało nic wspólnego z zakonnica, a może miało. Ale wie pan, jak mówią: plaga jak raz dopadnie człowieka, to już go trzyma.

Poprowadził Deana z powrotem drogą, którą tamten przyszedł - w poprzek kanałów, koło Gruuthuuse Museum wzdłuż Dijver do Vismarkt. Szedł bardzo szybko, garbiąc wąskie plecy. Konne pojazdy turkotały po ulicach jak wozy ze skazańcami, z dzwonnicy rozległ się dźwięk dzwonów. Brzmiał mocno i słychać w nim było obcą muzykę, europejską. Ten dźwięk przypominał Deanowi święta Bożego Narodzenia i wojny - pomyślał, że może to właśnie jest charakterystyczne dla Europy.

Przez most doszli do rogu Hoogstraat i Minderbroederstraat. Jan de Keyser wskazał palcem w jedną i w drugą stronę.

- Wiozę Niemców, pięcio- czy sześćoosobową rodzinę niemiecką. Jadę wolno, bo mój koń jest zmęczony, rozumie pan? Widzę tę kobietę w obcisłych, białych szortach i niebieskiej koszulce, i patrzę na nią, ponieważ jest ładna. To była pańska żona, prawda? Jest dobrze zbudowana. Obracam się i patrzę, ponieważ jest ładna, poza tym rozmawia z zakonnica. Z zakonnica ubraną na szaro, tego jestem pewny. Rozmawiają tak, jakby się ze sobą o coś spierały. Rozumie pan? Jakby sobie coś zawzięcie udowadniały. Pańska żona podnosi ramiona, o tak, raz i jeszcze raz, jakby mówiła: "Co ja zrobiłam? Co ja zrobiłam?" A zakonnica potrząsa głową. Dean rozejrzał się dookoła, zawiedziony i zakłopotany.

- Mówił pan coś o posągach. I o pladze.

- Niech pan spojrzy w górę - powiedział Jan de Keyser. - Na rogu prawie każdego budynku zobaczy pan kamienną madonnę. Tu jest jedna z największych, wielkości człowieka.

Dean podniósł oczy i zobaczył łukowato sklepioną niszę, wbudowaną w róg budynku, przy którym rozmawiali. W niszy stał posąg Marii Panny z dzieciątkiem Jezus w ramionach, patrzącej smutno w dół, na ulicę.

- Widzi pan teraz? - zapytał Jan de Keyser. - W Brugii jest tyle do oglądania... jeśli tylko podniesie się głowę. Na drugich piętrach jest inny świat. Posągi, chimery, flagi. Proszę spojrzeć na tamten budynek. Widać na nim twarze trzynastu diabłów. Zostały tam umieszczone, żeby nie dopuścić szatana i żeby uchronić mieszkańców domu przed czarną śmiercią.

Dean przechylił się przez poręcz i spojrział w dół, na wodę. Zrobiło się tak mgliście i lodowato, że nie mógł nawet rozpoznać własnej twarzy: była zamazaną plamą, jak gdyby ktoś, robiąc zdjęcie, poruszył aparatem.

Jan de Keyser mówił dalej:

- W czternastym wieku, kiedy na miasto spadła plaga, mówiło się, że mieszkańcy Brugii są pełni grzechu, rozumie pan? I że Bóg zesłał na nich karę. Ustawili więc na każdym rogu posągi Marii Świętej, żeby odpędzały zło. I obiecali Marii Świętej, że będą jej zawsze posłusznymi, i że będą oddawali jej cześć, jeżeli uchroni ich przed plagą. Rozumie pan, o co chodzi? Zawarli wiążącą umowę.

- A co się miało stać, gdyby jej nie dotrzymali?

- Panna Święta przebaczyłaby, bo Panna Święta zawsze przebacza. Ale posąg Panny Świętej wymierzyłby im karę.

- Posąg? W jaki sposób posąg mógłby kogoś ukarać?

Jan de Keyser wzruszył ramionami.

- Postawili je obłudnie. Postawili je w fałszywej wierze. Posągi wzniesione w fałszywej wierze będą zawsze niebezpieczne, ponieważ obrócą się przeciw ludziom, którzy je postawili, ci tymczasem będą spodziewali się nagrody za ich wzniesienie.

Dean nie mógł się w tym wszystkim połapać. Zaczynał podejrzewać, że woźnica był nie tylko fizycznie chory, lecz także niezrównoważony umysłowo, i zaczął żałować, że z nim tu przyszedł.

De Keyser wskazał najpierw na posąg Marii Panny, potem na most, później na rzekę i powiedział:

- To nie są tylko kamienie, to nie są tylko rzeźby. Kryją w sobie wszystkie ludzkie intencje, niezależnie od tego, czy te intencje są czyste, czy niegodziwe. To nie są tylko kamienie.

- Co próbuje mi pan dać do zrozumienia? Co pan zobaczył?

- Szarą madonnę - odrzekł. - Jeśli ktoś wobec niej zawini, na pewno za to zapłaci.

Dean wyjął następne trzy stufrakowe banknoty, zwinął je i wetknął Janowi de Keyserowi do kieszeni kurtki.

- Dziękuję, kolego - powiedział. - Ja też cię kocham. Przyleciałem aż z New Milford, z Connecticut, żeby usłyszeć, że moja żona została zabita przez posąg. Dziękuję ci. Pij zdrowo.

De Keyser złapał go kurczowo za rękaw.

- Nie rozumie pan. Opowiadano panu bzdury. Usiłuję powiedzieć panu prawdę.

- Jakie znaczenie ma prawda... dla pana?

- Nie musi mnie pan obrażać. Prawda jest dla mnie tak samo ważna jak dla innych. Cóż zyskałbym, okłamując pana? Parę setek franków. Więc. . . jak będzie?

Dean popatrzył na szarą madonnę w niszy ściennej. Potem znów spojrział na Jana de Keysera.

- Nie wiem - odrzekł bezbarwnie.

- Więc proszę mi dać pieniądze, a o filozofii i o zasadach moralnych ewentualnie porozmawiamy później.

Dean nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Wręczył Janowi de Keyserowi należne mu pieniądze i patrzył, jak tamten oddala się pośpiesznie, z rękami w kieszeniach, kołysząc się w ramionach. Jezu - pomyślał - starzeję się. Starzeję się albo Jan de Keyser z premedytacją wodził mnie za nos.

Stał jednak w dalszym ciągu na rogu ulicy i patrzył na szarą madonnę, aż zimno wdarło się do jego zatok i zaczęło mu kapać z nosa. Szara madonna, spokojna i dostojna, patrzyła na niego nie widzącymi, kamiennymi oczami, ze smutkiem matki, która wie, że jej dziecko dorośnie, że pozna smak zdrady i że przez przyszłe wieki mężczyźni i kobiety będą wzywali imienia Boga nadaremno.

Dean ruszył z powrotem wzdłuż Hoogstraat na rynek i wszedł do jednej z kafejek obok wejścia do dzwonnicy. Usiadł w kącie, pod wyrzeźbioną w drewnie statuetką jakiegoś zezowatego średniowiecznego muzyka. Zamówił małą kawę z ekspresu i brandy marki Asbach dla rozgrzewki. Ciemna dziewczyna siedząca po drugiej stronie kafejki uśmiechnęła się do niego i odwróciła głowę. Grająca szafa grała Guantanamerę.

Był już prawie gotów do wyjścia, kiedy wydało mu się, że zobaczył szarą postać zakonnicy, przesuwaną się wzdłuż zaporowanego okna.

Zawahał się, ale zaraz wstał od stolika, podszedł do drzwi otworzył je. Był pewien, że widział zakonnice. Gdyby nawet była to inna zakonnica, nie ta, z którą rozmawiała Karen w dniu, kiedy została uduszona i wrzucona do kanału, to miała na sobie również jasnoszary habit. Może należała do tego samego zakonu i pomogłaby mu znaleźć tę, której szuka, żeby mógł się dowiedzieć, o czym Karen z nią rozmawiała.

Grupa dzieci szkolnych, za którą postępowało sześciu czy siedmiu nauczycieli, szła po wachlarzowato ułożonych kamieniach rynku. Dean był pewien, że za nauczycielami mignęła mu szaro ubrana postać, podążająca szybko ku łukowatemu wejściu do dzwonnicy. Ruszył pośpiesznie

w poprzek rynku właśnie w chwili, kiedy rozpoczęły bić dzwony, a z dachów wokół placu zerwały się szpaki. Zobaczył, jak postać znika w zamglonym, cienistym wejściu, i zaczął biec.

Był już prawie przy bramie, kiedy jakaś dłoń złapała go za rękaw tak, że niemal stracił równowagę. Odwrócił się. Był to kelner z kafejki, blady i zadyszany.

- Musi pan zapłacić - powiedział.

- Oczywiście, zapomniałem, przepraszam - odparł Dean i w pośpiechu wyjął portfel. - Proszę, reszty nie trzeba. Śpieszę się... w porządku?

Zostawił oszołomionego kelnera na środku placu i wbiegł do bramy. Za nią był obszerny dziedziniec. Kamienne schody po prawej stronie wiodły ku wejściu do wieży dzwonnicy. Nie było innej drogi, którą mogłaby pójść zakonnica.

Skoczył po stopniach, pchnął ogromne dębowe drzwi i wszedł do środka. Młoda kobieta w podniesionych na czoło okularach, z ciasno upiętymi na czubku głowy włosami, siedziała za okienkiem biletowym, malując sobie paznokcie.

- Czy widziała pani przechodzącą tędy zakonnice?

- Zakonnice? Nie, nie widziałam.

- W takim razie proszę o bilet.

Czekał niecierpliwie, podczas gdy kasjerka wręczała mu bilet i ulotkę z historią dzwonnicy. Potem otworzył wąskie drzwi wiodące ku kręconym schodom i zaczął po nich wbiegać.

Były bardzo strome, więc wkrótce musiał zwolnić. Wszedł się mozolnie, aż doszedł do małej galeryjki w jednej trzeciej drogi na górę. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Jeśli rzeczywiście była tu jakaś zakonnica, to na pewno by ją usłyszał.

I rzeczywiście mógł rozpoznać wyraźne stuk-puk czyichś stóp na zużytych kamiennych stopniach. Dźwięk wracał echem od podnóża klatki schodowej i brzmiał, jakby ktoś rzucał kamyki do pustej studni. Dean sięgnął po grubą, śliską linę, służącą za poręcz, i znów zaczął się wspinać, z jeszcze większą determinacją, chociaż ociekał zimnym potem i brakowało mu tchu.

Im wyżej, tym klatka schodowa wieży dzwonnicy stawała się coraz węższa i ciaśniejsza, a kamienne stopnie zostały zastąpione drewnianymi. Dean mógł widzieć przed sobą jedynie trójkąty kolejnych schodków, spoglądając w dół widział to samo. Ponad tuzinami zwojów spirali schodów nie było okien, tylko ściana z ociosanych kamieni, i chociaż znajdował się tak wysoko nad ulicą, poczuł się, jakby był uwięziony w pułapce. Od szczytu dzwonnicy wciąż jeszcze dzieliły go setki stopni; tyle samo musiałby pokonać, gdyby chciał się znaleźć z powrotem na dole.

Zatrzymał się, żeby odpocząć. Kusilo go, by zrezygnować. Zmusił się jednak i wspiął o dalsze sześć stopni, i wtedy się zorientował, że doszedł do wysoko sklepionej galerii, która mieściła mechanizm kurantów zegara - gigantyczną, średniowieczną szafę grającą. Ogromny bęben



był obracany mechanizmem zegarowym, a skomplikowany układ metalowych czopów uruchamiał dzwony.

Na galerii panowała cisza. Jedynym dźwiękiem było delikatne, cierpliwe tykotanie mechanizmu, od prawie pięciuset lat odliczającego bez przerwy kolejne godziny. Wspiąć się po tych stopniach i patrzeć na tę samą maszynę mógł ojciec Kolumba.

Dean miał zamiar odpocząć parę chwil dłużej, ale usłyszał szybki, tajemniczy, szeleszczący dźwięk po drugiej stronie krużganka. Kiedy tam spojrział, błysnął mu jasnoszary rąbek spódnicy, znikający na następnej kondygnacji schodów.

- Zaczekaj! - krzyknął.

Przebiegł krużganek i zaczął się wspinać. Tym razem słyszał nie tylko odgłos kroków, lecz również szelest wykrochmalonej bawełny; raz czy dwa razy nawet mu mignęła.

- Zaczekaj! - zawołał. - Nie mam zamiaru cię straszyć, chcę tylko z tobą porozmawiać!

Zakonnica jednak wbiegała na górę w tym samym energicznym tempie, a jej postać w jasnoszarym habicie wciąż pozostawała poza zasięgiem wzroku.

W końcu powietrze zaczęło się stawać zimniejsze i świeższe. Dean stwierdził, że znajdują się prawie u szczytu. Pomyślał, że zakonnica nie będzie mogła pójść już nigdzie dalej i będzie musiała z nim porozmawiać.

Wyszedł na krużganek widokowy dzwonnicy i rozejrzał się dookoła. We mgle widać było tylko pomarańczowy kolor dachów Brugii i matowy połysk kanałów. W pogodne dni widok rozciągał się na kilometry nad płaskim krajobrazem Flandrii - w stronę Ghent i Kortrijk i Ypres. Ale dziś Brugia była tajemnicza i jakby zmniejszona, podobna bardziej do obrazu Brueghla niż do rzeczywistego miasta. W powietrzu unosił się zapach mgły i kanałów.

Z początku nie mógł dostrzec zakonnicy. Ale musiała tu być, chyba żeby wyskoczyła. Okrążył kolumnę i zobaczył ją - stała plecami do niego, spoglądając w stronę bazyliki Świętej Krwi.

Podszedł do niej. Nie obróciła się ani nie dała żadnego znaku, że wie, iż on tam jest. Stał parę kroków za nią i czekał obserwując, jak słaby powiew porusza jasnoszarą tkaninę jej habitu.

- Jest mi bardzo przykro, jeśli panią przestraszyłem - powiedział. - Nie chciałbym, żeby pani odniosła wrażenie, że ścigam ją lub coś podobnego. Ale trzy lata temu tu, w Brugii, umarła moja żona, a tuż przed jej śmiercią widziano, jak rozmawiała z zakonnicej. Zakonnicej w jasnoszarym habicie, w takim, jaki pani nosi.

Umilkł i czekał. Zakonnica pozostała na swoim miejscu, milcząc i nie ruszając się.

- Czy mówi pani po angielsku? - zapytał ostrożnie Dean. - Jeśli nie, znajdę kogoś, kto będzie tłumaczył.

Zakonnica wciąż nie reagowała. Dean zaczął się denerwować. Nie chciał jej dotykać ani zmuszać siłą do odwrócenia się. Zależało mu jednak, by przemówiła albo choćby spojrzała na niego, aby mógł ujrzeć jej twarz. Może należała do milczącej reguły? Może była głucha? A może po prostu nie chciała z nim rozmawiać?

Myślał o szarej madonnie i o tym, co powiedział mu Jan de Keyser: "To nie są tylko kamienie, to nie są tylko rzeźby. Kryją w sobie wszystkie ludzkie intencje, niezależnie od tego, czy te intencje są czyste, czy niegodziwe. To nie są tylko kamienie".

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu wstrząsnął nim dreszcz - i nie był to dreszcz wywołany jedynie chłodem. Doznawał uczucia, że przebywa w obecności czegoś przerażającego.

- Ja... ja chciałbym, żeby pani się odezwała – rzekł głośno, chociaż jego głos brzmiał niepewnie.

Zapadła bardzo długa cisza. Nagle dzwony zaczęły bić z taką mocą, że Deana niemal ogłuszyło. Wydawało mu się, że gałki oczne wibrują w oczodołach. Zakonnica obróciła się - nie było to odwrócenie głowy, lecz gładki obrót, jak gdyby stała na tarczy poruszającej się wokół własnej osi. Spojrzała na niego. Dean odwzajemnił to spojrzenie... i strach wywołał w nim uczucie lodowatych mdłości.

Jej twarz była z kamienia, oczy zostały wyrzeźbione w granicie; nie mogła mówić, ponieważ jej wargi były również kamienne. Spoglądała na niego - ślepa, smutna i oskarżająca - a on nie miał dość tchu, żeby krzyczeć.

Cofnął się o krok, potem o drugi. Szara madonna sunęła za nim, odcinając mu drogę do klatki schodowej. Sięgnęła pod fałdy habitu i wyciągnęła cienki sznur, spleciony z ludzkich włosów; takie sznury splatały z własnych włosów zakonnice znajdujące się w stanie depresji lub hysterii... by się na nich powiesić. Lepiej było spotkać się z Chrystusem w niebie, niż żyć w strachu i wstręcie do samej siebie.

Dean powiedział:

- Nie podchodź do mnie. Nie wiem, czym jesteś ani jaka jesteś, ale nie podchodź.

Był pewny, że się lekko uśmiechnęła. Miał też pewność, że coś wyszeptwała.

- Co? - zapytał. - Co?

Zbliżała się coraz bardziej. Była z kamienia, lecz mimo to oddychała, uśmiechała się i wyszeptwała:

- Charley, to za Charleya.

- Co?! - krzyknął ponownie.

Złapała jego lewe ramię w miazdzącym uścisku, wstąpiła na platformę biegnącą wzdłuż okien i jednym zdecydowanym obrotem na plecach przetoczyła się przez parapet i ześlizgnęła na pomarańczowe dachówki wieży.

- Nie! - wrzasnął Dean, próbując oderwać się od niej.

Ale szara madonna nie była zwykłą kobietą. Trzymała go mocno i okazała się tak silna, że przewlokła go poza parapet. Poczuł, iż ześlizguje się po mokrych od mgły dachówkach, na których końcu znajdowała się ołowiana rynna... potem pozostał już tylko pionowy spadek na bruk dziedzińca, rozciągającego się pięćdziesiąt dwa metry niżej.

Próbował prawą ręką uczeplić się dachówek. Ale szara madonna okazała się dla niego za ciężka. Była z litego granitu. Jej ręka była z litego granitu i mimo że nie miała giętkości ręki ludzkiej, dzierżyła go mocno.

Przetoczyła się przez krawędź dachu. Dean złapał się rynny i przez jeden moment straszliwego wysiłku zawisnął w powietrzu, razem z szarą madonną obracającą się pod nim i mającą na twarzy wyraz takiego spokoju, jaki może mieć tylko twarz Marii Panny. Lecz rynna była ze średniowiecznego ołowiu, miękkiego i zniszczonego, i powoli wyginała się pod ich ciężarem, aż w końcu puściła.

Dean spojrział w dół, na plac. Zobaczył dorożki, samochody i ludzi idących w rozmaitych kierunkach. Usłyszał świst powietrza w uszach.

Uczeplił się kurczowo szarej madonny, ponieważ była jedynym trwałym przedmiotem, którego mógł się złapać. Trzymał ją w objęciach, kiedy spadali. Niewiele osób widziało upadek, ale ci, którzy go widzieli, podnieśli w przerażeniu ręce, jak ludzie tracący cały swój dobytek. spadał i spadał z Dzwonnicy Brugijskiej: dwie ciemne postacie przebijające mgłę, obejmujące się niczym para kochanków, przez moment błysnęła Deanowi irracjonalna myśl, że wszystko skończy się dobrze, że będzie spadał i spadał bez upadku. Ale nagle zobaczył, że dachy domów są znacznie bliżej, a bruk powiększa się coraz szybciej. Uderzył w dziedziniec, przygnieciony madonną. Ważyła ponad pół tony i rozpadła się w zetknięciu z kamiennym podłożem, podobnie jak on. Przypominało to wybuch bomby. Głowy oderwały się od korpusów i potoczyły daleko, kamienne ręce i ludzkie ręce poleciały w powietrze.

Potem było już cicho, nie licząc przytłumionych odgłosów ruchu ulicznego, trzepotu skrzydeł szpaków siadających ponownie na dachach i dźwięku dzwonekó rowerowych.

Inspektor Ben de Buy stał wśród szczątków mężczyzny i madonny, patrząc na dzwonnice; dym papierosowy wypuszczany z jego nosa mieszał się z oparami mgły.

- Spadł z samego szczytu - powiedział do swojego asystenta, sierżanta van Pepera.
- Tak, panie inspektorze. Dziewczyna sprzedająca bilety może go zidentyfikować.
- Czy niósł ze sobą posąg, kiedy kupował bilet?
- Nie, naturalnie, że nie. Nie mógłby go nawet unieść. Był o wiele za ciężki.

- Ale znajdował się z nim tam na górze, prawda? W jaki sposób udało mu się wnieść naturalnej wielkości granitowy Posąg Marii Panny po schodach? To niemożliwe. A nawet gdyby było możliwe, to po co? Obciążenie jest potrzebne temu, kto się chce utopić, ale nie temu, kto chce skoczyć ze szczytu dzwonnicy.

- Nie wiem, panie inspektorze.

- Ja też nie... i myślę, że tak naprawdę to nie chcę wiedzieć.

Stał jeszcze ciągle wśród krwi i rozbitych kamieni, gdy pojawił się jeden z jego najmłodszych detektywów, niosąc w ramionach jakiś szarobiały przedmiot. Kiedy podszedł bliżej, inspektor de Buy zobaczył, że mężczyzna trzyma kamienne dziecko.

- Co to jest? - zapytał.

- Dzieciątko Jezus - odparł detektyw, czerwieniąc się. - Znaleźliśmy je na rogu Hoogstraat, w niszy, w której zwykle stała kamienna madonna.

Inspektor de Buy spoglądał przez chwilę na granitowe dziecko, potem wyciągnął rękę.

- Proszę mi to podać - powiedział i detektyw wręczył mu je. Inspektor podniósł dziecko nad głowę i z całej siły rozbił o bruk. Rozpadło się na pół tuzina kawałków.

- Panie inspektorze...? - zdumiał się sierżant.

Inspektor de Buy poklepał go po ramieniu.

- Nie będziecie oddawali czci fetyszom, sierżancie van Peper. Teraz wiecie już dlaczego.

Wyszedł z dziedzińca dzwonnicy. Na zewnątrz, na placu czekał ambulans; jego szafirowe światła błyskały we mgle. Ben de Buy powędrował na Simon Stevin Plein, gdzie zostawił swój samochód. Zamajaczył nad nim spizowy posąg Simona Stevina w kubraku i w kapeluszu, czarny i groźny. Inspektor wyjął kluczyki do wozu i zawahał się przez moment. Był pewien, że Simon Stevin lekko się poruszył.

De Buy stał nieruchomo obok swojego citroena, z kluczykami w ręku, nie oddychając, nasłuchując, czekając. Ktokolwiek by go zobaczył, pomyślałby, że to posąg.

**J.R.E. PONSFORD**

Harrow, Middlesex

Miejszem akcji opowiadania o J.R.E. Ponsfordzie jest prywatna szkoła dla chłopców, gdzieś w południowej Anglii. Moi synowie uczyli się w Harrow, ale nie było tam takiego znęcania się, jakie zostało opisane w tym opowiadaniu, a wszelkie podobieństwa mogą być jedynie przypadkowe. Większość szczegółów zrelacjonowali mi chłopcy z innych brytyjskich szkół prywatnych - z Eton, Winchesteru, Westminsteru i Dulwich. Nie ma na świecie niczego, co można by porównać z brytyjską prywatną szkołą dla chłopców, z jej segregacją płci i niezwyklejącym rytuałem. Język takiej szkoły jest karkołomną mieszaniną języka przedszkola z językiem voodoo. Dzwonek nie jest po prostu dzwonkiem: w szkole musi nazywać się "Ding-Dong".

Tym razem traficie do świata, do którego wstęp mają tylko nieliczni bogaci i uprzywilejowani; to świat, w którym cieszy się uznaniem konformizm, a główną ambicją jest "włączenie się do interesów tatusia". Pokażę wam także, że konformizm i uprzywilejowanie prowadzą często do wysokiego poczucia obowiązków społecznych.

Szkoła w Harrow stoi na wzgórzu z którego rozciąga się nieporównywalny widok na północno-zachodni Londyn. Założył ją w 1571 roku bogaty ziemianin, John Lyon, w celu kształcenia chłopców pochodzących z ubogich rodzin; obecnie jednak jest jedną z najdroższych szkół na świecie. Sala czwartej klasy pamięta rok 1611; na umieszczonych w niej tablicach wygrawerowane są nazwiska sławnych uczniów, takich jak: Byron, Robert Peel Sheridan, Palmerston i Winston Churchill (ten ostatni nie wytrzymał w tej szkole).

Dla naszego bohatera jego szkoła staje się również nie do zniesienia. Ale mity i legendy - nieważne do jakiego stopnia przerażające – zawsze przynoszą rozwiązanie...

Ukośne promienie popołudniowego słońca przenikały jasnobursztynowe szyby okien pawilonu krykietowego i rozświetlały go jak kaplicę. Przez otwarte świetliki w dachu Kieran słyszał dalekie odgłosy kija uderzającego w piłkę, po czym następowały okrzyki zachęty i szmery uznania.

Był czwartek, Pierwsza Jedenastka przeciwko Milton College, obecność obowiązkowa. Ale Kieran bardzo rzadko chodził na mecze krykieta. Trzymał się z dala od wszelkich szkolnych sytuacji, w których Benson i jego kumple mogliby go dopaść. Był w szkole już od pięciu tygodni, od początku letniego semestru, mimo to Benson i jego przyjaciele gonili go i dokuczali mu równie zaciekle jak pierwszego dnia.

Wszystko zaczęło się przy rozpakowywaniu kufra. Marker, prefekt domu Mallarda, wysoki, dobrze urodzony, pryszczaty blondyn, wszedł po przyjacielsku do jego pokoju, kiedy Kieran wyjmował piżamy.

- Jesteś dobry w jakimś eccer, O'Sullivan? - zapytał.

Kieran przestudiował dokładnie informator szkoły w Heaton dla nowo wstępujących, więc wiedział, że eccer w szkolnym slangu oznaczało jakąkolwiek grę. Ducker to było pływanie, za to - przez przekorę - short ducker oznaczało bieg przełajowy,

- Gram w krykieta, sir - zadeklarował.

- Jesteś Irlandczykiem, O'Sullivan, prawda? Wymień więc nazwiska trzech sławnych irlandzkich graczy w krykieta. I nie musisz nazywać mnie "sir". Zwracasz się tak do nauczycieli i tylko wtedy, gdy rozmawiasz z nimi bezpośrednio. Za ich plecami możesz nazywać ich, jak zechcesz.

Kieran zaczerwienił się. Był niski, jak na swój wiek, kędzierzawy, miał obsypaną piegami nasadę nosa i zielone, jak jego matka, oczy; zielone niczym kulki do gry w marbles, koloru morskiej toni. Był stypendystą.

- Chyba nie znam żadnych irlandzkich krykiecistów - przyznał się.

- Właśnie - powiedział Marker. - A co myślisz o poćwiczeniu krykieta dziś po południu?

- Dobrze - odparł Kieran. Już tęsknił za domem. Matka odprowadziła go na lotnisko w Shannon i machała dopóty, dopóki autobus lotniskowy nie zniknął za rogiem terminalu. Machała zapewne w dalszym ciągu, mimo że już jej nie widział. Od tej pory budził się każdego ranka ze ściśniętym gardłem i niezależnie od tego, ile razy przełykał ślinę, czuł węzeł w przełyku.

Siedząc w samolocie zamknął oczy, przypominając sobie zapach perfum matki i uścisk jej ramion; matki, w płaszczu koloru wielbłądziej wełny ze sklepu Marks & Spencer, siwiejącej na skroniach z powodu stresu.

- Przypuszczam, że masz jakiś sprzęt do krykieta? - zapytał go Marker.

- Tak, sir - odpowiedział Kieran i wyciągnął z kufra biały sweter do krykieta, z wycięciem w kształcie litery V i z kolorami szkoły wokół szyi.

Marker spoglądał przez okno na położony trzy piętra niżej yarder, gdzie część chłopców kopała już piłkę. Odwrócił się - z błyszczącymi w słońcu włosami wyglądał jak młody bóg. Uśmiechnął się... spojrzał z niedowierzaniem.

- Co to jest?

Znów ten węzeł, niemożliwy do przełknięcia.

- To jest mój sweter do krykieta, sir.

Marker wybuchnął potężnym śmiechem.

- To jest twój sweter do krykieta? Nigdy nie widziałem czegoś podobnego! Boże, co mu się stało?

Śmiech zwrócił uwagę dwóch lub trzech starszych chłopców, przechodzących korytarzem. Wpadli do pokoju i również wybuchnęli śmiechem.

- To nie jest sweter do krykieta! To strój jaskiniowca!

- Będziesz w tym wyglądał jak yeti!

Kieran przyciskał sweter do siebie i łzy zakręciły mu się w oczach.

- Mamy niedużo pieniędzy, sir. Babcia O'Sullivan zrobiła mi go na drutach, według szkolnej fotografii.

Marker śmiał się tak, że twarz zrobiła mu się szkarłatna, a łzy lały się po policzkach. Inni chłopcy wrzeszczeli, ryczeli kopali wykładane boazerią ściany korytarza. Kieran usiadł na łóżku i zagryzł wargi, żeby powstrzymać się od płaczu; skłębiony sweter leżał na jego kolanach.

Babcia O'Sullivan była z niego taka dumna. Ucałowała Kierana na pożegnanie i powiedziała: "Jedziesz do takiej eleganckiej szkoły, Kieranie! Kto by to pomyślał? Wierz mi, będziesz najbardziej szykownym chłopcem na boisku krykietowym".

Marker wkrótce zapomniał o swetrze. Jako wyniosły szóstoklasista był ponad takimi sprawami. Ale nie Mikrusy. Najgorszym z nich okazał się Benson, śniady chłopiec mający grubą szyję, czarne kręcone włosy, czarny jedwabisty wąsik i trądzik. Benson był najmłodszym synem w rodzinie Benson Camping Supplies. Jego brat został prefektem szkoły i kapitanem drużyny squasha, ojciec zaś jeździł brązowym samochodem marki Bentley Continental R i wpłacał wysokie kwoty na fundusz szkoły w Heaton. Funkcję matki Bensona spełniała jego macocha, trzecia żona ojca - młoda, mocno opalona blondynka, nosząca krótkie sukienki w żywych zielonych kolorach. Benson nazywał ją "Patyczakiem".

Kieran nie mógł się nadziwić temu, że Benson nie martwił się z powodu rozwodów ojca. Dwa rozwody! Może da się do tego przyzwyczaić. Rozwód jego własnych rodziców był jak pęknięcie szkła. Zdarzyło się tyle sprzeczek, tyle krzyków, a potem długie nudne godziny w przesiąkniętych zapachem starych czasopism poczekalniach doradców prawnych, przy akompaniamencie deszczu dzwoniącego o szyby. Przypomniawszy sobie głos ojca wypowiadającego z niezmienną dumą te słowa, gorsze niż wyrok śmierci: "Masz szczęście, Kieranie. Zdobyłeś stypendium w Heaton".

Siedział teraz, w gorące lipcowe popołudnie, na górnej galerii pawilonu krykietowego, słuchając dalekich odgłosów spotkania Pierwszej Jedenastki z drużyną Milton College, marząc i rozmyślając, czekając na wydarzenia następnych godzin. Przez świetlik wleciała osa, zatoczyła kilka kręgów i wyleciała.

Wyjął z kieszeni ostatni list od matki. Napisany był na bladoniebieskim papierze Basildon Bond, pokrytym klejem kauczukowym w górnej części każdego arkusza. Nie był podobny do ozdobnych arkuszy papieru listowego, noszących nazwy domów w rodzaju: The Cedars, Crowhurst Lodge lub Amherst, których używały matki wszystkich jego kolegów.

*Mój drogi Kieranie, tak za tobą tęsknię. Chodzę codziennie do twojej sypialni i ścielę łóżko, w oczekiwaniu na dzień, w którym przyjedziesz. Jestem pewna, że zaprzyjaźniłeś się z wieloma kolegami. Rufus przesyła ci "hau".*

Złożył list i wsunął z powrotem do kieszeni. Promienie słońca przesuwają się wzdłuż pawilonu krykietowego, aż oświetliły wysoką gablotę, która stała w samym środku prawej ściany. Wewnątrz gabloty znajdowały się: kij krykietowy, para zużytych ochraniaczy, para staroświeckich rękawic gracza wychwytyującego piłkę, spłowiwały blezer w czarno-białe pasy, krawat Pierwszej Jedenastki i czarna, ozdobiona chwastami czapka.

Kieran wstał, podszedł do gabloty i zajrzał do środka. Zaglądał do niej prawie codziennie, ponieważ zawsze przychodził tu po lekcjach, kryjąc się przed Bensonem i tamtymi. Odrabiał tutaj lekcje, jadł jabłka i batony Driftera, a czasem nawet usypiał. Było to jedyne miejsce w szkole, gdzie czuł się pewnie i bezpiecznie.

W tylnej części gabloty stała oprawiona w dębowe ramki fotografa J.R.E. Ponsforda, kapitana szkolnej drużyny krykieta w latach 1931-36. W 1935 roku był najlepszym batsmanem wszystkich szkół prywatnych. Przystojny, uśmiechnięty chłopak o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach i wesołych oczach. Kieranowi spodobał się od pierwszego spojrzenia. Był uśmiechnięty. Nie nazywał Kierana "Babcią O Sullivan", jak robili to inni chłopcy. Nie kradł mu słodyczy, nie polewał atramentem jego zeszytów i nie rzucał jego ręcznika w błoto.

Z powodu Ponsforda Kieran nigdy nie płakał.

Popołudnie powoli przemijało. Kieran usiadł w rogu i wyjął wieczne pióro oraz blok listowy, kupiony przez matkę w domu towarowym. Pisał do niej prawie codziennie.

*Droga Mamo, tęsknię do domu, chociaż jestem pewny, że się przyzwyczaję. Gram sporo w krykieta, a nauczyciel matematyki, pan Barnett, jest miły. Jedzenie nie jest dobre, dostaliśmy ostatnio żylastą mielonkę, ale mam masę słodyczy, więc się nie martw.*

Najgorsza była samotność.



Spojrzał jeszcze raz na ozłoconą słońcem gablotę w pawilonie krykietowym, a potem swoim najstaranniejszym pismem uzupełnił:

*Droga Mamo, mam przyjaciela z szóstej klasy, nazywa się Ponsford. Jest dla mnie bardzo miły i zabiera mnie na ćwiczenie krykietowe. Jest najlepszym batsmanem w szkole. Nigdy mi nie dokucza i nie pozwala na to, żeby inni mi dokuczali, nawet wtedy gdy wymyślają mi od Irlandczyków albo śmieją się, że mam sweter do krykieta zrobiony przez babcię.*

*Jest mi tu teraz dobrze, więc nie musisz się martwić. Ponsford ćwiczy ze mną co wieczór, i mam nadzieję, że dostanę się do drużyny krykietowej juniorów. Muszę teraz już iść, bo Ponsford zabiera mnie do miasta na podwieczorek.*

Złożył list kilkakrotnie. Po napisaniu go poczuł się lepiej, bo wiedział, że jego matka także poczuje ulgę. Miał pewność, że Ponsford byłby właśnie taki: szlachetny, uprzejmy i opiekuńczy. Wyobraził sobie, jak obaj schodzą ze wzgórza, z rękami w kieszeniach, gawędząc o krykiecie i o tym, co zjedzą na podwieczorek. Był taki lokal, nazywany "Cafe Cafe", o którym opowiadały wszystkie Mikrusy. Ich rodzice, przyjeżdżający podczas weekendów, zabierali je tam na lunch, a czasem nawet pozwalali napić się piwa.

Położył się na podłodze i oparł głowę na zwiniętym blezerze. On rzucał piłkę, Ponsford bronił bramki. Słońce zachodziło nad dębami, popołudniowe powietrze roiło się od owadów.

"Dobrze, O'Sullivan, to była demolująca piłka!"

Zasnął. Jego zamknięte powieki drgały, kciuk posuwał się w stronę ust, ale nie ssał go. Przestał ssać kciuk, kiedy miał trzy lata.

Nagle się obudził. Pawilon krykietowy był pogrążony w mroku.

Wstał i zwracając przegub ręki w stronę okna, próbował zobaczyć, która godzina. Chryste! Za pięć dziesiąta! To znaczyło, że stracił kolację i trening krykieta, czas odrabiania lekcji i wszystko inne! W panice złapał swój blezer i pomknął wzdłuż galerii, a potem po schodach na dół. Próbował otworzyć frontowe drzwi do pawilonu, ale były zamknięte.

Szarpał i szarpał za klamkę, lecz drzwi nie ustępowały. Pobiegnął do odległego końca pawilonu, gdzie zwykle podawano herbatę. Wszystkie okna były zamknięte na klucz, drzwi do kuchni także.

Spróbował otworzyć drzwi do damskiej toalety. Dzięki Bogu, były otwarte! Co więcej - okna również nie zamknięto. Stanął na muszli klozetowej, wspinał się na parapet i otworzył je szeroko. Przez chwilę balansował niezdarnie, strącając piętą puszkę środka dezynfekcyjnego. Spadła z grzechotem i i pluskiem do muszli, podczas gdy on, wstrzymując oddech, nasłuchiwał,

czy ktoś nie zareaguje. Było cicho, a za chwilę zegar nad budynkiem szkoły ociężale wybił dziesiątą.

O zegarze (jak brzmiała szkolna pieśń), który mierzysz każdy dzień  
Pracowitości i beztrudnej zabawy!

Zeskoczył z okna na werandę, skręcając lekko nogę w kostce. Pobiegł przez boisko krykietowe w stronę ciemnego domu Mallarda o gotyckim kształcie.

Skrócił sobie drogę, biegnąc przez ogród dyrektora. Był ciemny, zarośnięty gęsto jaworami. Miał nadzieję, że przy odrobinie szczęścia nikt go nie zobaczy. Ale biegnąc koło szopy ogrodowej, wpadł pełnym rozpędem na grupę czterech czy pięciu chłopców kryjących się w cieniu. Ogniki papierosów świeciły w ciemności jak robaczki świętojańskie.

- Hej, kto to taki? - zaskowyczał jeden z potrąconych. Zabłysnął płomień zapalniczki. Kieran zobaczył Muggeridge'a i Parkera oraz - o Boże - także Bensaona.

- Boże wszechmogący, O'Sullivan! Ty mały śmierdzący Irlandczyku! Przyprawileś mnie prawie o atak serca!

- Co ty tu robisz? Pierwszoklasiści powinni już grzecznie spać w swoich łóżeczkach.

- Właśnie, co ty robisz, ty mały kretynie? Szpiegujesz, co? Chcesz nas wydać Bonedome'owi? - Bonedome był dyrektorem ich domu. To pan Henderson mający kanciastą głowę z pięcioma długimi kosmykami włosów, skrupulatnie zaczesanymi na poprzek.

Benson precyzyjnie pchnął Kierana w pierś. Kieran potknął się o stary zardzewiały walec ogrodowy i przewrócił na plecy, rozdzierając sobie spodnie. Próbował wstać, ale Benson pchnął go znowu. Tym razem upadł na ziemię między walcem a ścianą szopy, kalecząc sobie ucho na nie oheblowanych deskach.

- Jesteś małym, donosicielskim kretynem, O'Sullivan. Czym jesteś?

- Zostawcie mnie - zaprotestował Kieran. Był już bliski łez. Jeszcze raz próbował się podnieść, ale Benson natychmiast uderzył go w zębra.

- Jesteś małym, donosicielskim, irlandzkim kretynem, oto czym jesteś. Źrzesz kartofle, mieszkasz na bagnach i w każdym zdaniu powtarzasz Na Boga!" A twój mundur zrobiony jest na drutach przez twoją babkę.

Kieranowi udało się wstać.

- Zostaw mnie Benson - powiedział. - Nic ci nie zrobiłem.

- O tak, zrobiłeś - wysyczał Benson, chwytając Kierana za kłapy blezera i zaciskając je tak, że go niemal dusił. - Oddychasz tym samym powietrzem, co ja, i żyjesz na tej samej planecie. Jesteś potworną, nędzną parodią człowieka, O'Sullivan, i cała twoja istota mnie obraża. Cała!

- Czy widziałeś torbę krykietową mieszkańca bagien? - wtrącił Muggeridge. - Sądysz, że jest z prawdziwej skóry nosorożca, od Louisa Vuittona?

- Nie wydaje mi się - odparł Benson, zawzięcie targając włosy Kierana.

- Sądysz, że płótno i skóra są od Slazengera?

- Wątpię - rzekł Benson. Twarz trzymał tak blisko twarzy Kierana, że tamten czuł w jego oddechu zapach dymu. - Wiem, dlaczego nie chcesz nam powiedzieć, skąd masz tę torbę, O'Sullivan. Wszyscy chcielibyśmy mieć taką samą!

Kieran teraz już płakał. Nie mógł nic na to poradzić. Rwało go w kostce, bolały go żebra, twarz krwawiła, a co było najbardziej upokarzające, spodnie miał rozdarte na siedzeniu, tak że widać było kalesony.

- No, O'Sullivan! Powiedz nam, skąd pochodzi twoja torba krykietowa, to pozwolimy ci odejść!

- Wiecie skąd - zachlipał.

- Przypomnij nam - kpił Benson, targając go za włosy jeszcze boleśniej. - Ma taką wyrafinowaną naszywkę, prawda?

- Niezwykle wyrafinowaną! - zaśmiał się Parker.

- To tylko plastikowa torba z Co-Op - wydusił z siebie Kieran.

- Słyszeliście? - triumfował Benson. - Plastikowa torba z domu towarowego! A my mamy mieszkać, oddychać obcować i jeść nasz codzienny chleb z rozrzewniającym małym irlandzkim gnojkiem, który nosi swój strój do krykieta, swój udzierniany w domu strój do krykieta, w torbie plastikowej z Co-Op!

- Mój ojciec sprawi mi odpowiedni - tłumaczył Kieran. - Wyjechał daleko, nie miał czasu.

- Twój ojciec sprawi ci odpowiedni? Plastikową torbę od Sainsbury'ego?

- Twój ojciec ma tyle czasu, ile go jest na świecie - złośliwie stwierdził Benson. - Natomiast to, czego twój ojciec nie ma wcale - to są pieniądze!

Po tych słowach puścił go. Kieran pobiegł, ocierając dłońmi łzy. Był już prawie przy tylnym wejściu do domu, kiedy usłyszał za sobą tupot czyichś nóg w pościgu. W następnej chwili Benson kopnął go w krzyż tak mocno, że Kieran, uderzywszy o słupek bramy, został o mało co znokautowany.

- Pochodzisz z bagien, O Sullivan! - grzmiał Benson. - Jesteś śmierdzącym irlandzkim wieśniakiem!

Kieran pokuśtykał przez dziedziniec i z rezygnacją przycisnął szyfrowy zamek. Kiedy otworzył drzwi, zobaczył Bonedome'a, stojącego przy tablicy ogłoszeń, patrzącego przez swoje połówkowe okulary na terminy zajęć krykietowych.

- Mój Boże, O'Sullivan! - wykrzyknął. - Czy ktoś cię przejechał?

Gospodyni posmarowała jego obtarcia i zadraśnięcia płynem antyseptycznym i dała mu tabletkę paracetamolu oraz szklankę wody. Była przyjazną, ruchliwą Australijką, której mąż pracował na lotnisku Heathrow, w liniach lotniczych Qantas.

- Wygląda na to, że walczyłeś, młody człowieku - powiedziała po obejrzeniu jego policzka.

- Spadłem.

- Skąd? Z wieży zegara?

- Byłem spóźniony. Wspinałem się na płot ogrodowy.

- Może byłeś w mieście? Dwaj chłopcy z Heaton zostali tam w czasie ostatniego semestru niezłe pobici.

Kieran nie odpowiedział. Znowu czuł dławienie w gardle.

- Czy wiesz, co robią aborygeni, kiedy mają przed sobą trudną walkę?

Kieran potrząsnął przecząco głową.

- Przygotowują specjalny napój leczniczy i mieszają go nad oszczepami i przepaskami zmarłych wojowników; wówczas zmarli wojownicy ożywają i pomagają im w walce. Myślisz, że to są ich duchy?

- Tak - wymamrotał z wysiłkiem Kieran.

Gospodyni łagodnie nastroszyła mu włosy.

- Idź już i połóż się do łóżka. Przyniosę ci coś ciepłego do picia, a potem będziesz spał. Połóż spodnie na wierzchu, to ci je zeszyję.

- Dobrze - zgodził się posłusznie, ale musiał odwrócić twarz, aby gospodyni nie zobaczyła, że płacze.

*Droga Mamo, wszystko idzie bardzo dobrze. Jestem zadowolony. Gram w krykieta w drużynie juniorów, a Ponsford mówi, że rzadko można spotkać tak uniwersalnego gracza jak ja (co oczywiście jest dla mnie bardzo mile). Dokuczał mi pewien okropny chłopak o nazwisku Benson, ale Ponsford kazał mu się trzymać z daleka i teraz wszystko jest dobrze. Rodzice Ponsforda są niezwykle bogaci: mają wielki dom na wsi, zdaje się, że w hrabstwie Kent. Zaprosił mnie do siebie na przerwę po pierwszym semestrze.*

*Mój drogi Kieranie, jestem bardzo zadowolona, że tak dobrze zadomowiłeś się w Heaton. Jesteśmy wszyscy bardzo dumni, że grasz w drużynie juniorów. Pan Murphy, ze sklepiku na rogu przesyła ci najgorętsze gratulacje. Jestem bardzo zadowolona także z tego, że twój przyjaciel Ponsford zaprosił cię na ferie międzysemestralne. Byłaby to dla mnie wielka ulga, ponieważ w tej chwili mam mało pieniędzy - jak zwykle! - a to zaoszczędziłoby wydatku na bilet lotniczy.*

Rozpoczęła się przerwa semestralna. Kieran stał na górnej galerii pawilonu krykietowego, przyciskając twarz do szkła gabloty, patrząc na fotografię J.R.E. Ponsforda. Próbował sobie wyobrazić, co mogliby robić razem. Chodzić do Mac Donalda na Big Maca i duży koktajl mleczny? Ćwiczyć krykieta w ogromnym, ocienionym drzewami ogrodzie Ponsforda? Może chodziliby popływać w jeziorze, a potem spożywaliby ogromne ilości herbaty z ciasteczkami i innymi łakociami.

Na podłodze leżał stos poduszek i koców oraz torba pełna batonów i frytek. Od dwóch dni żywił się słodyczami i chrupkami, a teraz czuł się głodny i chory. Dałby wszystko za hamburgera albo za trochę ryby z frytkami, ale bał się opuścić pawilon, żeby nie zobaczył go któryś z nauczycieli. Wiedział, że matka nie ma wiele pieniędzy, mimo to bardzo żałował, że zmyślił historyjkę o Ponsfordzie zapraszającym go do domu na ferie.

Koło koców leżała mała kupka książek: Interior australijski, Tradycje aborygenów, Tradycje Nyungarów i Nowa Południowa Walia. Wypożyczył je z biblioteki szkolnej przed końcem okresu i znalazł już dwie wzmianki dotyczące opowieści gospodyni o napoju, który miał moc wskrzeszania zmarłych wojowników. Napój ten był atrybutem ponurej magii kadaitcha, praktykowanej w Queenslandzie. Czarnoksiężnik mieszał ptasią krew i pióra z błotem i pokruszonymi kośćmi, nucąc przy tym: epuldugger, epuldugger, co znaczyło: "przyjdź tam, gdzie duch umarły wstaje i mści się".

W Australii napój robiono z piór i krwi emu, a kości były ludzkie lub kangurze. Kieran nie sądził jednak, żeby użycie jakiegoś starego ptaka lub starej kości miało znaczenie. Liczyła się magia, kadaitcha, siła determinacji wyrządzenia zła.

Otworzył następną paczkę chrupek i zjadł je bez entuzjazmu. J.R.E. Ponsford uśmiechał się do niego sympatycznie ze swojej gabloty, jak gdyby chciał powiedzieć: "Głowa do góry, stary! Potrafisz tego dokonać!" Ale Kieran patrzył na niego strapiiony, nie będąc tego taki pewny.

W niedzielę wieczór na dziedzińcu szkolnym było rojno od range roverów, jaguarów i BMW, przywożących chłopców z ferii międzysemestralnych. Kieran ukrywał się w przebieralni

aż do godziny za piętnaście dziewiąta, potem pobiegł wokół domu Mallarda poza teren szkoły i wszedł głównym wejściem udając, że dopiero przyjechał.

- Dobrze miałeś wakacje, O'Sullivan? - zapytał go Bonedome. - Jak tam było w Irlandii?

- Pełno mieszkańców bagien, jak zwykle! - wtrącił się Benson, przepychając się między nimi.

Bonedome uśmiechnął się pobłaźliwie. Nie czekał na odpowiedź Kierana ale zwrócił się do starszego chłopca i powiedział:

- Gratulacje dla twojego ojca z okazji CBE, Masonie!

Musisz być z niego bardzo dumny!

Zabrzącał dzwonek na kolację. Kieran był tak głodny, że z trudem go doczekał. Wyszedł z domu i pobiegł przez pola, a potem po szerokich kamiennych schodach do jadalni w głównym budynku szkoły. Kilku chłopców z innych domów - Carlisle'a i rektora - biegło również, żeby stanąć na początku kolejki.

Zegar na wieży głównego budynku szkoły wybił dziewiątą. Stado szpaków poderwało się i krążyło wokół wieży. Tego roku roiło się od szpaków, gnieźdzących się pod dachówkami szkoły. Jednego z nich Kieran znalazł rano na werandzie pawilonu krykietowego. Miał złamane skrzydło. Kieran wahał się, a potem zabił go cegłą. Nie chciał o tym myśleć. Ciągle widział oko ptaka w rozmiąddzonej głowie, patrzące na niego oskarżająco.

Udało mu się być piątym w kolejce w jadalni. Na kolację były parówki, jak zawsze w dniach, kiedy wracali po przerwie międzysemestralnej. Kieran poprosił o trzy, ze stertą pieczonej fasoli i tłuczonych kartofli. Niósł swój talerz ostrożnie, wzdłuż kolejki popychających się chłopców. Jadalnia się wypełniała; śmiechy, pohukiwania i krzyki brzmiały ogłuszająco.

Kieran był już blisko stołu, kiedy ktoś podstawił mu nogę. Zachwiał się i prawie już chwycił równowagę, lecz całe jedzenie spadło mu na koszulę i pociekło po spodniach. Talerz wypadł mu z rąk i pękł na pół.

- Boże! - powiedział Benson. - Ci mieszkańcy bagien są tak prymitywni, że nie potrafią nawet nosić talerzy!

Kieran zdjął pełną garść fasoli i tłuczonych kartofli ze swojej koszuli i rzucił w twarz Bensaona. Rozległa się salwa śmiechu, a potem okrzyki: "Walka! Walka! Walka!" Benson skoczył w jego stronę, ale Kieran wymknął się i pobiegł do drzwi.

- Zabiję cię za to! - ryknął Benson. Skinął na Mugreridge'a i Parkera. - Chodźcie, wyeliminujemy go raz na zawsze!

Kieran zbiegał ze schodów prowadzących do jadalni susami po trzy stopnie. Zamiast skierować się w stronę domu, przeskoczył klomby róż rosnących wzdłuż ścieżki i popędził prosto

przez boisko krykietowe, w stronę pawilonu. Biegł najszybciej, jak mógł, jego buty dudniły na twardej trawie. Epuldugger, epuldugger! Pomóż mi! Epuldugger, epuldugger!

Pomóż mi! Słyszał, jak Benson i jego przyjaciele podążają za nim ścieżką. Odległa strona boiska była tak zacieniona, że z pewnością nie mogli go od razu zobaczyć. Bezpieczny pawilon był już w zasięgu kilku kroków, kiedy usłyszał okrzyk radości Muggeridge'a:

- Jest tam! Haloouooooo, irlandzki wiochmenie.

Kieran obiegł pawilon, zmierzając do okna toalety. Przyciągnął jedną z ciężkich ławek z kutego żelaza i wspiął się po niej na parapet. Zaczepił kieszenią o klamkę, ale udało mu się wywikłać i wskoczyć do damskiej toalety. Przeciął główną salę pawilonu i pobiegł po schodach na górę.

Benson wraz z przyjaciółmi znaleźli się przed pawilonem zaledwie kilka chwil później, dysząc ciężko i klnąc. Parker szarpał hałaśliwie klamkami głównego wejścia, lecz drzwi były zamknięte. Pobiegli więc na drugą stronę i próbowali wejść tylnymi drzwiami, lecz również były zamknięte.

- Którędy on wszedł, ten mały kretyn! - dziwił się Benson. - Skręcę mu kark, kiedy tylko go dopadnę!

Nagle Muggeridge zobaczył otwarte okno.

- Tamtędy! Wszedł tamtędy!

- Więc siedzi teraz jak szczur w pułapce – powiedział Benson.

Wszyscy trzej weszli przez okno do środka. Byli więksi i ciężsi od Kierana, więc dyszeli ciężko, nim im się to udało.

- Ciemno tu. Gdzie jesteśmy?

- Na Boga, to jest damska toaleta! Hej, ostrożnie! Omal nie wdepnąłem nogą.

Przeszli przez pawilon. Było zaledwie dziesięć minut po dziewiątej, ale niebo się zachmurzyło, tak że wewnątrz pawilonu wypełniło się cieniami.

- Jest tu gdzieś jakieś światło? - zapytał Muggeridge, ale Benson zaoponował:

- Lepiej nie. Tu wolno przebywać tylko w czasie meczów. Nie chcę, żeby dozorczy przyszli sprawdzić, kto tu jest.

Stąpając jak najciszej, doszli do schodów.

- Założę się o wszystko, że jest gdzieś na górze.

Nasłuchiwali. W pawilonie panowała cisza, słychać było tylko ich oddechy i z rzadka skrzyp starego drewna.

Kieran stał na górze, w samym końcu galerii, przy gablocie.

Pierś mu falowała z powodu długiego biegu, ale był całkowicie spokojny, całkowicie zdecydowany. Wszeptał:

- Epuldugger, epuldugger, przyjdź tam, gdzie duch umarły wstaje i mści się.

Odkręcił wieczko słoika, ukrytego za gablota, i zanurzył palce w jego zawartości. Była lepka i silnie pachniała krwią i błotem boiska do rugby.

- Epuldugger - zanucił, tym razem głośniej. – Crumbana coomera. Nasycam krwią umarłego. Duch umarły wstaje i mści się.

Dwoma palcami posmarował eliksirem mahoniową gablota.

- Epuldugger, pomóż mi! - wydyszał. Zacisnął powieki, jak tylko mógł najmocniej, próbując uwierzyć, zmuszając się żeby uwierzyć. Łzy płynęły mu obficie po policzkach. - Epuldugger, pomóż mi !

Otworzył oczy, zwolnił mosiężną zapadkę drzwi gablota i otworzył je. W szkłe odbiła się na moment blada, podobna do księżycy, tarcza szkolnego zegara. Wewnątrz gablota śmierdziało starą, stęchlą odzieżą i werniksem.

Czapka Ponsforda, blezer Ponsforda, flanelowe spodnie Ponsforda - wszystko starannie poskładane. Rekordowy kij krykietowy Ponsforda.

- Epuldugger - płakał Kieran. - Proszę cię!

Benson i jego przyjaciele zbliżali się tymczasem do schodów.

- O'Sullivan! - krzyknął Benson. - Wiemy, że tam jesteś, O'Sullivan! Poddaj się, nim przyjdziemy po ciebie i zrobimy ci coś, co ci się bardzo nie spodoba!

Znowu nasłuchiwali, ale usłyszeli tylko nikłe skrzypienie mogło to być cokolwiek - mysz lub ptak.

- Chodźmy - zdecydował Benson i powoli, stopień po stopniu, zaczął się wspinać po schodach; przyjaciele postępowali za nim. Doszli do górnej galerii i zatrzymali się, starając się coś zobaczyć w bursztynowej poświacie.

- O'Sullivan? Wyłaż! Straciliśmy przez ciebie kolację, a to oznacza śmierć albo coś jeszcze gorszego.

- Proponuję zamknąć okno toalety, żeby musiał tu zostać przez całą noc - powiedział Muggeridge.

- A ja chcę, żebyśmy znaleźli tego śmierdzącego wieśniaka i zbili - upierał się Benson.

Posunęli się parę kroków naprzód, po czym stanęli, natężając słuch i wzrok.

- Ci irlandzcy wieśniacy są mistrzami tchórzostwa - odezwał się Parker. - To jedyna rzecz, w której są dobrzy.

- Szz... - syknął Benson.



Usłyszeli szmer stąpających butów, potem dwa ostre uderzenia. Jeszcze później usłyszeli, jak ktoś idzie w ich stronę. Kroki wydawały na parkiecie grzechotliwy hałas. Hałas, jaki powodują korki u podeszew butów do krykieta.

Z cienia, w którym pograżony był koniec galerii, wyszła wysoka postać. Była cała ubrana na biało; jej twarz była również biała: biała jak na fotografii, biała jak śmierć. Najbardziej przerażające było to, że miała zamknięte oczy, a mimo to szła bez niepewności, prosto w ich stronę.

Miała na głowie czarną czapkę do krykieta, z insygniami HS - szkoły w Heaton - i niosła kij krykietowy. Nie trzymała go jednak zwyczajnie obiema rękami, lecz chwyciła i uniosła na wysokość pasa, jak gdyby przygotowywała się do odbicia szybkiej, ostrej piłki, rzuconej z drugiego końca pola.

- Kim jesteś, do diabła? - zapytał Parker, znacznie łagodniej niż zwykle.

Młody człowiek w białej szacie ani na moment nie przerwał swojego grzechotliwego marszu, chociaż oczy miał w dalszym ciągu zamknięte. Podszedł do Parkera i uderzył go kijem krykietowym z boku, w głowę. Odgłos potężnego ciosu poniósł się echem w głąb galerii.

Parker osunął się na podłogę, nie wydawszy najmniejszego dźwięku. Muggeridge chciał uklęknąć obok niego, zmienił jednak decyzję, ale było już za późno. Młody człowiek uderzył go w barki, potem w tył głowy, jeszcze raz i jeszcze.

Prawe ucho Parkera było roztrzaskanym kawałkiem czerwonej chrząstki.

Benson, skamłając, próbował wycofywać się w stronę schodów, ale młody człowiek w białej szacie szedł nieustępliwie za nim, podnosząc wysoko kij.

- Odejdź! Zostaw mnie! - krzyczał ochryple Benson. - Jesteś szalony, odejdz!

Kij opadł, trafiając go mocno w lewy bark.

- Zostaw mnie! Zostaw mnie! - zapiszczał.

Batsman uderzył ponownie. Tym razem obojczyk Bensaona pękł z trzaskiem. Zaskowyczał z bólu, odwrócił się i robiąc unik, próbował biec w stronę schodów, ale przy schodach stał

Kieran, z twarzą prawie tak białą jak oblicze krykiecisty; oczy miał szeroko rozwarte, ręce z dłońmi skierowanymi na zewnątrz unosił wysoko, jakby się modlił lub przywoływał ducha.

- Na miłość boską, O'Sullivan! - krzyknął Benson.

W tym momencie batsman trzasnął go w bok głowy uderzeniem, które wysłałoby piłkę krykietową wysoko nad dachem szkoły, poza granice boiska i poza zasięg wzroku. Koniec kija rozszczepił się. Czaszka Bensaona trzasnęła, a on sam zakręcił się i runął na podłogę.

Kieran stał nad nim, nic nie mówiąc, z rękami ciągle jeszcze wzniesionymi. Podniósł oczy na milczącą białą postać, która teraz trwała bez ruchu, biała jak na fotografii, biała jak śmierć. W oczach Kierana błysnęły łzy.

- Dziękuję - wyszeptał. - Dziękuję, dziękuję, dziękuję.

Matka Kierana siedziała blada w biurze dyrektora, ściskając swoją białą plastikową torebkę. Jeden ze starszych chłopców, nie wiedząc kto to, zwrócił uwagę kolegów na jej urodę. Yummy Mummy, pyszna mamuska, jak je zawsze nazywali.

Nie zdążył zauważyć letniej sukienki od Marksa & Spencera ani naszyjnika ze sztucznych pereł.

Bonedome usiadł za biurkiem, złożył dłonie i próbował wyglądać smutno, ale sympatycznie. Było to nieosiągalne dla człowieka, który w całym swoim życiu nie czuł żadnych emocji. Usiłowania skończyły się grymasem, jaki ma się po ugryzieniu cytryny.

- Rozumie pani, że Kieran musi być zawieszony na czas śledztwa - oznajmił. - Nie możemy ryzykować, że to się powtórzy.

- Dlaczego Kieran? - zapytała. - Mówił mi przez telefon, że to zrobił Ponsford.

Bonedome zdjął okulary.

- Przepraszam, Ponsford?

- Powiedział, że zrobił to jego przyjaciel Ponsford, broniąc go, powiedział, że Benson i ci inni znęcali się nad nim, więc Ponsford dał im nauczkę. To znaczy - wiem, że to, co zrobił Ponsford, jest straszne, że posunął się stanowczo za daleko ale dlaczego Kieran ma być zawieszony?

- Ponsford - Bonedome myślał przez chwilę. - Ponsford? Nie ma w Heaton nikogo, kto by się nazywał Ponsford.

- To śmieszne - powiedziała matka Kierana, kręcąc głową i uśmiechając się. - Ponsford jest najbliższym przyjacielem Kierana od początku jego pobytu w szkole... Uczy go grać w krykieta:... Kieran spędził u niego wakacje międzysemestralne. J.R.E. Ponsford, szósta klasa, kapitan drużyny krykieta.

Bonedome zamrugał.

- J.R.E. Ponsford? J.R.E. Ponsford, kapitan drużyny krykieta?

- Więc pan go zna?

- Droga pani O'Sullivan, każdy człowiek w Heaton zna J.R.E. Ponsforda. Był największym mistrzem krykieta, jakiego kiedykolwiek wydała nasza szkoła.

Uśmiech na twarzy matki Kierana zgasł.

- Był? - zapytała.

- Obawiam się, że tak, pani O'Sullivan. J.R.E. Ponsford uczył się w Heaton w latach od tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego do tysiąc dziewięćset trzydziestego szóstego. Potem służył w RAF jako pilot bombowca i zaginął nad wybrzeżem Holandii w zimie tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

Kiedy matka Kierana przyszła, żeby go zabrać do domu, chłopiec ciągle jeszcze stał przed szklaną gablotą w pawilonie krykietowym. Objęła go za ramiona i przytuliła do siebie... pachniała jak Mama.

- Przepraszam - szepnęła.

Kieran nie powiedział nic, patrząc po raz ostatni na jasne otwarte oczy J.R.E. Ponsforda i na jego słynny kij krykietowy.

Pięciocentymetrowe pęknięcie było świadectwem jego ostatniego, największego meczu.

Littlehampton, Sussex

Serce Dziecka voodoo bije w miejscowości Macon, w stanie Georgia gdzie przyszedł mi do głowy pomysł tego opowiadania. Stało się to pewnej upalnej nocy, kiedy moje radio samochodowe grało Are You Experienced? W owym czasie najbardziej wybijającą się postacią w psychodelicznej scenerii Londynu był Jimi Hendrix, toteż wszystkie moje wspomnienia o Notting Hill, Park Lane i innych miejscach, gdzie zwykłem spędzać czas, gdy on jeszcze żył, są z nim związane. Jednym z tych miejsc jest Littlehampton.

Spotkałem Jimiego tylko raz: fotografował wtedy w Hyde Parku.

- Urodziłem się na innej planecie, wiesz? - powiedział mi.

- Nie sądzę, ale na pewno tam się znajdziesz - odparłem.

Możliwe, że miał rację. Ale to opowiadanie dzieje się nie na innej planecie, ale w zwykłej, przeciętnej nadmorskiej miejscowości wypoczynkowej w hrabstwie Sussex, u ujścia rzeki Arun. Jest to nudne małe miasteczko, ma za to wspaniałe plaże. Woda podczas odpływu oddala się od brzegu prawie na półtora kilometra, tak że idzie się bez końca, brodząc w wodzie po kostki, aż zaczyna się wydawać, że w ten sposób dojdzie się do Francji. Można tam stać daleko od brzegu, czując na twarzy morską bryzę, i myśleć o wszystkich ludziach spotkanych w przeszłości i o tym, jaki diabeł nam ich zabrał.

Jimiego zobaczyłem, jak wchodził do kiosku S.H. Patela, na rogu Clarendon Road. Twarz miał szarą jak popiół.

- Jezu, to Jimi! - powiedziałem do Dulcie i wszedłem za nim. Dzwonek sklepowy zadzwieczał. Pan Patel zajęty był zmienianiem cen na stertach "Evening Standard".

- "New Musical Express" jeszcze nie przyszedł, Charlie - poinformował mnie, ale ja pokiwałem tylko głową.

Szedłem ostrożnie wzdłuż półek z ilustrowanymi magazynami, słodyczami dla dzieci i humorystycznymi kartami urodzinowymi. Słyszałem, jak gdzieś na tyłach sklepu telewizor pani Patel gra motyw muzyczny z Neighbours. W powietrzu unosił się stęchły zapach manilowych kopert, landrynek i kozieradki.

Jimi stał przy szafie chłodniczej, za półkami, patrząc na mnie szeroko rozwartymi oczami; ani szelmowsko, ani wesoło - jak zwykle - ale jakoś trwożliwie, niczym zraniony ptak. Włosy miał kędzierzawe, jak niegdyś, i nosił ten sam afgański kaftan bez rękawów oraz te same szkarłatne

rozszerzane spodnie z welwetu, a nawet ten sam naszyjnik Indian Nawaho. Ale skórę miał dziwnie białą, jakby zakurzoną... Rzeczywiście się przestraszyłem.

- Jimi? - wyszeptałem.

Nie odpowiedział. Czuło się wokół niego chłód, przy czym nie był to chłód wiejący z zamrażarki, wyładowanej groszkiem Birds Eye, marchewką Findusa i "ekonomicznymi" kotlecikami z wołowiny - Jimi, człowieku... myślałem, że nie żyjesz. - Od ponad piętnastu lat nie powiedziałem do nikogo "człowieku!" - Byłem naprawdę głęboko przekonany, że nie żyjesz.

Pociągnął nosem i chrząknął, patrząc wciąż wzrokiem zranionego ptaka.

- Halo, Charlie - odezwał się ochrypłym głosem. Wydawał się obcy i zamknięty w sobie. Był taki sam jak wówczas, kiedy widziałem go po raz ostatni: wieczorem siedemnastego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego roku.

Przestraszyłem się tak, że ledwie mogłem mówić. sprawiał wrażenie przestraszonego na równi ze mną, i ten fakt dziwnie mnie uspokajał. Jak gdyby trwał jeszcze rok 1970, a następnych dwudziestu lat w ogóle nie było. Mogłem nawet uwierzyć, że John Lennon żyje, że Harold Wilson jest premierem, że na świecie panują miłość i pokój.

- Człowieku, próbowałem dostać się do mieszkania - rzekł Jimi.

- Co? Do jakiego mieszkania?

- Do mieszkania Moniki, człowieku. W Lansdowne Crescent. Próbuję tam wrócić.

- Po co, u diabła, chcesz się tam dostać? O ile wiem, Monika już tam nie mieszka.

Jimi drapał się po twarzy. Wydawało się, że osypuje się z niej popiół i osiada mu na palcach. Wyglądał na roztargnionego, przestraszonego, na kogoś, kto nie potrafi jasno myśleć. Ale dawniej widywałem go często kompletnie naćpanego, snującego niesamowite opowieści o planecie, na której wszystko jest idealnie urządzone - o boskiej planecie Najwyższej Mądrości.

- Gdzie ty się, u diabła, podziewałeś? - zapytałem go. - Słuchaj, na zewnątrz czeka Dulcie. Pamiętaj ją? Chodźmy czegoś się napić.

- Człowieku, muszę się dostać do tamtego mieszkania - upierał się Jimi.

- Po co?

Patrzył na mnie jak na wariata.

- Po co? Gównu ci do tego! Po co, do cholery!

Nie wiedziałem, co począć. O metr przede mną stał i mówił do mnie prawdziwy Jimi. Jimi, o którym myślałem, że od dwudziestu lat nie żyje. Nigdy nie widziałem jego ciała, nie wziąłem udziału w pogrzebie, bo nie stać mnie było na podróż, ale dlaczego rodzina i prasa trąbiły, że Jimi nie żyje, jeśli to nie była prawda?

Kiedy Monika weszła do mieszkania, leżał na łóżku już zimny. Wargi miał purpurowe od uduszenia. Lekarze z St Mary Abbot's Hospital potwierdzili, że w chwili znalezienia go był już martwy. Udusił się własnymi wymiocinami. Z całą pewnością nie żył. Ale oto był znowu tutaj, jak niegdyś w psychodelicznym okresie, w okresie Purple Haze i Voodoo Chile i Are You Experienced?

Zadzwieczał dzwonek sklepowy. Była to Dulcie, która mnie szukała.

- Charlie? - zawołała. - Chodź już, marzę o drinku.

- Napij się z nami? - zapytał Jimiego. – Może wymyślimy jakiś sposób, by dostać się do tego mieszkania. Spróbujemy się dowiedzieć, kto jest agentem nieruchomości i porozmawiamy z nim. Courtney prawdopodobnie go zna, Courtney zna wszystkich.

- Człowieku, to wykluczone, nie mogę iść z wami - wykręcał się Jimi.

- Dlaczego nie możesz? Będzie tam Derek i reszta. Spotykamy się w Bull's Head. Oni naprawdę chcieliby cię zobaczyć.

Ale... Czytałeś o tym, że Mitch sprzedał twoją gitarę?

- Gitarę? - zdziwił się, jakby nie rozumiejąc.

- Twojego Strata, tę na której grałeś na festiwalu Woodstock. Dostał za nią coś około stu osiemdziesięciu tysięcy.

Jimi wciągnął ze świstem powietrze.

- Muszę się dostać do tamtego mieszkania, człowieku! Nic więcej.

- Dobrze, ale chodźmy wpierw na drinka.

- Człowieku, to wykluczone. Nie mogę się z nikim spotykać. Nawet z tobą.

- Cóż więc masz zamiar robić? Gdzie się zatrzymałeś?

- Na razie nigdzie.

- Możesz zamieszkać u mnie. Mam teraz dom przy Clarendon Road.

Jimi potrząsnął przecząco głową. Nawet mnie nie słuchał.

- Muszę się dostać do tamtego mieszkania i koniec! Nie ma alternatywy.

- Charlie - w głosie Dulcie brzmiał protest - co ty, u diabła, robisz?

Poczułem podmuch zimnego, pełnego kurzu powietrza i odwróciłem się. Plastikowa, wielobarwna zasłona między kioskiem a mieszkaniem Patelów się kołysała. Jimiego nie było. Odciągnąłem zasłonę i zawołałem: "Jimi!" W przeładowanym fotelami salonie Patelów nie było nikogo, z wyjątkiem brązowego półnagiego dziecka, któremu lało się z nosa, i starej kobiety w jasnozielonym sari, która patrzyła na mnie wrogo oczami jak dwa kamienie. Nad brązowymi kaflami kominka wisiała trupiokolorowa fotografia, przedstawiająca rodzinę Bhutto.

Przeprosiłem i wycofałem się.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Dulcie. - Czekam na ciebie od wieków.
  - Spotkałem Jimiego - odparłem.
  - Jakiego Jimiego? - nalegała. Była młodą blondynką; ładną, opryskliwą i nietolerancyjną. Może dlatego tak bardzo ją lubiłem.
  - Hendrixa, Jimiego Hendrixa. Był tu przed chwilą.
- Dulcie przestała żuć gumę i patrzyła na mnie z otwartymi ustami.
- Jimiego Hendrixa? Jak to Jimiego Hendrixa?
  - Widziałem go, był tutaj.
  - O czym ty mówisz? Popierdoliło ci się w główce.
  - Dulcie, klnę się na Boga, był tu. Przed chwilą z nim rozmawiałem. Powiedział, że musi się dostać do byłego mieszkania Moniki. Wiesz, do mieszkania, gdzie...
  - Wiesz dokładnie - przedrzeźniała mnie Dulcie. – Do mieszkania, gdzie umarł!
  - Był tutaj, uwierz mi! Był tak cholernie blisko, że mogłem go dotknąć.
  - Zwariowałeś - orzeźliła Dulcie. - W każdym razie nie czekam dłużej. Idę na drinka do Bull's Head.
  - Poczekaj chwilę - poprosiłem. - Chodźmy do mieszkania Moniki i zobaczmy, kto w nim teraz mieszka. Może tam będą wiedzieli, co się dzieje.
  - Nie chcę - zaprotestowała Dulcie. - Jesteś śmieszny. On nie żyje, Charlie. Jest martwy od dwudziestu lat.

W końcu jednak poszliśmy tam i zadzwoniliśmy. Brudne, szare, siatkowe firanki poruszyły się, ale upłynęło sporo czasu, nim usłyszeliśmy, że ktoś podchodzi do drzwi. W zaułku wiał zimny wiatr. Na ogrodzeniach wisały gazety i puste torebki po frytkach, a drzewa były nagie i skarłowaciałe.

- Mam wrażenie, że oni nawet nie wiedzą, iż Jimi Hendrix kiedyś tu mieszkał - prychnęła pogardliwie Dulcie.

W końcu drzwi się uchylły i w szparze pojawiła się blada twarz kobieca.

- Słucham?
- Przepraszam, że panią niepokoję - tłumaczyłem. - Znam pewnych ludzi, którzy tu kiedyś mieszkali. Chcieliby się dowiedzieć, czy nie miałaby pani nic przeciwko temu, żeby tu przyszli i rozejrzeli się. Ze względu na wspomnienia z dawnych lat.

Kobieta nie odpowiedziała. Prawdopodobnie nie rozumiała, o co mi chodzi.

- To nie potrwa długo. Tylko parę minut. Ze względu na stare czasy.
- Zatrzasnęła drzwi, nie odpowiadając. Staliśmy z Dulcie na stopniu wejściowym, pod zimnym niebem północnego Londynu. Niebo miało kolor kleju.

Jakaś Murzynka, ubrana w błyszczący płaszcz przeciwdeszczowy od Marksa & Spencera, pchała po ulicy ogromny, mocno zniszczony wózek dziecienny. Wózek był pełen dzieci i zakupów.

- Co masz zamiar teraz zrobić? - spytała Dulcie.

- Nie wiem - odrzekłem. - Chodźmy na tego drinka.

Pojechaliśmy do Bull's Head i usiedliśmy przy oknie wychodzącym na Tamizę. Był czas odpływu, więc z rzeki pozostała tylko wstążka szarej, mętnej wody na tle szerokiego pasa czarnego błota.

Był tam Courtney Tulloch i inni - Bill Franklin i Dave Blackman, Margaret i Jane - a ja uświadomiłem sobie nagle, że znałem ich wszystkich w 1970 roku, kiedy Jimi jeszcze żył. Było to dziwne uczucie, wydawało się, że widziałem ich we śnie.

Jak to było w piosence Johna Lennona? - Yea though I wait through the valet of thy shadowy hut I will feed no norman. Choćbym nawet szedł ciemną doliną, zła się nie ulękę.

Spytałem Courtneya, czy wie, kto wynajmował mieszkanie Moniki, ale on tylko pokręcił głową.

- Wszystkie stare twarze zniknęły, człowieku, dawno zniknęły. Zmieniło się. Kiedyś, mimo że wszystko było zużyte i nędzne, to jednak każdy znał swoje miejsce: czarny i biały, kierowca autobusu i prostytutka. Dzisiejsza młodzież jest zbuntowana. Żyjemy na Księżycu.

Wtrącił się Dave:

- Wiem, kto wynajął to mieszkanie po wyprowadzeniu się Moniki. To był John Drummond.

- Mówisz o t y m Johnie Drummondzie? - spytałem. - O tym gitarzyście?

- O nim samym. Ale on mieszkał tam zaledwie parę miesięcy.

- Jesteś dziś naprawdę nudny, Charlie - oznajmiła Dulcie. - Czy dostanę następnego drinka?

Zamówiłem nowe drinki: kokosowy dla Dulcie, dla siebie piwo Holsten Pils. Courtney opowiadał dowcip o nowej sieci restauracji szybkiej obsługi dla czarnych, zwanej Blackdonald's.

- Wchodzisz do restauracji, wewnątrz są dwie tłuste Murzynki w kwiecistych, tandetnych sukienkach, bezustannie gadające z sobą. Po dziesięciu minutach jedna z nich odwraca głowę i pyta cię: Czyżby pan czegoś sobie życzył?.

Nie miałem pojęcia, że John Drummond mieszkał w tym samym mieszkaniu co Jimi. Moim zdaniem John był lepszym gitarzystą niż Jimi, przynajmniej pod względem technicznym. Bardziej szczerzy, bardziej twórczy. Umiał grać równie dobrze jak Jimi, a przy tym brzmienie jego gitary było mniej pogmatwane niż Jimiego, mniej gniewne, mniej denerwujące. Nigdy nie zagrał tak niepewnie jak Jimi na Woodstock, ani nie dał tak nieszczęsnego koncertu jak Jimi w Seattle, podczas ostatniego występu w Ameryce. John Drummond występował najpierw z Grahamem Bondem, potem z Johnem Mayallem, a jeszcze później z własną "supergrupą" Crash.



John Drummond zdobył pierwsze miejsce na listach przebojów po obu stronach Atlantyku utworem Running A Fever. Potem jednak niespodziewanie się wycofał, wśród komentarzy prasowych mówiących o raku, sclerosis multiplex lub o całkowitym oddaniu się heroinie. Który to był rok? 1973, 1974... coś koło tego. Nie wiedziałem nawet, czy żyje.

Tej nocy w mojej kawalerce przy Holland Park Avenue zadzwonił telefon. Był to Jimi. Jego głos miał matowe, odległe brzmienie.

- Człowieku, nie mogę mówić długo. Telefonuję z budki przy Queensway.
- Poszedłem pod ten adres, ale jakaś kobieta nie chciała mnie wpuścić.
- Muszę się tam dostać, Charlie. Nie ma alternatywy.
- Czegoś się dowiedziałem, Jimi. Po Monice mieszkał tam John Drummond. Może on będzie mógł pomóc.
- John Drummond? Mówisz o tym młodym facecie, który kiedyś kręcił się tu i tam chcąc grać z Experience?
- Właśnie o nim. Zdumiewająco zdolny gitarzysta.
- To było zero. Za cholerę nie umiał grać.
- Co ty mówisz, Jimi. On był znakomity. Running A Fever to była klasa. Przez dłuższą chwilę milczał; słyszałem tylko odgłosy ruchu ulicznego i oddech Jimiego. Potem zapytał:
- Kiedy to było?
- Kiedy było co?
- Piosenka, o której mówiłeś, Running A Fever. Kiedy ona była?
- Nie wiem. Może na początku siedemdziesiątego czwartego.
- I on był dobry?
- Był zachwycający.
- Czy był równie dobry jak ja?
- Jeśli mam być szczery, to tak.
- Miał podobny styl?
- Tak, chociaż niewiele osób to potwierdzi, ponieważ był biały, Spojrzałem na ulicę. Pod moimi okami przepływał nie kończący się strumień pojazdów w kierunku Shepherds Bush. Przypomniałem sobie, jak Jimi śpiewał w tamtych czasach Crosstown Traffic.
- Co się teraz dzieje z tym Drummondem? Ciągle gra? - zapytał Jimi.
- Nikt nie wie, gdzie on się teraz podziewa. Po tym swoim przeboju numer jeden z Fever wycofał się. Warner Bros nie wiedzą nawet, kogo zaskarżyć do sądu.

- Charlie - nalegał chrapliwie Jimi - musisz mi wyświadczyć przysługę. Musisz znaleźć tego faceta. Nawet gdyby nie żył, dowiedz się tylko, gdzie go pogrzebali.

- Na Chrystusa, Jimi. Nie mam pojęcia, gdzie zacząć go szukać.

- Charlie, proszę. Zrób to dla mnie.

Odłożył słuchawkę. Stałem dłuższą chwilę przy oknie, czując strach i przygnębienie. Jeśli Jimi nie wiedział, że John Drummond był tak znakomitym gitarzystą, jeśli nie wiedział, że Running A Fever zajęła pierwsze miejsce, to gdzie się podziewał w ciągu ostatnich dwudziestu lat? Jeśli żył, to gdzie przez ten czas przebywał?

Zatelefonowałem do Nika Cohna i spotkaliśmy się w dusznym, otwartym po południu barze w Mayfair. Nik napisał kompletne dzieło na temat muzyki pop lat sześćdziesiątych, Awopbopaloopa Alopbamboom, i wiedział wszystko o wszystkich, łącznie z Beatlesami, Ericem Burdonem i zespołem Pink Floyd w ich okresie UFO, no i oczywiście o Jimim i o Johnie Drummondzie.

Już od dawna nie widział Johna, ale mniej więcej przed sześciu laty otrzymał od niego kartkę z Littlehampton, miejscowości na południowym wybrzeżu. W kartce nie było nic szczególnego poza informacją, że John próbuje się pozbiierać.

- Nie wytłumaczył dokładnie, co to ma znaczyć - powiedział Nik - ale z nim było zawsze tak samo. Miało się wrażenie, że myślami błądzi gdzie indziej. Jakby dyskutował z czymś, co tkwiło w jego wnętrzu.

Littlehampton huczało od wiatru i w środku zimy wyglądało niegościnnie. Wesołe miasteczko było zamknięte, tak samo nadbrzeżne budy. Indiańskie czółna, powiązane razem, przymocowano na środku sztucznego jeziora, żeby nikt się nie mógł do nich dostać. Na promenadzie wiatr unosił pasemka pługowego piasku, a stare opakowania po słodyczach tańczyły między stertami trawy morskiej.

Przez parę godzin chodziłem po centrum miasta w poszukiwaniu Johna Drummonda, ale w ciągu tego pierwszego popołudnia nie spotkałem nikogo w wieku od trzech do sześćdziesięciu pięciu lat. Zaczął padać zimny, zacinający deszcz, więc przycisnąłem guzik dzwonka jednej z tych edwardiańskich willi z czerwonej cegły, stojących wzdłuż wybrzeża, i zamówiłem pokój na noc.

Nie był nadzwyczajny, ale okazał się ciepły; na kolację podano rybę z frytkami, którą zjadłem w małej jadalni, w towarzystwie dwóch komiwojażerów, niezamężnej mamusi zasmarkanego, wierzącego się chłopca w drelichowych, poplamionych moczem spodenkach, oraz

wąsatego emerytowanego pułkownika w kurtce z naszywanymi łatami skórzanymi na rękawach, od czasu do czasu przeczyszczającego sobie gardło z hałasem przypominającym kanonadę armatnią.

Nie grały werble, ni pieśń nie rozbrzmiała  
Gdy ciało za wał ponieśliśmy.

Następnego ranka ciągle jeszcze padało, mimo to poszedłem szarymi ulicami szukać Johna Drummonda. Znalazłem go zupełnie przypadkowo w pubie na rogu River Road, siedzącego na uboczu nad niettkniętą pintą McEwana i na pół zjedzoną torebką słonych octowych frytek. Palił papierosa za papierosem i patrzył obojętnie przed siebie.

Był chudy, znacznie chudszy niż wtedy, gdy go ostatnio widziałem; włosy rosły mu dziko i zaczynały siwieć. Przypominał trochę - od dzieciństwa starego - Pete'a Townsenda. Miał na sobie obcisłe czarne spodnie i obszerną kurtkę z czarnej skóry, wyposażoną w przynajmniej pięćdziesiąt znaków błyskawicznych i metalowych kółek. Na klapie kurtki widniała naszywka z motywem biegnących nóg i z napisem: Running Men Tour 1986.

Postawiłem swoje piwo na jego stoliku i przyciągnąłem krzesło. Nawet na mnie nie spojrzał.

- John? - odezwałem się dość niepewnie.

Popatrzył na mnie i oczy mu się zwięzły.

- John, to ja, Charlie. Charlie Goode. Pamiętasz mnie?

- Charlie Goode? - zapytał leniwie. A potem bardzo powoli, jakby proces rozpoznawania przebiegał w jego świadomości z szybkością opadania kamyka, wrzuconego do gęstego syropu: - Cha-a-rlie Goode! Racja! Charlie Goode!

Jak się masz, człowieku? Nie widziałem cię od... Kiedy ostatnio cię widziałem?

- Na Isle of Wight.

- I rzeczywiście. Isle of Wight. Ch... mi w dupę.

Podniosłem do ust moje piwo i wypłem trochę. Otarłem wargi wierzchem dłoni.

- Szukam cię od wczoraj - powiedziałem.

Possał niedopałek papierosa, potem go rozgniół. Nie zrobił żadnej uwagi; sprawiał wrażenie, jakby mnie nie usłyszał.

- Nie wiem nawet po co - dodałem, starając się przyjąć niedbały ton. - Dlatego, że prosił mnie o to Jimi.

- Jimi cię o to prosił?

- Głupia sprawa, prawda? - zauważyłem z wymuszonym śmiechem. - Spotkałem go na ulicy w Notting Hill. On żyje.

John wyjął następnego papierosa i zapalił go tanią, plastikową zapalniczką. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Próbowałem dostać się do starej mety Moniki - tłumaczyłem bardzo poważnie. - Nie wyjaśnił mi po co. Dowiedział się, że ty tam trochę mieszkałeś po jego... no, po tym, jak przestał się pokazywać. Mówił, że muszę cię znaleźć, że to sprawa życia i śmierci. Nie pytaj mnie dlaczego.

John wydmuchnął kłąb dymu.

- Spotkałeś Jimiego, a on kazał ci odszukać mnie?

- Tak. Wiem, że to brzmi głupio.

- Nie, Charlie. To nie brzmi głupio.

Czekałem, aż powie coś więcej, wytłumaczy, o co tu chodzi, ale on nie chciał albo nie mógł. Siedział, palił, pił piwo i czasem mruczał coś w rodzaju:

- Jimi cię prosił, niech skonam! - Raz zaśpiewał urywek jednej ze starych piosenek Jimiego: "Czerwony dom tam stoi... mieszka w nim luba ma".

W końcu jednak opróżnił szklankę do końca, wstał od stolika i oznajmił:

- Chodźmy, Charlie! Powinieneś dowiedzieć się, o co w tym wszystkim idzie.

Zgarbiony, na uginających się nogach, wiódł mnie ulicami podczas padającego ciągle deszczu. Przecieliśmy River Road i weszliśmy na Arun Terrace, długą ulicę, wzdłuż której stały małe wiktoriańskie domki rzemieślników, o dachach krytych hipkiem i wykładanych majoliką gankach. Żywopłoty śmierdziały kocią uryną, a wśród gałęzi pełno było poutykanych pustych pudełek po papierosach. John pchnął bramkę domu nr 17, noszącego napis "Caledonian", i otworzył własnym kluczem frontowe drzwi. Wnętrze było mroczne i wypełnione mnóstwem dekoracyjnych przedmiotów. Miniaturowe okrętowe koło sterowe z wmontowanym barometrem, gipsowa głowa siwego Araba z sokołem na ramieniu, ogromna obrzydliwa waza wypełniona pomalowaną na różowo trawą z pampasów.

- Mój pokój jest na górze - powiedział i powiódł mnie w górę po nieprawdopodobnie stromych schodach, pokrytych czerwonym, wytłaczanym dywanem.

Na piętrze otworzył drzwi wiodące do małego pokoju: przeciętnego, zimnego angielskiego pokoju, z obszytą frędzlami kapą na łóżko, lakierowaną szafą na ubrania i kuchenką Baby Belling. Jedynym śladem tego, że mieszka w nim jeden z najlepszych gitarzystów od czasów Erica Claptona, była czarna błyszcząca gitara Fender Strat, upstrzona śladami palców.

John przyciągnął plecione krzesło z zapadniętym siedzeniem

- Rozgość się - zaproponował. Sam usiadł w nogach łóżka i znów wyciągnął papierosa.

Zająłem miejsce ostrożnie. Czułem się jak na dnie suchej studni. Przyglądałem się Johnowi palącemu w rozdrażnieniu papierosa. Z minuty na minutę stawał się coraz bardziej podniecony, a ja nie wiedziałem dlaczego. Po dłuższej chwili zaczął mówić bezbarwnym monotonnym głosem.

- Jimi zawsze opowiadał o czasach, kiedy występował z zespołem The Flames, dawno temu, jeszcze zanim zaczął być sławny, wkrótce po odejściu z wojsk desantowych. Grali pewnego razu w jakimś bezimiennym mieście w Georgii i wówczas to Jimi wplątał się w aferę z pewną dziewczyną.

Pamiętam do dziś, co o niej powiedział: "Przebiegła jak lis". W każdym razie spędził z nią całą noc, chociaż wiedział, że spóźni się na autobus i że dziewczyna ma męża, o którym mówiła, że zleje ją, kiedy wróci do domu.

Zwierzył się jej, że chce być sławny, a ona na to, że może mu to załatwić. Około czwartej nad ranem zaprowadziła go do tajemniczej starej kobiety, a ta kobieta dała mu voodoo. Powiedziała że dopóki będzie je żywił, pozostanie zdrowy i zyska sławę na całym świecie, i wszystkie jego marzenia zostaną spełnione. Ale w dniu, w którym przestanie je żywić, voodoo zabierze mu wszystko i Jimi będzie niczym, po prostu gównem. Jimi chciał być sławny za wszelką cenę. Potrafił dobrze grać na gitarze, ale dla niego to było za mało; on chciał grać olśniewająco. Chciał grać tak olśniewająco, żeby ludzie przestali wierzyć, że urodził się na Ziemi.

- Co się działo potem? - zapytałem. Deszcz bębnił o szyby, jakby ktoś sypał ziarenka grochu.

John wydmuchnął dym nosem i wzruszył ramionami.

- Kobieta dała mu voodoo, a reszta jest znana. Grał z Isley Brothers, Little Richardem, Curtisem Knightem. Później był sławny, a jeszcze później przestał w ogóle być. Po co, jak myślisz, napisał piosenkę Voodoo Chile? On sam był dzieckiem voodoo i to wszystko.

- John, on żyje - upierałem się. - Widziałem go i rozmawiałem z nim. Inaczej nie przyjechałbym tu. John jednak pokręcił głową.

- Nie ma go, Charlie. Nie ma go od dwudziestu lat. Kiedy stał się sławny, zaczął głodzić voodoo, które w rewanzu pozbawiło go sił i zmąciło umysł. Pragnął występować na koncertach z publicznością, ale voodoo sprawiło, że grał muzykę całkowicie niezrozumiałą dla przeciętnych słuchaczy, niezrozumiałą nawet dla największych gitarzystów. Pamiętasz Robina Trowera z Procol Harum? Pojechał obejrzeć występ Jimiego w Berlinie i powiedział, że Jimi był zdumiewający, ale słuchacze siedzieli ogłupiali. Robin był jednym z największych gitarzystów wszystkich czasów, ale nawet on nie mógł zrozumieć muzyki, którą grał Jimi. Jimi grał tak, że nikt go nie zrozumie przez następne sto lat. Jimi próbował pozbyć się voodoo, ale skończyło się na tym, że voodoo pozbyło się jego. Voodoo go po prostu zniszczyło. Jeśli nie będziesz żył ze mną, to nie będziesz w ogóle żył.

Ale nie umrzesz. Będiesz niczym, absolutnie niczym. Będiesz niewolnikiem i sługą, i tak będzie już zawsze.

- Mów dalej - wyszeptałem.

- Miał tylko jedno wyjście: wrócić z voodoo do tego miasteczka w Georgii, skąd pochodziło. To znaczyło, że musi opuścić swój grób w Seattle, pojechać do Anglii, odszukać voodoo, wrócić i podarować je komuś; jeśli bowiem osoba, której oddaje się voodoo, nie przyjmie go w prezencie, voodoo jest w dalszym ciągu twoje, człowieku. W dalszym ciągu twoje - na zawsze.

Siedziałem na tym komicznym krześle z zapadniętym siedzeniem. i nie wierzyłem uszom.

- Co właściwie usiłujesz mi wmówić? Że Jimi jest czymś w rodzaju zombie? Ożywionym trupem? John palił i patrzył przed siebie. Nawet nie próbował mnie przekonywać.

- Widziałem go - nalegałem. - Widziałem go, a poza tym telefonował do mnie. Zombie nie rozmawia przez telefon.

- Człowieku, pozwól, że coś ci powiem - odparł.- Jimi był martwy od chwili, w której przyjął voodoo. Tak samo jak ja.

- Jak to?

- Chcesz, żebym ci pokazał?

Przełknąłem ślinę.

- Nie wiem... może... tak, pokaz!

Podniósł się niezdarnie, zdjął swoją czarną, wytartą kurtkę i rzucił na łóżko. Potem skrzyżował ramiona i uniósł koszulkę.

Miał białą skórę i szkieletowaty tułów; był tak chudy, że widać było żebra i arterie, a także bicie serca. Najbardziej zaszokował mnie jego brzuch. Przywiązana była do niego, cienkimi sznurkami ze splecionych włosów, płaska hebanowa figurka, z wyglądu bardzo afrykańska, podobna do małej małpki, przyozdobiona piórami i podejrzanie wyglądającymi kawałkami suszonej skóry.

W jakiś sposób figurka małpki stała się częścią Johna. Nie można było rozpoznać, gdzie kończyła się figurka, a gdzie zaczynało ciało Johna. Wydawało się, że jego skóra obrosła hebanową główkę, że za półprzezroczystym przylepcem widnieją wygięte, hebanowe szczęki.

John pozwolił mi chwilę popatrzeć, potem opuścił koszulkę.

- Znalazłem to w korytarzu Moniki, pod podłogą. Było owinięte w starą koszulę Jimiego. Jestem przekonany, że ona nic o tym nie wiedziała. Zdawałem sobie sprawę, że to jest niesamowite i niebezpieczne, ale, człowieku, chciałem być sławny. Chciałem mieć pieniądze. Myślałem, tak jak Jimi, że dam sobie z tym radę. Przez czas jakiś nosiłem to pod koszulą, luźno przywiązane do mnie w pasie. Karmiłem małymi kęskami, tak jak się karmi małe zwierzątka domowe. W rewanżu

w pewien sposób mi śpiewało. Trudno ten śpiew opisać, trzeba go usłyszeć. Śpiewało mi, a mnie nie pozostawało nic innego jak grać to, co ono śpiewało. Wówczas zaczęło chcieć więcej. Przywierało do mnie mocniej i mocniej, a to mi było potrzebne, bo kiedy ono było mocno do mnie przytulone, wtedy śpiewało cudowne melodie, a ja stawałem się coraz sławniejszy. Któregoś ranka obudziłem się i stwierdziłem, że wygryzło dziurę w mojej skórze i włożyło pyszczek do środka. Miałem bolesną ranę, ale moja muzyka była jeszcze lepsza. Nie musiałem nawet słuchać jego śpiewu, muzyka tkwiła już we mnie. Nie musiałem też karmić go więcej małymi kawałkami, ponieważ samo wysysało ze mnie to, co jadłem. Kiedy zaczęło jeść prosto z mojego żołądka, zorientowałem się, co się dzieje. Moja muzyka stawała się taka, że nie można jej było porównać z żadną inną. Zabrnąłem już tak daleko, iż nie było powrotu. - przerwał na chwilę i zakaszłał. - Jimi zdjął je, nim wgrzyzło mu się do jelita. Ale nie mógł grać bez niego. Był już uzależniony. Voodoo to gorszy narkotyk niż jakikolwiek, o którym słyszałeś w całym swoim życiu. Jimi używał wszystkiego: pigułek, alkoholu, LSD i innych narkotyków, jeśli jednak ktoś nie był uzależniony od voodoo, to nie wie, co to jest uzależnienie.

- Co chcesz więc zrobić? - zapytałem go.

- Nic. Żyć dalej.

- Nie możesz oddać go Jimiemu?

- Popelniając samobójstwo? Człowieku, ono jest częścią mnie samego. Czy można wydrzeć sobie serce?

Siedziałem u Johna, gawędząc z nim o latach sześćdziesiątych, aż zaczęło się ściemniać. Rozmawialiśmy o Bondym, występującym w Brighton Aquarium, Johnie Mayallu, Chrisie Farlowe i Zocie Moneyu występującymi w All-Nighter na Wardour Street, gdzie można było dostać po pysku za samo patrzenie na czyjąś dziewczynę. Przypomnieliśmy sobie, jak w zimne, słoneczne, jesienne popołudnia siadywali w Tooting Graveney Common, słuchając zespołu Turtles z tranzystorowego radjka od Bootsa. Mówiliśmy o Bo Street Runners i o Crazy World of Arthur Brown. O dziewczynach w minispódniczkach i o białych butach z polichloru winylu.

Wszystko to minęło. Wszyscy zniknęli, jak kolorowe przezroczyste cienie. W tamtych czasach nie przychodziło nam do głowy, że to się kiedyś skończy.

Ale pewnego ponurego wieczoru w 1970 roku, idąc Chancery Lane zobaczyłem plakat "Evening Standard" z ogłoszeniem: "Jimi Hendrix nie żyje". Było to równoznaczne z zawiadomieniem, że nasza młodość minęła.

Wyszedłem od Johna po ósmej. Pokój był tak ciemny, że nie widziałem jego twarzy. Rozmowa dobiegła końca, więc wyszedłem. Nie powiedział nawet "Do widzenia!"

Wróciłem do hoteliku. Kiedy wchodziłem frontowymi drzwiami, wąsaty pułkownik podał mi ciężką, czarną słuchawkę telefoniczną i oświadczył ochryple:

- To do pana.

Podziękowałem mu, a on odchrząknął w sposób przypominający odgłos karabinu Brenna.

- Charlie? Tu Jimi. Znalazłeś go?

Zawahałem się. Potem rzekłem:

- Tak, znalazłem.

- Czy jeszcze żyje?

- Tak... na swój sposób.

Człowieku, gdzie on jest? Muszę to wiedzieć.

- Nie wiem, czy powinienem ci powiedzieć.

- Charlie, czy nie byliśmy przyjaciółmi?

- Myślę, że tak.

- Charlie, musisz mi powiedzieć, gdzie on jest. Musisz!

W jego głosie było tyle paniki, że postanowiłem mu pomóc.

Usłyszałem siebie przekazującego adres głosem brzuchomowcy. Nie miałem odwagi próbować wyobrazić sobie, co się będzie działo, jeśli Jimi uda się po swoje voodoo. Może od samego początku powinienem był pilnować własnego nosa. Wszyscy mówili, że zadawanie się z umarłymi jest niebezpieczne. Umarli mają inne potrzeby niż żyjący; inne pragnienia. Umarli są bardziej zdesperowani, niż możemy przypuszczać.

Nazajutrz po śniadaniu poszedłem do mieszkania Johna. Zadzwoiłem i po chwili stara zrzędzająca kobieta, z cętkowanym kotem na ramieniu, wpuściła mnie do środka.

- Z wami, młodymi, to tylko kłopoty. Tylko hałas. Tylko głośnie muzyka. Sami chuligani.

- Przykro mi - powiedziałem, ale chyba nie usłyszała.

Poszedłem po schodach na górę. Przed drzwiami pokoju zawahałem się. Słyszałem magnetofon kasetowy Johna i wodę płynącą z kranu. Zapukałem - za słabo, żeby John mógł usłyszeć. Zapukałem jeszcze raz - mocniej.

Nikt nie odpowiadał. Woda ciekła w dalszym ciągu a z magnetofonu rozlegało się Are you experienced... have you ever been experienced?

- John? - zawołałem. - To ja, Charlie!

Otworzyłem drzwi. Wiedziałem, co się stało, nim jeszcze ogarnąłem wzrokiem całą scenę. Jimi dostał się tu przede mną.



Na ciemnej, przemoczonej kapie, przykrywającej łóżko leżał tułów Johna, szeroko rozdarty: płuca, żołądek i wątroba stanowiły kompozycję jasnych kolorów na tle pajęczej sieci tkanki tłuszczowej i pooddzieranej skóry. Jego głowa leżała w umywalce, kołysząc się pod strumieniem wody. Od czasu do czasu prawe oko patrzyło na mnie oskarżająco z nadporcelanowego obrzeża umywalki. Poodrywane nogi, wepchnięte pod łóżko, zostawiły na dywanie krwawe ślady.

Voodoo zniknęło.

Zostałem w Littlehampton jeszcze tydzień, "pomagając policji w śledztwie". Wiedzieli, że ja tego nie zrobiłem, ale mocno podejrzewali, że znam sprawcę. Cóż mogłem im powiedzieć? "Naturalnie, komisarzu! To zrobił Jimi Hendrix!"

Wtedy wsadziliby mnie do jednego z tych nadmorskich szpitali dla wariatów w Eastbourne.

Jimi nigdy się już nie odezwał. Nie wiem, w jaki sposób umarli przemierzają oceany, ale wiem, że to robią. Kim są te samotne postacie, stojące przy poręczach islandzkich statków towarowych, patrzące na spieniony kilwater? Ci milczący pasażerowie dalekobieżnych autobusów?

Może udało mu się namówić tamtą starą kobietę, żeby przyjęła voodoo. Może nie. Ale ja przypiąłem kopertę albumu Are You Experienced? na ścianie w kuchni, i kiedy na nią patrzę, mam świadomość, że spoczywa w spokoju.

## **OBIEKT SEKSUALNY**

Boston, Massachusetts

Mało jest na świecie miast, które miałyby lepsze restauracje, gorszych polityków i bardziej chimeryczne zespoły sportowe. U Jaspera na Commercial Street podają mięczaki i pieczonego diabła morskiego. Danie takie spożywalibyście z apetytem, gdyby nawet to był wasz ostatni posiłek. Politycy? Nie trzeba szukać daleko wystarczy wskazać Teda Kennedy'ego. Zespoły sportowe? Proszę bardzo: Red Sox i New England Patriots. Kiedy Patriots zostali oskarżeni przez Lisę Olson z "Boston Herald" o molestowanie seksualne, Vidor Kiam, właściciel zespołu, zażartował: "Co ma wspólnego Lisa Olson z Saddamem Husajnem? Oboje widzieli z bliska rakiety Patriots".

Boston ma wszystko to, co sprawia, że Nowa Anglia jest wspaniała: kraby, jachty, kulturę i pieniądze. Cierpi na te same choroby, na które cierpi większość amerykańskich miast. Slumsy Blue Hill Avenue, handel narkotykami na Seaver Street. Mike Barnicle z "Boston Globe" tak pisze na temat Aten Północy: "kabotyńskie miasto; osobliwe, brudne, prowincjonalne, chociaż wielkie miasto bez znaków ulicznych".

A jednak Boston w porównaniu z innymi miastami ma znacznie więcej lekarzy. Od New England Medical Center po Brigham & Women's Hospital; od Massachusetts General do England Deaconess - Boston ma najinteligentniejszych, najzdolniejszych lekarzy na świecie. Jeśli jesteście chorzy, to jedźcie do Bostonu.

Także wtedy, gdy potrzebna wam jest jakaś zmiana...

Siedziała wyprostowana na czarnym szwedzkim krześle, ze skrzyżowanymi nogami, na tle mglistego, popołudniowego światła. Nosiała doskonale skrojoną suknię od Karla Lagerfelda. Nogi miała również doskonale.

Doktor Arcolio nie widział wyraźnie twarzy kobiety, ponieważ siedziała na tle światła. Ale wystarczył mu jej głos, w którym brzmiała rozpacz; rozpacz, jaką mogą przeżywać tylko żony bardzo bogatych mężczyzn.

Żony przeciętnych mężczyzn nigdy o takich rzeczach nie myślą, tym bardziej nie mogą z ich powodu rozpaczać.

- Mój fryzjer powiedział mi, że pan jest najlepszy.

Doktor Arcolio pocierał palcami o palce. Był łyсы, śniady i miał obficie owłosione ręce.

- Pani fryzjer? - powtórzył.

- John Sant'Angelo... on ma przyjaciela, który chciał zmienić płeć.

- Rozumiem.

Była rozdygotana, nerwowa, niespokojna niczym rasowy koń.

- Chodzi o to... on powiedział, że pan może zrobić to inaczej niż inni... że pan zrobi to tak, że to będzie prawdziwe. Powiedział, iż pan zrobi to tak, że będzie się czuło, że to jest prawdziwe. Że będą prawdziwe reakcje... I wszystko inne.

Doktor Arcolio zastanowił się, potem przytaknął.

- To prawda. Ale wówczas będzie to transplantacja, a nie modyfikacja istniejącej tkanki. Tak jak w przypadku serca lub nerki... musimy znaleźć dawcę organu, a potem ten organ przenieść i mieć nadzieję, że nie zostanie odrzucony.

- Czy gdyby pan znalazł dawcę... zrobiłby mi pan to?

Doktor Arcolio wstał i chodził powoli po swoim biurze. Był bardzo niski, miał nie więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów, ale jego spokój i aparycja sprawiały, że oglądało się go i słuchało z najwyższym zainteresowaniem. Ubrany był bardzo starannie w trzyczęściowy prążkowany garnitur, z białym goździkiem w butonierce, a na nogach miał wyczyszczone do wysokiego połysku oksfordy.

Podszedł do okna, odsunął zasłony i przez dłuższą chwilę spoglądał w dół na Brookline Place. Nie padało od siedmiu tygodni; niebo nad Bostonem przybrało osobliwy brązowy kolor.

- Zdaje pani sobie sprawę z tego, że to, o co mnie prosi, może budzić wątpliwości zarówno z medycznego, jak i z moralnego punktu widzenia.

- Dlaczego? - odparowała. - To jest coś, czego chcę. To jest coś, czego potrzebuję.

- Pani Ellis, operacje, które przeprowadzam, mają na celu zmianę stanu fizycznego u pacjentów, u których nie jest on zgodny z ich świadomością. Mam do czynienia z transseksualistami, pani

Ellis, mężczyznami, którzy mają penisy i jądra, lecz psychicznie są kobietami. Kiedy wycinam im męskie genitalia i zastępuję je damskimi... to po prostu zmieniam im ciała, żeby były zgodne z ich świadomością. Ale w pani przypadku...

- Jeśli o mnie chodzi, to mam trzydzieści jeden lat, męża, który jest bogatszy niż cały stan Massachusetts. Jeżeli nie zrobię sobie tej operacji, to prawdopodobnie stracę go, i zarazem wszystko, o czym kiedykolwiek marzyłam. Sądzi pan, że to podpada pod tę samą kategorię co pańscy transseksualiści? Czy w rzeczywistości nie uważa pan, że moja potrzeba jest donioślejsza niż potrzeby wielu pańskich mężczyzn, którzy chcą zmienić się w kobiety tylko dlatego, że lubią nosić buty na wysokich obcasach, pasy z podwiązkami i majtki od Fredericka z Hollywood?

Doktor Arcolio uśmiechnął się.

- Pani Ellis... jestem chirurgiem. Przeprowadzam operacje po to, by wydobyć ludzi z głębokiej depresji psychicznej. Muszę przestrzegać pewnych ściśle ustalonych zasad etycznych.

- Doktorze Arcolio, ja cierpię z powodu głębokiej depresji psychicznej. Mój mąż zdradza wszelkie oznaki znudzenia się mną w łóżku, a ponieważ jestem jego piątą żoną, mogę się spodziewać, że wystąpienie przez niego o rozwód to tylko kwestia czasu.

- Ale to, czego pani się domaga... jest tak radykalne. Jest więcej niż radykalne. To zostanie już na zawsze. Czy wzięła pani pod uwagę, że to zniekształci panią jako kobietę?

Pani Ellis otworzyła swój czarny portfel ze skóry aligatora i wyjęła czarnego papierosa, którego zapaliła czarną emaliowaną zapalniczką Dunhill. Zaciągnęła się i wydmuchnęła dym.

- Chce pan, żebym była z panem całkowicie szczerą? - zapytała.

- Nawet nalegam.

- Wobec tego musi pan wiedzieć, że Bradley ma prawdziwy pociąg do grupowego seksu... do zapraszania swoich kolegów, żeby ze mną też spółkowali. W ostatnim tygodniu, po wieczorze baletowym na cele dobroczynne w Great Woods, zaprosił siedmiu z nich do domu. Siedmiu dobrze naoliwionych plutokratów z Back Bay! Kazał mi się rozebrać, podczas gdy oni pili martini w bibliotece. Potem przyszli na górę, wszyscy razem.

Doktor Arcolio studiował swój oprawiony w ramki dyplom z Brigham and Women's Hospital, jakby go nigdy przedtem nie widział. Serce biło mu szybko; nie wiedział z jakiego powodu. Syndrom Wolffa-Parkinsona-White'a? Albo migotanie Przedsiionków? A może lęk, przyprawiony odrobinę podnieceniem seksualnym? Odezwał się tak obojętnie, jak tylko potrafił:

- Kiedy mówiłem o szczerości... No, nie musiała mi pani opowiadać o tych wszystkich rzeczach. Jeśli zdecyduję się na zrobienie tej operacji, to tylko na podstawie niezależnych od siebie zaleceń pani lekarza domowego i pani psychiatry.

Pani Ellis, nie zwracając na niego uwagi, ciągnęła dalej.

- Wleźli na mnie i otoczyli mnie ze wszystkich stron, wszyscy razem. Czułam, że się duszę wśród tych spoconych cielsk. Bradley wszedł we mnie od tyłu, George Carlin od przodu. Dwaj inni wepchnęli fiuty w moje usta, aż zaczęłam się dławić. Dwaj następni wpychali mi swoje fujary w uszy. Pozostali dwaj atakowali moje piersi. Wpadli w zgodny rytm, jak drużyna wioślarska Ivy League. Ryczeli za każdym pchnięciem. Ryczeli. Ja, w środku całego tego ryku i rytmu, czułam się manekinem. Potem dwaj z nich wytrysnęli w moje usta, dwaj w uszy, a następni dwaj na moje piersi. Bradley był ostatni. Kiedy skończył i wyszedł ze mnie, cała ociekałam już spermą; wtedy właśnie zorientowałam się, że Bradleyowi potrzebny jest przedmiot. Nie żona ani kochanka, lecz obiekt seksualny.

Doktor Arcolio nie odpowiedział. Zerknął na panią Ellis, ale jej twarz była zasłonięta kłębam dymu z papierosa.

- Ponieważ Bradleyowi potrzebny jest obiekt seksualny, więc postanowiłam, że skoro tak jest, to ja stanę się obiektem seksualnym. Co za różnica? W zamian za to Bradley będzie szczęśliwy, a moje życie nie ulegnie zmianie. - Jej śmiech zadźwięczał jak pękający kieliszek do szampana. – Będę nadal bogata, rozpieszczona, bezpieczna. I nikt nie będzie wiedział.

- Nie mogę tego zrobić. To wykluczone! – powiedział doktor Arcolio.

- Domyślałam się, że pan tak powie - odparła pani Ellis. - Przyszłam przygotowana.

- Przygotowana? - doktor Arcolio zmarszczył brwi.

- Mam dokumenty dotyczące trzech transplantacji genitaliów, które przeprowadził pan bez zgody wykonawców testamentów. Jane Kestenbaum, dwunasty sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt siedem; Lydia Zerbey, dziewiąty lutego tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem; Catherine Stimmel, siódmy czerwca tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt osiem. Wszystkie trzy zgodziły się na oddanie wątroby, nerek, serca, oka i ptuc. Żadna z nich nie zgodziła się na wycięcie genitaliów. - Zakaszła lekko. - Znam szczegóły, mam całą dokumentację. Pierwsze dwie operacje przeprowadził pan w Brookline Clinic, pod pozorem operowania raka jądra, trzecią zaś w Lowell Medical Center, pod pretekstem operowania podwójnej przepukliny.

- No, cóż - westchnął doktor Arcolio. - Po raz pierwszy pacjent szantażuje mnie dlatego, że chce, bym przeprowadził operację.

Pani Ellis wstała. Światło padło na jej twarz. Była efektownie piękna, miała wysokie kości policzkowe, niczym Greta Garbo, prosty nos i usta złożone jak do pocałunku. Jej oczy przypominały dwa matowe szafiry. Sytuacja, w której kobieta o takiej powierzchowności błaga o przeprowadzenie na niej operacji, wręcz zmusza go do tego, wydawała się nieprawdopodobna.

- Nie mogę tego zrobić - powtórzył.

- Ależ nie, doktorze Arcolio. Pan to zrobi. Bo jeśli nie, to wszystkie dane na temat pańskich lajdackich operacji znajdą się w biurze prokuratora okręgowego, a wtedy pójdzie pan prosto do więzienia. A kiedy pan będzie siedział, to proszę pomyśleć o tych wszystkich transseksualistach, którzy, pogrążeni w głębokiej depresji psychicznej, zmarnieją, skazani na pleć, tak absolutnie nie pasującą do ich świadomości.

- Pani Ellis. . .

Postąpiła naprzód. Była groźna i pełna wdzięku, i w swoich popielatych butach na wysokich obcasach prawie dziesięć centymetrów wyższa od niego. Pachniała papierosami i perfumami Chanel Nr 5. Miała długie nogi i zdumiewająco duże piersi, ale jej suknia była tak świetnie skrojona, że biust wydawał się proporcjonalny. Nosiła platynowe kolczyki od Guerdiera.

- Doktorze - powiedziała, i wtedy po raz pierwszy spostrzegł w jej mowie lekki akcent Nebraski - ja muszę tak żyć. Żeby w dalszym ciągu tak żyć, potrzebna mi jest operacja. Jeżeli pan mi jej nie zrobi, jeżeli pan mi nie pomoże, to przyrzekam, że zrujnuję pana.

Doktor Arcolio spojrział na swój rozkład dnia, leżący na biurku. Notatka napisana jego własnym, starannym pismem informowała że pani Ellis jest z nim umówiona o godzinie piętnastej czterdzieści pięć. Jak bardzo teraz tego żałował.

Odezwał się spokojnie:

- Musi pani spełnić trzy warunki. Po pierwsze: musi pani przyjść do mojej kliniki na Kirkland Street w Cambridge w ciągu godziny od chwili zawiadomienia. Po drugie: nie wolno pani powiedzieć absolutnie nikomu o operacji, poza mężem, który jest jej przyczyną.

- A trzeci warunek?

- Trzeci warunek jest taki, że zapłaci mi pani pół miliona dolarów w papierach wartościowych w najbliższym czasie, a następne pół miliona po udanym zakończeniu operacji.

Pani Ellis skinęła lekko głową na znak zgody.

- A zatem umowa stoi - dodał doktor Arcolio. - Chryste, nie wiem, kto tu jest bardziej zwariowany: pani czy ja.

Któregoś dnia w lutym, kiedy Helen Ellis jadła lunch u Jaspera na Commercial Street, w towarzystwie swojej przyjaciółki Nancy Pettigrew, podszedł do stolika starszy kelner i szepnął jej do ucha, że jest do niej telefon.

Właśnie podano talerz z dziewięcioma mięczakami w czerwonym chili i kieliszek schłodzonego szampana.

- Ktokolwiek to jest, proszę powiedzieć, że zatelefonuję po lunchu.

- Pani Ellis, rozmówca powiedział, że to bardzo pilne.

Nancy się roześmiała.

- Czy to twój tajemny kochanek, Helen?

- Ten pan zaznaczył, że czas jest bardzo istotny – dodał poważnie starszy kelner.

Helen odłożyła widelec. Nancy zmarszczyła brwi i zapytała:

- Źle się czujesz, Helen? Zbladłaś jak płótno.

Kelner odsunął krzesło Helen i towarzyszył jej w drodze do kabiny. Podniosła słuchawkę i powiedziała słabo brzmiącym głosem:

- Mówi Helen Ellis.

- Mam dawczynię - oznajmił doktor Arcolio. - W dalszym ciągu chce pani tej operacji?

Helen przełknęła ślinę.

- Tak, w dalszym ciągu chcę tej operacji.

- W takim razie proszę natychmiast przybyć do Cambridge. Czy pani coś piła lub jadła?

- Właśnie rozpoczynałam lunch. Zjadłam trochę chleba.

- Proszę nic więcej nie jeść i nie pić. I proszę zaraz przyjechać. Im prędzej pani przybędzie, tym większa szansa na pomyślny wynik.

- Dobrze - odparła Helen. Po sekundzie dodała: - Kto to był?

- Nie rozumiem?

- Dawczyni. Kim była? Dlaczego umarła?

- Nie musi pani tego wiedzieć. Z psychologicznego punktu widzenia lepiej, żeby pani nie wiedziała.

- Bardzo dobrze - oświadczyła Helen. - Będę za dwadzieścia minut.

Wróciła do stolika.

- przepraszam cię, Nancy. Muszę zaraz jechać.

- Teraz, kiedy właśnie rozpoczynałyśmy lunch? Co się stało?

- Nie mogę ci powiedzieć. Przepraszam!

- Wiedziałam - stwierdziła Nancy, rzucając serwetkę. - To na pewno kochanek.

- Wy tłumaczę pani to, czego mogłem dokonać - powiedział doktor Arcolio.

Działo się to prawie dwa miesiące później, w pierwszym tygodniu kwietnia. Helen siedziała na białej wyplatanej sofie, pełnej haftowanych poduszek, w wyłożonej białymi kafelkami altanie ich dedhamskiej rezydencji nad Charles River. W pomieszczeniu było żółto od żonkili. Na zewnątrz ciągle jeszcze panował dotkliwy chłód. Niebo nad szklaną kopułą altany miało kolor splukanego deszczem atramentu, a na trawniku, tam gdzie słońce jeszcze nie dotarło, bielił się równoległobok szronu.

- Przy zwykłej operacji transseksualnej wycina się jądra oraz erekcyjną tkankę penisa. Następnie wkłada się skórę penisa do jamy, tworząc w ten sposób sztuczną pochwę. Ponieważ jest sztuczna, zatem jest pod wieloma względami niezadowolająca, przede wszystkim ze względu na brak pełnej reakcji erotycznej. Ja natomiast mogę dać moim pacjentkom prawdziwą pochwę. Mogę wyjąć z ciała dawczyni cały srom, wraz z mięśniami, otaczającą go tkanką erekcyjną i z pochwą. Mogę przetransplantować go do ciała odbiorcy. Następnie, stosując techniki mikrochirurgiczne, które pomagałem rozwijać w MIT, wszystkie ważniejsze włókna nerwowe przyłączam do centralnego układu nerwowego pacjentki... W ten sposób pochwa i łechtaczka reagują pod względem erotycznym tak samo jak w ciele dawczyni.

- Za bardzo mnie boli, bym mogła czuć podniecenie - powiedziała Helen, uśmiechając się blado.

- Wiem. To nie potrwa długo. Robi pani małżeńskie postępy.

- Czy sądzi pan, że jestem naprawdę zwariowana?

- Nie wiem. To zależy od tego, jaki ma pani cel.

- Mój cel to zachować poziom życia, jaki pan tu widzi.

- No tak odparł doktor Arcolio - sądzę, że się pani powiedzie. Mąż nie może się zapewne doczekać chwili, kiedy znów będziecie mogli uprawiać seks.

- Przepraszam za to, że zmusiłam pana do złamania pańskich zasad etycznych - powiedziała Helen. Doktor Arcolio wzruszył ramionami.

- Trochę na to za późno. Ale muszę się przyznać, że jestem dumny z tego, co udało mi się osiągnąć. Helen wzięła ze stolika mały srebrny dzwoneczek i zadzwoniła.

- Napije się pan szampana, baronie Frankenstein?

W drugi piątek maja weszła do mrocznej, wysoko sklepionej biblioteki, gdzie zwykle pracował Bradley, i stanęła na środku pokoju. Po raz pierwszy weszła do biblioteki bez pukania.

Miała na sobie długą szkarłatną jedwabną szatę, obszywaną koronkami, i szkarłatne szpilki. Włosy były zakręcone w loki i upięte szkarłatną wstążką.

Spoglądała lekko zamglonymi szafirowymi oczami, na ustach igrał niewinny uśmiech, lewą rękę oparła na biodrze, parodiując oczekujące przy krawężnikach prostytutki.

- Więc co? - zapytała. - Jest czwarta. Czas do łóżka.

Bradley cały czas wiedział, że ona tam stoi, i chociaż marszczył się z przejęciem nad trzymanymi w rękę dokumentami własności gruntów, nie był w stanie odcyfrować nawet pojedynczego słowa. W końcu podniósł głowę, próbował coś powiedzieć, zakaszłał i chrząknął.

- Czy to jest gotowe? - udało mu się w końcu wykrztusić.



- To? - zapytała. Nabrała pewności siebie. Po raz pierwszy od długiego czasu miała coś, czego Bradley rzeczywiście pożałował.

- To znaczy czy ty jesteś gotowa? - poprawił się. Wstał.

Był niezwykle masywnym, szerokim w ramionach mężczyzną,

W wieku pięćdziesięciu pięciu lat. Miał srebrne włosy i lwią głowę, która doskonale by wyglądała jako rzeźba ogrodowa. Należał do przedstawicieli prawdziwej bostońskiej elity magnatów okrętowych, właścicieli ziemskich, wydawców gazet - a obecnie był największym w zachodnim świecie pośrednikiem w handlu technologią laserową.

Powoli do niej podszedł. Nosił bawełnianą koszulę w niebiesko-białe pasy, niebieskie spodnie i fantazyjne kasztanowate szelki. Była to prezencja pielęgnowana przez elitę: prezencja magnata prasowego albo przedstawiciela kół polityki czy biznesu. Chociaż przestarzała, stanowiła część charyzmy Bostonu.

- Pokaż mi! - powiedział. Mówił powoli, miękkim, dudniącym głosem. Helen bardziej poczuła, niż usłyszała to, co wyrzekł. Zabrzmiało to jak odległy, zbliżający się grzmot.

- W sypialni - zaprotestowała. - Nie tutaj.

Rozejrzał się po bibliotece. Na półkach leżały zabytkowe, oprawione w skórę książki, na ścianach wisiały ciemne portrety przodków rodziny Ellis. W rogu biblioteki, blisko okna stała ta sama płaska maszyna drukarska, na której prapradziadek Bradleya drukował pierwsze wydania Beacon Hill Messenger.

- Gdzie znajdziesz lepsze miejsce niż tutaj? - zaprotestował. Wprawdzie dysponowała tym, czego potrzebował najbardziej, mimo to jego wola ciągle była dla niej rozkazem.

Pozwoliła żeby szkarłatna jedwabna szata zsunęła się z jej ramion i z szelestem ześliznęła na podłogę, gdzie wyglądała jak błyszcząca kałuża świeżej krwi. Pod spodem miała szkarłatny, częściowy stanik, który podnosił i rozdzielał jej duże białe piersi, ale ich nie zasłaniał. Sutki miały kolor malin.

Uwagę Bradleya przykuwał szkarłatny jedwabny trójkąt między nogami. Szarpnięciem poluźnił krawat i rozpiął kołnierzyk, a jego oddech stał się płytki i chrapliwy.

- Pokaż to! - powtórzył.

- Nie jesteś przestraszony? - zapytała. Jakoś wydawało jej się, że mógłby być.

Zmierzył ją szybkim, groźnym spojrzeniem.

- Przestraszony? O czym ty, do diabła, mówisz? Zaproponować mogłaś ty, ale ja za to zapłaciłem. Pokaż mi!

Poluźniła szkarłatną wstążkę majtek, które opadły na podłogę wokół jej lewej kostki, jak symboliczne, jedwabne okowy.

- Jezu - wyszeptał Bradley. - To jest fantastyczne.

Helen obnażyła swój blady, pulchny, wilgotny, nieskazitelny seks. Ale to nie było wszystko. Tuż nad jej własnym seksem był jeszcze jeden, tak samo pulchny, tak samo wilgotny, tak samo zapraszający. Tylko owalna blizna wskazywała miejsce, gdzie doktor Arcolio wszył go w dolną część jej brzucha; blizna nie bardziej szpecąca niż łagodne oparzenie pierwszego stopnia.

Bradley nie mógł wymówić ani słowa. Z rozszerzonymi oczami ukląkł przed nią na dywanie i oparł dłonie na jej udach. Z dziką, erotyczną rozkoszą gapił się na podwójny srom.

- To jest fantastyczne. To jest fantastyczne. To najbardziej niewiarygodna rzecz, jaką kiedykolwiek widziałem. - Popatrzył na nią. - Czy mogę tego dotknąć? Czy jest takie jak to pierwsze?

- Naturalnie, że możesz tego dotknąć - odparła Helen. - Zapłaciłeś za to, więc jest twoje.

Trzęsąc się pogłaskał gładkie wargi jej nowego seksu.

- Czujesz to? Rzeczywiście to czujesz?

- Oczywiście. Czuję bardzo przyjemnie.

Dotykał drugiej lechtaczki, aż zaczęła sztywnieć. Potem wsunął środkowy palec w ciepłą wilgotną głąb jej drugiej pochwy.

- To fantastyczne. Ma takie same reakcje. To niewiarygodne. Chryste! To niewiarygodne!

Podszedł do drzwi biblioteki, kopnięciem zatrzasnął je i przekręcił klucz w zamku. Wrócił na środek pokoju, ściągając po drodze szelki, koszulę i wyplątując się ze spodni. Nim doszedł do Helen, nie miał na sobie nic, z wyjątkiem obszernych prążkowanych szortów. Zrzucił je z siebie, odsłaniając potężną purpurową erekcję.

Pociągnął ją na dywan i z furią wszedł w nią bez jakiegokolwiek wstępu, w przyplýwie niepohamowanej żądzzy. Wszedł najpierw w nową pochwę, potem w jej własną, potem w odbytnicę. Przenosił się od jednego otworu do drugiego, jak zagłodzony człowiek, który nie jest w stanie wybrać między mięsem, chlebem i cukierkiem.

Helen z początku była przestraszona furią jego ataku i nie czuła nic poza tarcim i skurczami. Ale wraz z każdym pchnięciem, któremu towarzyszył pomruk wysiłku, zaczęła doznawać między nogami uczucia całkiem innego, niż to, co odczuwała kiedykolwiek przedtem: uczucia, które było podwojone, nawet potrojone. Uczucia, które było tak wszechogarniające, że obiema rękami przytrzymywała się dywanu w obawie, że straci świadomość. Kiedy Bradley raz po raz wchodził w jej drugą pochwę, czuła, że umrze albo zwariuje.

Potem - jak kobieta kąpiąca się podczas przyplýwu w ciepłym tropikalnym morzu - dała się ponieść fali.

Kiedy otworzyła oczy, Bradley stał przy telefonie, w dalszym ciągu nagi. Jego ciężkie ciało było białe i owłosione, a penis zwisał mu jak śliwka w skarpetce.

- George? Słuchaj, musisz przyjechać. Musisz zaraz przyjechać. To będzie najfantastyczniejsze przeżycie, jakiego doświadczyłeś w życiu. George, nie wymawiaj się, podnieś dupę, rzuć wszystko i przyjeżdż jak najprędzej. Nie zapomnij szczoteczki do zębów; przyrzekam ci, że nie wrócisz na noc do domu.

Obudziła się tuż przed świtem. Leżała naga na środku ogromnego łóżka. Po prawej stronie, przyciśnięty do niej leżał Bradley, chrapiąc donośnie. Jego ręka władczo obejmowała jej drugi seks. Po lewej stronie George Carlin chrapał w innej tonacji, jakby mu się coś śniło, a jego ręka spoczywała na jej oryginalnym seksie. Bolała ją rozszerzona odbytnica, a w ustach czuła suchy smak połkniętego nasienia.

Czuła się dziwnie: tak jakby nie była już pojedynczą istotą.

Druga pochwa przyniosła jej osobliwe poczucie rozdwojenia osobowości, także rozdwojenia cielesnego. Ale czuła się bezpieczniej. Bradley powtarzał wielokrotnie, że jest cudowna, że jest piękna i że nigdy, przenigdy jej nie opuści.

Doktorze Arcolio - pomyślała - byłby pan ze mnie dumny.

Była znowu zima. Spotkała się z doktorem Arcolio u Hamersleya. Doktor przybrał nieco na wadze, Helen zeszczuplała; zmalaty jej piersi i wyglądała na wycieńczoną. Bawiła się talerzem ze smażoną rają. Pod oczami miała cienie koloru masła kakaowego.

- Czy dzieje się coś złego? - zapytał. Zamówił wędzoną kuropatkę z marynatą brzoskwiniową i jadł szybko. - Nie ma pani problemów, wszystko jest w porządku?

Odłożyła widelec.

- Problem tkwi w odrzucaniu - powiedziała.

Usłyszał w jej głosie tę samą nutę rozpacz, którą wyczuł podczas ich pierwszego spotkania.

- W odrzucaniu? O czym pani mówi? Ostatnie badanie wykazało, że nie można rozpoznać miejsca, w którym kończy się pani tkanka i zaczyna tkanka dawczyni. Helen, ta pochwa stała się częścią pani.

- Nie mam na myśli takiego rodzaju odrzucania, Eugene.

Ona odrzuca Bradleya.

- Odrzuca Bradleya? Przepraszam, ale nie rozumiem. W jaki sposób odrzuca Bradleya?

- Z początku wszystko było dobrze, ale teraz, kiedy tylko Bradley usiłuje w nią wejść, ona się zaciska. Staje się sucha, gdy tylko próbuje ją pobudzić.

- A oryginalna pochwa?

- Nie ma z nią żadnego problemu.

Doktor Arcolio zasępił się nad jedzeniem.

- Może jest jakiś błąd w połączeniach nerwów.

- Myślę, że to nie ma nic wspólnego z połączeniami nerwów. Mam nie dosyć...

- Ma pani dwie pochwy i to pani nie wystarcza? - syknął. Brodaty mężczyzna, siedzący przy sąsiednim stoliku, odwrócił się i patrzył na niego w zdumieniu.

- Na początku było cudownie - próbowała wyjaśnić. - Kochaliśmy się po pięć, sześć razy dziennie. Uwielbiał to. Pod koniec dnia kazał mi spacerować nago, tak żeby móc na mnie patrzeć i dotykać mnie, kiedy tylko miał na to ochotę.

Dawałam pokazy erotyczne, używając świec i wibratorów, a kiedyś włączyłam do zabawy jego dwa szczeniaki.

Doktor Arcolio z trudem przełknął kolejny kęs.

- Kapitalne - powiedział i to było wszystko, na co mógł się zdobyć.

W kącikach oczu Helen pojawiły się łzy.

- Robiłam co mogłam, ale to było za mało. Po prostu za mało. Teraz ledwie mnie zauważa. Mówi, że spróbowaliśmy wszystkiego, co było możliwe. W zeszłym tygodniu pokłóciliśmy się i wtedy nazwał mnie potworem.

Doktor Arcolio położył dłoń na jej ręce, próbując podnieść ją na duchu.

- Obawiałem się, że sprawy mogą przybrać taki obrót. Rozmawiałem niedawno z moją przyjaciółką, seksuologiem. Uważa, że kiedy raz wejdzie się na drogę sadomasochizmu, przekłuwania sutków, przekłuwania warg sromowych, tatuazu lub jakiegokolwiek innej formy ciężkiej perwersji, wtedy ulegnie się obsesji i nigdy się już nie osiągnie pełnego zaspokożenia. Człowiek zacznie ścigać złudzenie najwyższego podniecenia... które po prostu nie istnieje. Dobry seks może być pasjonujący bez poprawiania natury. - Oparł się głęboko i z grymasem wytarł usta serwetką. - Na początku przyszłego tygodnia mogę pani zrobić operację korekcyjną. Pięćdziesiąt tysięcy zaliczki, pięćdziesiąt po zakończeniu operacji, prawie nie będzie śladów.

Helen zmarszczyła brwi.

- Znajdzie pan tak prędko dawczynię?

- Proszę? - zapytał doktor Arcolio. - Nie potrzebuje pani żadnych dawczyń. Po prostu wyjmemy drugą pochwę i zaszyjemy łono.

- Doktorze to nieporozumienie - wyjaśniła Helen. - Nie chcę, żeby pan usuwał drugą pochwę. Pragnę mieć jeszcze dwie.

Zapadła długa cisza. Doktor Arcolio oblizwał wargi, wypił szklankę wody i ponownie oblizwał wargi.

- Co pani powiedziała?

- Chcę mieć jeszcze dwie. Pan to potrafi zrobić, prawda?

Po jednej w dolnej części każdej piersi. Bradley będzie zachwycony. Wtedy będę mogła mieć dwóch mężczyzn w piersiach, trzech wewnątrz siebie i dwóch w ustach, a Bradley będzie zachwycony.

- Chce pani, żebym przetransplantował pochwy do pani piersi? Helen, to czego już dokonałem, jest wystarczająco nowatorskie. Nie mówiąc o tym, że byłoby to przerażająco pod względem etycznym i całkowicie nielegalne. Tym razem się nie zgadzam. Stanowczo nie! Może pani przesłać wszystkie obciążające mnie dane, dotyczące operacji transseksualnych do prokuratora okręgowego albo gdziekolwiek. Ale nie! Nie zrobię tego. Absolutnie nie!

Tegoż roku gwiazdkowym prezentem Bradleya dla sześciu jego przyjaciół było zaproszenie ich na kawalerską kolację. Zjedli upieczone na płomieniu befsztyki i wypili cztery dzbanki wytrawnego martini, a potem śmiejąc się i rycząc wtoczyli się do sypialni, gdzie czekała na nich Helen, naga, nieruchoma.

Wystarczyło jedno spojrzenie i ryk ucichł. Zbliźali się do niej, nie wierząc własnym oczom; patrzyli na nią... a ona tkwiła bez ruchu, całkowicie odsłonięta.

W pijanym zachwycie dwaj z nich wdarli się na nią okrakiem. Jednym z nich był prezes bostońskiego banku oszczędności. Helen nie знаła tego drugiego - z rudym wąsem i rudymi włosami na udach. Ujęli jej sutki między kciuki i wskazujące palce i podnieśli ciężkie piersi, jakby to były pokrywki półmisków w drogiej restauracji.

- Mój Boże - zachwycał się prezes banku. - To jest prawdziwe. To jest rzeczywiście prawdziwe.

Z narastającymi pomrukami podniecenia obaj mężczyźni wsunęli swoje zaczerwienione erekcje w śliskie szczeliny, otwierające się pod sutkami Helen.

Weszli głęboko w jej piersi, w miękką ciepłą tkanę, wykręcając sutki, aż wykrzywiła twarz z bólu.

Dwaj inni wtoczyli swoje penisy do jej ust, tak że ledwo mogła oddychać. Ale co tam. Najważniejsze było to, że Bradley krzyczał z rozkoszy, Bradley ją kochał, Bradley jej pragnął. Teraz Bradley nigdy się nią nie znudzi, teraz już na pewno nie. A gdyby nawet, wówczas znajdzie nowe sposoby, żeby go zadowolić.

I rzeczywiście nie znudziła mu się. Nie było na to dość czasu. Dwunastego września, dwa lata później, obudziła się i zobaczyła, że Bradley nie żyje; jego martwa ręka spoczywała jeszcze na

jej oryginalnym sromie. Został pochowany na terenie swojej posiadłości nad Charles River, zgodnie z osobliwym wierzeniem, że umarli mogą doglądać, a nawet troszczyć się o miejsca, gdzie zostali pochowani.

Doktor Arcolio przyszedł po pogrzebie do ich domu, napił się szampana i zjadł parę kawałków ryby, karczochy i trochę opiekanych żeberek. Wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami. Helen Ellis, mocno zawoalowana, trzymała się podczas całego pogrzebu osobno. Potem wycofała się do swoich prywatnych apartamentów, pozwalając rodzinie Bradleya, przyjaciołom od interesów i stronnikom politycznym wspominać go bez jej udziału.

Po jakimś czasie doktor Arcolio wstąpił po marmurowych, rozbrzmiewających echem schodach na górę i podszedł na palcach do jej pokoju. Trzy razy pukał do drzwi, nim słabym głosem odpowiedziała:

- Kto tam? Proszę odejść.

- Eugene Arcolio. Czy mogę z panią porozmawiać?

Nie było odpowiedzi, ale po bardzo długiej chwili drzwi się otwały i tak pozostały. Doktor Arcolio przyjął to za zaproszenie.

Wszedł ostrożnie do wewnątrz. Helen siedziała przy oknie, na krześle z twardym, pionowym oparciem. Ciągle jeszcze była zawoalowana.

- Czego pan chce? - zapytała. Głos miała przytłumiony i zniekształcony.

Wzruszył ramionami.

- Przyszedłem złożyć gratulacje.

- Gratulacje?

- Ależ tak... ma pani to czego chciała. Dom, pieniądze... wszystko.

Helen obróciła głowę w jego stronę i podniosła woalkę. Nie był zaszokowany. Wiedział, czego może się spodziewać. Przecież to on przeprowadził zabieg.

W każdym z jej policzków umieszczony był srom. Oba były wilgotne i miały wydatne wargi, tworząc surrealistyczną parodię okładki Rustlera. Trudny do zrozumienia kolaż żywego ciała, spokojnego piękna i absolutnego horroru.

Był to ze strony Helen ostatni akt całkowitego podporządkowania: poświęcenie własnej urody po to, by Bradley i jego koledzy mogli wkładać swoje penisy nie tylko w jej ciało, ale również w twarz.

Doktor Arcolio błagał ją, żeby z tego zrezygnowała, ale powiedziała mu, że popełni samobójstwo, potem zagroziła mu morderstwem, a na końcu ostrzegła, że opowie środkom masowego przekazu o tym wszystkim, co już dla niej zrobił.

- To jest odwracalne - przekonywał sam siebie, przyszywając starannie mięśnie pochwowe do tkanki jej policzków. - To jest całkowicie odwracalne.

Helen spojrzała na niego.

- Myśli pan, że dostałam wszystko, czego chciałam? - Kiedy mówiła, wargi pochwowe lekko się rozchylały.

Musiał odwrócić głowę. Widok tego, co zrobił, był ponad jego siły.

- Nie dostałam wszystkiego, czego chciałam – skarżyła się, a łzy zaczęły spływać po jej policzkach i skapywać z wywiniętych, różowych labia minora. - Chciałam mieć pochwy wszędzie, na całym ciele, tak żeby Bradley mógł na noc zapraszać dwudziestu przyjaciół, nawet stu... Wszyscy jednocześnie... w mojej twarzy, w udach, w brzuchu, pod pachami. On chciał mieć obiekt seksualny, Eugene, a ty wiesz, że byłam szczęśliwa, będąc tym obiektem.

- Przykro mi - odparł doktor Arcolio – przedtem myślałem, że to była nasza obopólna wina. Teraz wiem, że wina leży po mojej stronie.

Tego samego popołudnia wrócił do swojego biura na Brookline Square, gdzie Helen Ellis spotkała się z nim po raz pierwszy. Przez długi czas stał przy oknie.

Czy miał rację, dając ludziom to, czego pragnęli, jeśli to czego pragnęli, było perwersyjne, czasem wymagało samo poświęcenia, a przede wszystkim pozostawało w sprzeczności z intencjami Stwórcy?

Czy postąpił słusznie, okaleczając piękną kobietę, jeśli nawet o to błagała? Jaki jest zakres jego odpowiedzialności? Jest rzeźnikiem, czy świętym? Zasługuje na niebo, czy tańczy na włazie do piekła? A może nie jest niczym innym niż chirurgiem parodiującym Ann Landers, rozwiązując problemy małżeńskie skalpelem, zamiast rozumną poradą?

Nie palił papierosów już od miesiąca, ale tym razem zapalił i usiadł przy biurku w gęstniejącym mroku. Po jakimś czasie, kiedy było już prawie ciemno, zapukała Esther, jego sekretarka. Otworzyła drzwi i zapytała:

- Doktorze?

- Co tam, Esther? Jestem zajęty.

- Przyszedł pan Pierce i pan de Scenza. Byli umówieni o szóstej.

Doktor Arcolio zdusił papierosa i ręką rozwiął dym.

- O cholera! Dobrze, niech wejdą.

John Pierce i Philip de Scenza weszli i stanęli przed biurkiem jak dwaj uczniowie, wezwani do raportu przez dyrektora.

John Pierce był młodym blondynem. Miał na sobie fantazyjne włoskie ubranie z podwiniętymi rękawami. Philip de Scenza był starszy, ciemniejszy i mocniej zbudowany. Nosił ręcznie zrobiony sweter w kolorze śliwkowym i workowate brązowe spodnie.

Doktor Arcolio przechylił się nad biurkiem i uściskał im ręce.

- Jak się macie? Przepraszam... dziś po południu byłem trochę zajęty.

- Ależ, rozumiemy - powiedział Philip de Scenza. – My też byliśmy bardzo zajęci.

- Co się dzieje? - zapytał doktor Arcolio. - Czy są jakieś problemy? Macie bóle?

John Pierce nieśmiało potrząsnął głową. Philip de Scenza zrobił z kciuka i palca wskazującego kółko i rzekł:

- Doskonale, doktorze. Dwa tysiące procent lepiej. Jeśli mogę się tak wyrazić: pieprzenie pierwsza klasa!

Doktor Arcolio chrząknął i wstał.

- Muszę to obejrzeć. Chcecie parawan?

- Parawan? - zachichotał John Pierce.

Philip de Scenza poklepał go po ręce.

- Nie potrzebujemy parawanu.

Doktor poczekał, aż John Pierce rozepnie pasek, otworzy zamek błyskawiczny i wyślizga się z bokserskich szortów, prążkowanych jak pasta do zębów.

- Proszę się pochylić - polecił doktor.

John Pierce lekko kaszlnął i zrobił to, co doktor mu kazał.

Doktor Arcolio rozwarł jego muskularne pośladki, odsłaniając dwa pokazowe, różowe otwory odbytowe, położone jeden nad drugim. Wokół górnego otworu widniał gwiazdzisty ślad po przeszło dziewięćdziesięciu szwach, ale ranki zagoiły się doskonale, pozostały po nich nieznaczne diagonalne blizny.

- W porządku - orzekł doktor Arcolio. - Może pan wciągnąć spodnie.

Zwrócił się w stronę Philipa de Scenzy. W jego przypadku nie musiał robić niczego. De Scenza uniósł sweter, spuścił spodnie i stał, wywijając z dumą swoim udoskonalonym wyposażeniem. Nad ciemnym penisem, zwisającym jak ciężki owoc, widniał drugi, równie ciemny; pod każdym z nich wisały po dwa owłosione jądra.

- Są jakieś problemy? - zapytał doktor Arcolio, podnosząc z zawodową obojętnością oba penisy i oglądając je starannie. Oba zaczęły lekko sztywnieć.

- Tylko z synchronizacją - wzruszył ramionami de Scenza, rzucając uśmiezek w stronę przyjaciela. – Ciągle nie udaje mi się osiągnąć równoczesnego orgazmu. Nim skończę, biedny John przeżywa cierpienia.



- Samopoczucie ogólne? - zapytał sztywno doktor Arcolio.

- Już koniec? - zaflirtował Philip de Scenza. - Robi pan dobry interes, doktorze. Sto dolarów za dwie sekundy pieszczoty. Powinien pan się wstydzić.

Tego samego wieczoru John Pierce i Philip de Scenza poszli na obiad do Le Bellecoura na Muzzey Street. Podczas obiadu cały czas trzymali się za ręce.

Doktor Arcolio zrobił zakupy w sklepie spożywczym i pojechał do domu swoim niebieskim rolls-royce'em słuchając La Boheme ze stereo. Od czasu do czasu przyglądał się w lusterku wstecznym swojej twarzy, stwierdzając, że wygląda na zmęczoną. Na Turnpike ruch uliczny był gęsty i powolny; doktor poczuł pragnienie, więc wyciągnął z torebki jabłko i odgryzł kęs.

Myślał o Helen, o Johnie Piersie i Philipie de Scenzy, a także o wszystkich mężczyznach i kobietach, których ciała zmienił, dzięki swoim umiejętnościom, w żywe wcielenia ich własnych fantazji seksualnych.

Nie dawało mu spokoju jedno zdanie, które wypowiedział Philip de Scenza. "Powinien pan się wstydzić". Mimo że Philip de Scenza żartował, doktor Arcolio nagle pojął, że to prawda, że powinien się wstydzić tego, co robił. W rzeczywistości już się tego wstydził. Wstydził się, że użył swojego geniuszu w celu stworzenia takich aberracji erotycznych. Wstydził się, ponieważ okaleczył tyle pięknych ciał.

A jednak ta fala wstydu, chociaż bolesna, była równocześnie wyzwalająca.

Mężczyźni i kobiety są ponad wymiarem, w którym ich stworzył Bóg. Mężczyźni i kobiety potrafią się udoskonalić i czerpać nowe przedziwne przyjemności z bólu, poniżenia i samookaleczenia. Kto ma prawo osądzać, czy to jest dobre, czy złe? Kto ma prawo zdefiniować doskonałą istotę ludzką?

Jeśli sprawienie kobiecie drugiej pochwy jest złem, to czym jest poprawienie zajęcej wargi u dziecka?

Czuł, że przeszedł próbę, to podniosło go na duchu. Skończył jeść jabłko i wyrzucił ogryzek na jezdnię. Przed sobą nie widział nic prócz walpurgicznego pochodu czerwonych świateł hamulcowych.

Siedząca w samotności Helen wyplakiwała słone łzy smutku i słodkie łzy swojego seksu; mieszały się i spadały na jej ręce, siejąc błyski jak diamentowe pierścionki zaręczynowe.

## **PORWANIE PANA BILLA**

Kensington Gardens, Londyn

Spacerując po dzisiejszych Kensington Gardens trudno sobie wyobrazić, że w XVI wieku mieściły się tu sady i ogrody warzywne, które zaopatrywały większość mieszkańców Londynu w świeże owoce i warzywa. W 1689 roku Wiliam III kupił Nottingham House od pierwszego hrabiego Nottinghamu i po generalnej przebudowie, przeprowadzonej przez Christophera Wrena, zamieszkał w nim. Dzięki obecności króla, Kensington stał się elegancki, chociaż do połowy XIX wieku nie był niczym więcej niż niewielką miejscowością, do której kolej dotarła dopiero w latach sześćdziesiątych.

Kensington Gardens zajmują specjalne miejsce w pamięci dzieci bogatych rodziców. Spacerowały one po ścieżkach w towarzystwie nianiek, pchających wózki, i puszczały swoje łódeczki na Round Pond. Prócz tego ogrody te owiane są legendą o pewnym niezwykłym chłopcu.

Było zaledwie parę minut po czwartej po południu, kiedy nagle się ściemniło, jak przed burzą, i zaczął padać lodowaty deszcz. Przez kilka minut po ścieżkach Kensington Gardens pomykali bezładnie we wszystkie strony przechodnie pod parasolami i przerażone niańki, pchające wózki z wrzeszczącymi dziećmi.

Potem w ogrodach można było spotkać tylko deszcz, gęsi kanadyjskie i podmuchy wiatru rozwiewającego liście. Marjorie, wioząc szybko Williama w małym, niebieskim wózku Mothercare, stwierdziła, że jest sama. Miała na sobie tylko czerwony tweedowy żakiet oraz długą czarną plisowaną spódnicę, i była już przemoknięta. Kiedy po południu wychodziła z domu, świeciło słońce, a niebo było błękitne jak ich talerze obiadowe. Nie wzięła z sobą parasolki. Nie wzięła nawet plastikowego kapelusza przeciwdeszczowego.

Nie spodziewała się, że tak długo zabawi u wuja Michaela, który był już stary i nie dawał sobie rady z gospodarstwem domowym. Zaparzyła mu herbatę, posłała łóżko i odkurzyła elektroluksem mieszkanie, podczas gdy William wierzgał nogami i gulgotał na sofie. Wuj Michael patrzył na niego kaprawymi oczami; dłonie, o skórze jak zmięta żółta serwetka, oparł na kolanach; umysł rozjaśniał mu się i przygasał, rozjaśniał i przygasał, jak popołudniowe słońce, wychodzące zza chmur i znów się chowające.

Ucałowała wuja przed wyjściem, a on przytrzymał jej dłoń.

- Uważaj baczenie na tego chłopca, dobrze? - wyszeptał. - Nie wiadomo, czy ktoś się nie czai. Nie wiadomo, czy nie jest komuś potrzebny.

- Ależ, wuju, wiesz, że nigdy nie spuszczaam go z oka. Poza tym dobrze byłoby, gdyby ktoś go zechciał. Może mogłabym się wyspać.

- Nie mów tak, Marjorie. Nigdy tak nie mów. Pomyśl o tych wszystkich matkach, które tak żartowały, a potem żałowały, że nie wycięły sobie języków.

- Nie bądź taki makabryczny, wuju. Zatelefonuję do ciebie, kiedy tylko wrócę do domu, żeby się upewnić, czy dobrze się czujesz. Teraz muszę już iść. Przyrządzam dziś kurczaka.

Wuj Michael skinął głową.

- Kurczaka... - powiedział niewyraźnie. A potem dodał: - Pan [rondel], nie zapomnij o nim.

- Oczywiście, że nie, wuju. Nie mam zamiaru go spalić. Sprawdź, jak wyjdę, czy zamknęłaś drzwi na łańcuch.

Przechodziła teraz koło Round Pond. Pchając wózek po błotnistej trawie, nieco zwolniła. Była tak zmoczona, że nie miało to żadnego znaczenia. Przyszła jej do głowy stara chińska myśl: "Po co iść szybko podczas deszczu? Z przodu też pada".

Zanim przywieziono kanadyjskie gęsi, Round Pond był czysty, schludny i spokojny, pełen fruujących kaczek i dzieci puszczających na wodę małe żagłówki. Teraz stał się smrodliwy i brudny, i jakoś specyficznje odrażający, jak pamiątkowa rzecz, zabrana i zbezczeszczona przez wandalj. Skradziony ostatniej wiosny peugeot Marjorie został rozbity, a jego wnętrze oblane moczem. Nie potrafiła nawet myśleć o tym, że kiedykolwiek jeszcze mogłaby nim jeździć.

Wyszła spod drzew i wtedy fala zimnego deszczu uderzyła ją w policzek. William nie spał; machał rączkami, a ona wiedziała, że już jest głodny i że zaraz po przyjsciu do domu musi go nakarmić.

Poszła skrótem, kryjąc się pod następną grupą drzew. Słyszała przytłumiony hałas ruchu ulicznego po obu stronach ogrodu i huk przelatującego samolotu pasażerskiego, ale sam ogród pozostawał dziwnie pusty i cichy, jakby zaczarowany. Światło pod drzewami miało kolor omszałych, łupkowych dachówek.

Pochyliła się nad pałąkiem wózka i zaszcebiotała:

- Zaraz będziemy w domu, panie Billu! Już zaraz!

Kiedy jednak podniosła głowę, zobaczyła sylwetkę mężczyzny, stojącego obok dębu, nie dalej niż dziesięć metrów przed nią. Szczupłego, wysokiego mężczyznę w czarnej czapce i w czarnym płaszczu z postawionym kołnierzem. Miał przymknięte oczy i śmiertelnie bladą twarz. Wydawało się, że na nią czeka.

Zawahała się, stanęła i rozejrzała dookoła. Serce zabiło jej gwałtownie. Nie było nikogo w zasięgu wzroku; ani jednej osoby, którą można by przywołać na pomoc. W drzewach nad nią szeleścił deszcz, a William wydał kapryśny okrzyk. Przełknęła ślinę i poczuła smak ciasta pomieszanego z żółcią. Nie wiedziała, co robić.

Nie ma sensu uciekać - pomyślała. - Muszę przejść koło niego. Muszę okazać, że się nie boję. Poza tym idę z wózkiem. Mam dziecko. Na pewno nie będzie tak okrutny, żeby...  
"Nie wiadomo, czy ktoś się nie czai. Nie wiadomo, czy nie jest komuś potrzebny".

Poszła dalej, nieprzytomna ze strachu. Mężczyzna stał, nie ruszając się i nic nie mówiąc. Będzie musiała przejść koło niego w odległości nie większej niż metr. Do tej pory nie dał po sobie poznać, że w ogóle ją zauważył - chociaż na pewno tak było - i że ma zamiar ją zatrzymać.

Podchodziła na sztywnych nogach coraz bliżej i bliżej, z przerażenia mamrocząc coś pod nosem. Przeszła koło niego tak blisko, że mogła zobaczyć połyskujące krople deszczu na jego płaszczu i poczuć go. Pachniał mocnym tytoniem i czymś jeszcze: jakby sianem.

Dzięki Bogu - pomyślała - pozwolił mi przejść.

W tej samej chwili jego prawe ramię błyskawicznie chwyciło ją za łokieć, obróciło, i rzuciło o pień drzewa z taką siłą, że usłyszała trzask łamanej łopatki, a jeden z jej butów poleciał daleko.

Wrzasnęła.

Uderzył ją wierzchem dłoni raz i drugi.

- Czego pan chce? - zapiszczała. - Czego pan chce?

Złapał ją za klapy żakietu i przyparł do chropowatej kory drzewa. Oczy miał osadzone tak głęboko, że widziała tylko ich błysk. Jego niemal niebieskie wargi były rozszerzone w przerażającej parodii uśmiechu.

- Czego pan chce? - błagała go. Łopatką paliła ją ogniem i czuła rwący ból w lewym kolanie. - Muszę zająć się dzieckiem. Proszę mnie nie bić. Muszę zająć się dzieckiem.

Poczuła, jak zdiera z niej spódnicę. O Boże - pomyślała - tylko nie to. W strachu i całkowitej rezygnacji zaczęła się osuwać wzdłuż pnia, ale mężczyzna podciągnął ją na powrót i uderzył jej głową o drzewo z taką siłą, że omal nie zemdląca.

Potem niewiele już pamiętała. Poczuła, jak zrywa z niej bieliznę. Czowała, jak w nią wchodzi. Towarzyszył temu rozdzierający ból i zimno. Nawet wówczas, gdy wnikał w nią głęboko, czowała, że jest zimny. Deszcz ciągle padał, a ona słyszała, jak mężczyzna oddycha: miarowe, chrapliwe Ha! Ha! Ha! Potem zaczął rzucać takimi przekleństwami, jakich nigdy przedtem nie słyszała.

Już miała powiedzieć: "Moje dziecko!" - kiedy znów ją uderzył. Dwadzieścia minut później stała na przystanku autobusowym przy Bayswater Road. Znalazło ją amerykańskie małżeństwo, które chciało się dowiedzieć, jak dojść do Trader Vic's.

W miejscu, w którym została napadnięta, znaleziono wózek. Był pusty.

- Powinniśmy wyjechać na jakiś czas - powiedział John.

Marjorie siedziała na krześle przy oknie, trzymając w ręce filiżankę cytrynowej herbaty. Patrzyła na drugą stronę Bayswater Road, jak zwykła to robić dniami i nocami. Upięła włosy w prosty kok, a jej twarz miała odcień wosku. Była ubrana jak zwykle na czarno.

Zegar na kominku wydzwonił trzecią.

- Nesta będzie z nami w kontakcie, no wiesz... jeżeli dowie się czegoś nowego - dodał.

Marjorie odwróciła się i blado uśmiechnęła. Wyraz apatii w jej oczach ciągle go szokował.

- Czegoś nowego - powtórzyła, łagodnie przedrzeźniając jego eufemizm. Minęło sześć tygodni od chwili zniknięcia Williama. Ktokolwiek go porwał, to albo go zabił, albo ma zamiar zatrzymać na zawsze.

John wzruszył ramionami. Był przysadzistym, sympatycznie wyglądającym mężczyzną, nie obdarzonym wielką wyobraźnią. Nigdy nie myślał o małżeństwie, ale kiedy poznał Marjorie na przyjęciu z okazji dwudziestych pierwszych urodzin swojego młodszego brata, zafascynował go jej charakter – mieszanina nieśmiałości i dobrych chęci - oraz jej wybujała wyobraźnia. Rozmawiała z nim o rzeczach, o których nigdy nie rozmawiał z innymi dziewczętami; potrafiła otworzyć mu oczy na uroki codziennego życia.

Obecnie, kiedy Marjorie zamknęła się w sobie, nie wyrażając nic oprócz smutku, poczuł, że w nim samym też coś przygasa, jakby ktoś odbierał mu światło, kolory i zdolność reagowania. Nie potrafił odczuwać radości z powodu wiosennego dnia, jeśli nie było obok niego Marjorie; ona jedna mogła mu wytłumaczyć, dlaczego wiosna tak podnosi na duchu.

Sprawiała wrażenie kobiety, która umiera, a on przypominał mężczyznę, który ślepie. Zadzwonił telefon w bibliotece. Marjorie odwróciła się w stronę okna. W lekkiej popołudniowej mgle autobusy i taksówki przemykały ulicą w jedną i drugą stronę. Ale za ogrodzeniem, w Kensington Gardens, mroczne drzewa tkwiły nieruchomo znając sekret, za który Marjorie oddałaby wszystko: swój wzrok, swoją duszę, nawet życie.

Gdzieś w Kensington Gardens William ciągle żył. Była o tym przekonana tak głęboko, jak tylko matki to potrafią. Godzinami wyteżała słuch, próbując ponad hałasem ulicy usłyszeć jego płacz. Miewała ochotę stanąć na środku Bayswater Road, podnieść ręce i krzyknąć: "Stop! Stańcie na minutę, proszę! Zdaje się, że słyszę płacz mojego dziecka!"

John wrócił z biblioteki i wbił palce w swoje gęste kasztanowate włosy.

- To starszy inspektor Crosland. Mają orzeczenie sądowe na temat narzędzia, które zostało użyte do rozcięcia twojego ubrania. Jakies narzędzie ogrodowe, najprawdopodobniej para nożyc albo hak do przycinania gałęzi. Będą rozpytywać w przedszkolach i w ośrodkach ogrodowych. Nigdy nie wiadomo.

Zamilkł na chwilę, a potem dodał:

- Jest jeszcze coś. Mają wynik badania DNA.

Marjorie przeszedł zimny dreszcz. Nie chciała myśleć o gwałcie. W każdym razie jeszcze nie teraz. Można się tym zająć później, po odnalezieniu Williama.

Kiedy odnajdą Williama, wyjedzie na wakacje i spróbuje się pozbiierać. Gdy odnajdą Williama, jej serce zacznie znowu bić. Tak bardzo tęskniła do tego, żeby znów go trzymać w ramionach, chwilami miała wrażenie, iż odchodzi od zmysłów. Chciała poczuć, jak jego maleńkie paluszki zaciskają się wokół jej palca.

- Crosland powiedział, że badanie DNA wykazało coś niezwykłego. Dlatego zajęło im tyle czasu - ciągnął John.

Marjorie nie odpowiadała. Wydało jej się, że widzi jakiś ruch w ogrodzie. Wydało jej się, że widzi coś małego i białego w wysokiej trawie pod drzewami, i że to coś macha rączką. Ale kiedy odciągnęła na bok siatkową firankę, zobaczyła, że spod drzew wybiega mały terier, a machającą rączką był jego ogon.

- Zgodnie z badaniem DNA ten mężczyzna nie był wtedy żywy.

Marjorie odwróciła się powoli.

- Co? - zapytała. - Co to znaczy: nie był wtedy żywy?

John wydawał się speszony.

- Nie wiem. Nie ma w tym żadnego sensu. Ale tak twierdzi Crosland. Przed chwilą oświadczył, że ten mężczyzna był trupem.

- Trupem? W jaki sposób mógł być trupem?

- Chyba zaszedł jakiś błąd w badaniach. To znaczy... ten mężczyzna nie mógł być prawdziwym trupem. Na pewno nie klinicznym. Po prostu...

- Trup - powtórzyła szeptem Marjorie, jak gdyby wszystko naraz stało się dla niej jasne. - Ten mężczyzna był trupem.

Owego piątku telefon zbudził Johna za pięć szósta rano.

Słyszał deszcz bębniący o szyby sypialni i zgrzytliwe hałasowanie śmieciarki w zaułku na tyłach domu.

- Tu starszy inspektor Crosland. Mam niedobłą wiadomość. Znaleźliśmy Williama w zbiorniku fontanny.

John przełknął ślinę.

- Rozumiem - odparł. Chciał zapytać niemądrze, czy William żyje, ale nie mógł wydusić z siebie słów.

- Przysyłam dwóch policjantów - mówił starszy inspektor. - Jednym z nich jest kobieta. Czy może pan być gotowy za, powiedzmy, pięć lub dziesięć minut?

John cicho odłożył słuchawkę. Siedział przez chwilę na łóżku, obejmując kolana, oczy napelniały mu się łzami. Potem przełknął ślinę, otarł łzy rękami i łagodnie obudził Marjorie.

Otworzyła oczy i spojrzała na niego, jakby właśnie wróciła z innego świata.

- Co się stało? - zapytała gardłowym głosem.

Próbował odpowiedzieć, ale mu się nie udało.

- To William, prawda? - zapytała. - Znaleźli Williama.

Czekali pod parasolem Johna, przytuleni do siebie, obok szarej fontanny, przesłoniętej ścianą deszczu. W pobliżu stał ambulans; jego niebieskie światła migały, tylne drzwi były otwarte. Podszedł do nich starszy inspektor Crosland – silny mężczyzna o wołowym wyglądzie, z obwisłym wąsem. Uniósł kapelusz i powiedział:

- Bardzo nam wszystkim przykro. Do dziś mieliśmy nadzieję, mimo że sytuacja wydawała się beznadziejna.

- Gdzie go znaleziono?

- W śluzie prowadzącej do Long Water. Na dnie było sporo liści, tak że trudno go było spostrzec. Znalazł chłopca jeden z pracowników podczas czyszczenia kraty kanału.

- Czy mogę go zobaczyć? - spytała Marjorie.

John spojrzał na Croslanda z niemym pytaniem: na ile jest zdeformowany? Ale Crosland skinął przyzwalająco głową i wziął Marjorie pod rękę mówiąc: - Chodźmy.

Marjorie poszła posłusznie. Czuła się mała i zmarznięta. Zaprowadził ją na tyły ambulansu i pomógł wejść do środka. Wewnątrz, owinięty czerwonym kocem, leżał jej synek, jej mały William. Miał zamknięte oczy, falujące włoski przylepiły mu się do czoła. Był biały jak marmur, biały jak posąg.

- Mogę go pocałować? - spytała. Crosland skinął przyzwalająco.

Ucałowała Williama. Jego policzek był miękki i zupełnie zimny.

Na zewnątrz ambulansu John zapytał inspektora:

- Jak długo mógł tam leżeć?

- Myślę, że nie więcej niż jeden dzień. Miał na sobie to samo ubranko, co w dniu uprowadzenia, ale był czysty i wyglądał na dobrze odżywionego. Nie miał śladów molestowania seksualnego ani ran.

John popatrzył w dal.

- Nie mogę tego zrozumieć - szepnął.

Starszy inspektor Crosland położył mu rękę na ramieniu.

- Jeżeli to pana może pocieszyć, to przyznam się, że ja też nie.

Przez cały następny dzień, w słońcu i w deszczu, Marjorie spacerowała samotnie po Kensington Gardens. Poszła wzdłuż Lancaster Walk, skręciła w Budge's Walk i zatrzymała się nad Round Pond. Potem poszła obok Long Water do posągu Petera Pana.

Zaczęło znowu mżyć; woda deszczowa kapiała z końców puszczalek Petera i spływała łzami po jego policzkach.

Chłopiec, który nigdy nie dorósł - pomyślała. Tak jak William.

Była gotowa już odejść, gdy błysnęła w jej głowie jakaś iskierka. Co takiego powiedział wuj Michael, kiedy od niego wychodziła w dniu uprowadzenia Williama?

Ona powiedziała wówczas: "Przyrządzam dziś kurczaka". On zaś: "Kurczaka"... - Potem długo milczał, a w końcu dodał: "Pan, nie zapomnij o nim". Wydawało jej się, że miał na myśli rondel. Dlaczego jednak powiedział: Nie zapomnij o nim? Przecież nie rozmawiali o gotowaniu. Zatem ostrzegał ją, że w Kensington Gardens może być ktoś zaczajony. Ostrzegał ją, że ktoś w Kensington Gardens może chcieć porwać Williama.

"Pan, nie zapomnij o nim".

Kiedy weszła, siedział na sofie, owinięty brązowymi, wełnianymi kocami. W mieszkaniu czuć było ulatniający się gaz i skwaśniałe mleko. Cienki promień słońca, koloru herbaty, przesączał się przez zasłony; w tym świetle twarz wuja wydawała się bardziej żółta i zwiędła niż zwykle.

- Ciekaw byłem, kiedy przyjdiesz - wyszeptał.

- Oczekiwałeś mnie?

Uśmiechnął się chytrze.

- Jesteś przecież matką, a matki potrafią zrozumieć wszystko.

Usiadła blisko na krześle.



- Tego dnia, kiedy uprowadzono Williama, powiedziałaś: "Pan, nie zapomnij o nim". Czy miałaś na myśli to, o czym ja myślę teraz?

Wziął ją za rękę i przytrzymał w geście ogromnej sympatii i bezbrzeżnego bólu.

- Pan jest zmurą wszystkich matek. Zawsze tak było i zawsze tak będzie.

- Chcesz mi powiedzieć, że to nie jest tylko opowiadanie?

- Ach... Wersja, w której ujął to sir James Barrie - wróżki, piraci, Hindusi - to było opowiadanie. Ale oparte na faktach.

- Skąd to wiesz? - spytała Marjorie. - Dotąd nie trafiłam na nikogo, kto by o tym wspomniał.

Wuj Michael wyciągnął swoją zwiędłą szyję w stronę okna.

- Wiem, ponieważ spotkało to mojego brata i moją siostrę, i omal nie spotkało mnie. Moja matka umówiła się z sir Jamesem na obiad w Belgravii, niecały rok później, i próbowała mu wyjaśnić to, co się stało. To był rok tysiąc dziewięćset pierwszy lub tysiąc dziewięćset drugi. Myślała, że sir James napisze o tym artykuł, który by ostrzegał innych rodziców, a ze względu na jego autorytet ludzie uwierzyliby i posłuchali. Ale ten stary głupiec był sentymentalnym fantastą... a przy tym jej nie uwierzył, i zamienił śmiertelną udrękę mojej matki w dziecinną bajeczkę. Opowiadanie odniosło taki sukces, że nikt już nigdy nie wziął poważnie ostrzeżeń mojej matki.

Umarła w Earlswood Mental Hospital w hrabstwie Surrey w tysiąc dziewięćset czternastym roku. W akcie zgonu napisano "obłąd", co można rozmaicie rozumieć.

- Opowiedz mi, co się stało - poprosiła Marjorie. - Wuju, dopiero co straciłam moje dziecko... musisz mi opowiedzieć.

Wuj Michael wzruszył kościstymi ramionami.

- Trudno odróżnić fakty od fikcji, ale pod koniec lat osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku zdarzyło się w Kensington Gardens mnóstwo zuchwałych porwań dzieci... samych chłopców. Niektórzy zostali zabrani z wózków, niektórzy wyrwani wprost z ramion nianiek. Znajdywano ich później martwych... w większości w Kensington Gardens, a także w Hyde Parku i w Paddington. Niektóre nianki bywały przy tym atakowane, a trzy spośród nich zgwałcono. Ostatecznie w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku złapano sprawcę na gorącym uczynku, próbował ukraść dziecko. Został zidentyfikowany przez kilka nianiek jako mężczyzna, który je zgwałcił i zabrał z sobą ich podopiecznych. Był sądzony w Old Bailey na podstawie oskarżenia o trzy morderstwa i trzynastego czerwca tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego trzeciego roku skazano go na śmierć. W ostatnim dniu października został powieszony. Okazało się, że był to polski marynarz, który w London Docks zszedł z okrętu powracającego z rejsu na Karaiby. Koledzy z załogi wiedzieli tylko, że nazywa się Piotr. Twierdzili, że odkąd go znali, był zawsze pogodny i zadowolony, przynajmniej do czasu, kiedy stanęli w Port-au-Prince na Haiti. Piotr spędził tam trzy noce poza

okrętem, a gdy wreszcie się pojawił, pierwszy oficer zwrócił uwagę na jego ponurą i nieprzyjazną minę. Zaczął miewać napady furii, tak że nie byli zdziwieni, gdy opuścił statek w Londynie i nie pojawił się więcej. Lekarz okrętowy przypuszczał, że Piotr zapadł na malarię, ponieważ twarz miał szarą jak popiół i nabiegłe krwią oczy. Dokuczały mu też dreszcze i zaczął mówić do siebie.

- Ale skoro został powieszony... - wtrąciła Marjorie.

- Wyrok wykonano bardzo dokładnie – powiedział Michael, - Wisiał dopóty, dopóki nie umarł, i pochowano go w obrębie więzienia Wormwood Scrubs. Ale po roku w Kensington Gardens znów zaczęli znikać mali chłopcy i znów zaczęły się napady na niańki, a każda z nich miała na ciele te same rany i zadraśnięcia, jakie stwierdzono u ofiar Piotra. Piotr zdierał napadniętym ubrania za pomocą haka u ręki.

- Haka u ręki? - powtórzyła Marjorie słabym głosem.

Wuj Michael podniósł dłoń, zakrzywiając jeden palec.

- Jak myślisz, skąd sir James zaczerpnął pomysł na postać kapitana Hooka?

- Ależ ja odniosłam takie same skaleczenia.

- Wiem - przytaknął wuj Michael. - Właśnie próbuję ci to wyjaśnić. Człowiekiem, który cię zaatakował i który porwał Williama, był Piotr.

- Co? Tamto wszystko odbywało się ponad sto lat temu. Jak to mogło się stać teraz?

- Tak samo jak w tysiąc dziewięćset pierwszym roku, kiedy Piotr próbował porwać mnie. Byłem jeszcze w wózku. Moja niańka walczyła z nim, ale dosięgnął jej krtani i rozerwał arterię szyjną. Mój brat i siostra też próbowali z nim walczyć, ale powłókł ich ze sobą. Byli jeszcze mali, więc nie mieli żadnych szans. Parę tygodni później jakiś pływak natknął się na ich ciała w Serpentine.

Wuj Michael zasłonił ręką usta i przez prawie minutę milczał.

- Moja matka niemal oszalała z rozpacz. W jakiś sposób jednak wiedziała, kto zabił jej dzieci. Spędzała popołudnia w Kensington Gardens, śledząc prawie wszystkich mężczyzn, których zobaczyła. W końcu trafiła na niego. Stał między drzewami, obserwując dwie niańki siedzące na ławce. Podeszła do niego i rzuciła mu wyzwanie. Powiedziała, że wie, kim on jest, i że wie, iż zamordował jej dzieci. Wiesz, co na to odparł? Nie zapomnę nigdy matki, kiedy mi to opowiadała. To wspomnienie do tej pory przyprawia mnie o dreszcze. Powiedział: "Nie miałem nigdy matki ani ojca. Nie wolno mi było być dzieckiem. Ale pewna stara kobieta na Haiti oznajmiła mi, że mogę być zawsze młody pod warunkiem, że będę jej przysyłał na skrzydłach wiatru dusze małych dzieci". Wiesz, co jeszcze wyjawiał matce? "Dusze twoich dzieci poleciały na daleką wyspę, ale dzieci, jeśli chcesz, mogą żyć w dalszym ciągu. Idź na ich groby, przywołaj je, a one przyjdą do ciebie. Żeby tak się stało, potrzebne jest wezwanie matki". Matka zapytała: "Kim jesteś? Czym jesteś?" Odpowiedział: - "Jestem >>Pan<<, co jest niczym innym niż polskim odpowiednikiem

słowa "Mister". Dlatego moja matka nazwała go "Panem Piotrem" i stąd pochodzi tytuł opowiadania sir Jamesa Barriego. Niezgodność z prawdą polega na tym, że kapitan Hook i Peter Pan w realnym życiu nie byli nieprzyjaciółmi: stanowili jedną i tę samą osobę.

Marjorie spoglądała w przerażeniu na wuja Michaela.

- Co zrobiła moja stryjeczna babka? Nie przywołała swoich dzieci?

Wuj Michael potrząsnął przecząco głową.

- Kazała przykryć ich groby ciężkimi płytami z granitu.

Potem, jak już wiesz, robiła wszystko, co mogła, żeby ostrzec inne matki przed niebezpieczeństwem ze strony Piotra Pana.

- A więc wierzyła w to, że mogła przywrócić dzieci do życia?

- Myślę, że tak. Ale zawsze mi powtarzała: "Co za pociecha z życia, jeśli się nie ma duszy?"

Marjorie siedziała u wuja aż do zmroku, do chwili kiedy głowa osunęła mu się na bok i zaczął chrapać.

Stała w kaplicy cmentarnej, ubrana na czarno: w czarną suknię i czarny kapelusz. W rękach trzymała czarną torebkę. Twarz oświetlał jej promień słońca wpadającego przez okno nawy.

Biała trumienka Williama była otwarta, on sam leżał na białej jedwabnej poduszce. Miał zamknięte oczy, drobne rzęsy zakreślały mu się nad śmiertelnie bladymi policzkami, usta były lekko rozchylone, jakby jeszcze oddychał.

Po obu stronach trumienki paliły się świece, obok stały dwie wysokie wazy, pełne białych gladioli. W kaplicy panowała cisza, przerywana od czasu do czasu pomrukami ruchu ulicznego i dudnieniem kolejki podziemnej Central Line, biegnącej głęboko pod fundamentami budynku.

Marjorie czuła, jak bije jej serce: wolno i równo.

Moje maleństwo - pomyślała. - Moje biedne, słodkie maleństwo.

Przystąpiła bliżej do trumny. Wyciągnęła rękę i z wahaniem pogłaskała delikatne loczki. Były takie miękkie. Dotykание ich sprawiało jej mękę.

- Williamie - wyszeptała.

Leżał na swoim miejscu - zimny i cichy. Nie ruszał się ani nie oddychał.

- Williamie - powtórzyła. - Williamie, mój najdroższy, wróć do mnie. I wróć do mnie, panie Billu.

Nie było żadnej reakcji.

Czekała jeszcze chwilę. Czuła się zawstydzona daniem wiary opowiadaniom wuja Michaela. Piotr Pan! Rzeczywiście! Starzec zapewne cierpi już na uwiąd.

Cicho, na palcach, podeszła do drzwi. Posłała ostatnie spojrzenie w stronę Williama i zamknęła drzwi za sobą.

Ale w chwili kiedy puszczała klamkę, ciszę zakłócił przeraźliwy pisk, najbardziej przerażający, jaki usłyszała w życiu.

Szczupły, ciemny mężczyzna, stojący pod drzewami w Kensington Gardens, podniósł głowę i nasłuchiwał; spodziewał się, że w szumie wiatru usłyszy płacz dziecka. Słuchał i uśmiechał się, chociaż nie odrywał wzroku od młodej kobiety, która zbliżała się, pchając przed sobą wózek dziecienny.

Niech Bóg błogosławi wszystkie matki - pomyślał.

## **DYWAN**

Münster, Niemcy

Przyjechałem do Münster po raz pierwszy, gdy mój ojciec odbywał służbę w British Forces w Niemczech. Münster leży nad kanałem Dortmund - Ems, prawie sto kilometrów na północ od Düsseldorfu. Kiedyś było biskupstwem, którego książęta-biskupi zarządzili przyległymi ziemiami.

Podczas wojny, podobnie jak wiele innych westfalskich miast ucierpiało znacznie od bombardowań, i chociaż wiele spośród jego XII- i XIII-wiecznych budynków zostało pieczołowicie odbudowanych, to jednak zwiedzając je, ma się wrażenie, że ogląda się kopię przedwojennej świetności, ale ducha przeszłości już w nich nie ma.

Zostało w Münster trochę imponujących zabytków: katedra z pięknymi rzeźbami romańskimi i gotyckimi, XIV-wieczny kościół Matki Boskiej z gotycką wieżą. Słynną gotycką fasadę ratusza, wybudowaną w 1335 roku, zniszczoną bombami, wiernie odrestaurowano.

Pozostała w Münster atmosfera średniowiecza: szare miasto na rozległej szarej równinie. Zachowało ono także swoje legendy i przesady oraz baśnie ludowe. Dywan jest adaptacją historii opowiedzianej przez miejscowego piekarza, który odkroił mi wielki plaster Apfelkuchen i polał obficie śmietaną.

Możliwe, że to, co mi opowiedział, było tylko tworem wyobraźni, historyjką o duchach, jedną z tych, które opowiada się w zimie przy piecu. Ale wydaje się, że ta opowieść pozwoli wyjaśnić wiele prawdziwych przerażających wydarzeń, które trapiły Westfalię od początku wieku, od czasów klątwy Wolfshaut.

Nie wiecie co oznacza Wolfshaut? Zaraz się dowiecie.

Dwa dni później, w odległym o prawie siedemdziesiąt pięć kilometrów mieście katedralnym Münster, wysoka kobieta weszła do sklepu z antykami, mieszczącego się w pobliżu XIII -

wiecznego Buddensturma. Dzwonek wejściowy, poruszony drzwiami, zadzwonił; poranne słońce oświetlało rogate głowy jelenie i gabloty z wypchanymi lisami.

Zza kotary wyszedł właściciel sklepu, pałac papierosa. Kobieta stała na tle światła, więc nie mógł widzieć wyraźnie jej twarzy.

- Ich möchte eine Relsedecke - powiedziała.

- Eine Relsedecke, gnadige Frau?

- Ja. Ich möchte ein Wolfshaut.

- Ein Wolfshaut? Das ist rar. Bardzo trudno dostać, rozumie pani?

- Tak, rozumiem. Ale czy spróbuje pan się dla mnie postarać?

- Ich weiss nicht. W każdym razie spróbuję.

Kobieta wyjęła małą czarną sakiewkę, odpięła klamerkę i wręczyła właścicielowi sklepu starannie złożone tysiąc marek.

- To zaliczka - wyjaśniła. - Depositum. Jeśli znajdzie mi pan dywan z wilczej skóry, zapłacę panu więcej. Znacznie więcej.

Zapisała swój numer telefonu na jednej z jego wizytówek, podmuchała, żeby atrament wysechł, i podała mu.

- Proszę mnie nie zawieść - powiedziała.

Kiedy wyszła, właściciel sklepu stał bez ruchu jeszcze bardzo długo. Potem otworzył jedną z szuflad pod kontuarem i wyjął ciemny, zmatowiały gwóźdź. Stalowy, posrebrzony gwóźdź.

Nie przychodzili często po wilcze skóry, ale jeśli już przyszli, to znaczyło, że są zdesperowani, a przez to mniej odporni. Trzeba ich było jednak przygotowywać. Musiał tę kobietę przez cały czas drażnić, musiał rozbudzać w niej nadzieję. Musiał ją przekonać, że trafiła na człowieka, któremu może zaufać. Potem przyjdzie czas na osikowy kołek, na serce i na młot.

Kobieta po wyjściu ze sklepu nie obejrzała się za siebie. Gdyby nawet to zrobiła, to i tak nie dowiedziałaby się, co się pod jego nazwą kryje. Ponieważ bestia przekazuje swoje okrucieństwo następnej, bez względu na nazwisko, pochodzenie czy związki rodzinne. Ważna jest jedynie skóra, Wolfshaut, owłosiona powłoka, która nadaje wszystkiemu znaczenie.

Sklep nosił nazwę "Bremke: Jagerkunst", ale wśród spraw, którymi się zajmował właściciel, był nie tylko handel bronią i trofeami łowieckimi, lecz również nieustępliwy pościg za myśliwymi.

John znalazł wilka na trzeci dzień, kiedy wszyscy pojechali do Paderbornu na konkurs jeździecki. Udał, że boli go ucho (ból ucha były zawsze najlepsze, ponieważ nikt nie mógł sprawdzić, czy ma je rzeczywiście, a przy tym można było czytać i słuchać radia). W rzeczywistości tęsknił do domu i nie miał na nic ochoty poza siedzeniem i myśleniem o mamie.

Smythe-Barnettowie byli dla niego życzliwi. Pani Smythe - Barnett zawsze całowała go na dobranoc, a ich dwie córki, Penny i Veronica, próbowały włączać go do wszystkiego, czym tylko się zajmowały. Trudność polegała na tym, że był zbyt smutny, by móc się dobrze bawić; unikał emocji, ponieważ czuł wówczas, jak w gardle rośnie mu grudka, kłująca niczym morski jeżowiec, a oczy wypełniają mu się łzami.

Stał w oknie frontowego wykuszu, obserwując jak Smythe - Barnettowie odjeżdżają, holując elegancko polakierowaną przyczepę z koniem. Warkot land rovera pułkownika Smythe-Barnetta wkrótce ucichł za platanami i na ulicy znów zapadła cisza. Był to jeden z owych jesiennych, bezbarwnych poranków, podczas których myślał, że nigdy już nie zobaczy błękitnego nieba. Północnoniemieckie równiny, od Akwizgranu po Las Teutoburski przygniecione były kocem szarobiałych chmur.

W kuchni niemiecka służąca, zmywając beżowe kafelki podłogi, śpiewała po niemiecku Wooden Heart. Śpiewali to wszyscy, na rynku pojawił się bowiem album Elvisa: GI Blues.

Wiedział, że w następnym tygodniu będzie lepiej. Jego ojciec weźmie dziesięć dni urlopu, wsiądą na parowiec i pojadą Renem do Koblencki, gdzie spędzą tydzień w wojskowym ośrodku wypoczynkowym w Winterbergu, położonym wśród sosnowych lasów Sauerlandu. Ale oczekiwanie na to i tak nie mogło zabić jego tęsknoty do domu; mieszkał z obcą rodziną, w obcym kraju, a jego rodzice byli dopiero co po rozwodzie.

Babka mówiła coś o "tych wszystkich długich rozłakach... Mężczyzna jest tylko człowiekiem, wiesz". John nie wiedział, co znaczyło owo "jest tylko człowiekiem". Rozumiał je jako "może być człowiekiem", jak gdyby pod kamizelką koloru wodorostów i koszulą w kratę mogło bić serce stworzenia znacznie bardziej prymitywnego.

Usłyszał kiedyś, jak matka mówi o ojcu: "Czasem zachowuje się jak zwierzę", i wyobrażał go sobie, jak wygina grzbiet w pałąk, obnaża zęby, oczy nabiegają mu krwią, a palce zamieniają się w pazury.

Poszedł do kuchni, ale podłoga była jeszcze wilgotna i służąca go przegoniła. Miała dużą twarz, nosiła się na czarno, a jej pot kojarzył mu się z zapachem kapusty. Johnowi wydawało się, że wszyscy Niemcy śmierdzą kapuścianym potem.

Poprzedniego dnia Penny zabrała go do Bielefeldu. Pojechali autobusem, w którym zapach kapuścianego potu był dominujący.

Poszedł do ogrodu. Trawniki były usiane spadłymi jabłkami. Kopnął jedno z nich tak, że uderzyło w ścianę stajni. Kiedyś został zbesztany za próbę nakarmienia jabłkami konia Smythe-Barnettów. "One wywołują kolkę, ty głupcze" – warknęła na niego Veronica. Skąd on miał o tym

wiedzieć? Jedynym koniem, którego widział z bliska, był koń mleczarza z United Dairies, a ten miał zawsze przy pysku worek na obrok.

Usiadł na skrzypiącej huśtawce i huśtał się przez chwilę. W ogrodzie panowała cisza nie do zniesienia. Było to jednak lepsze, niż być przedstawianym w Paderbornie wszystkim bezustannie paplającym znajomym Smythe-Barnettów. Widział, jak ci ostatni pakują jedzenie na piknik: salami i kanapki z tłustą wołowiną.

Popatrzył na obszerny, podmiejski dom. Stanowił typową wielką rezydencję rodzinną, jakie budowano w Niemczech w okresie międzywojennym. Pokryty był pomarańczowymi dachówkami i miał szare, betonowe ściany. Obok musiał kiedyś stać podobny dom, ale Bielefeld było zbombardowane, tak że został tylko dziki sad i ceglane fundamenty.

John usłyszał chrapliwy, klekoczący dźwięk. Uniósł głowę i zobaczył siedzącego na kominie bociana - prawdziwego, żywego bociana. Był to pierwszy bocian, jakiego widział w życiu, i aż nie mógł uwierzyć, że jest prawdziwy. Wyglądał jak omen: ostrzeżenie przed tym, co ma nadejść. Posiedział tylko przez chwilę, z nastroszonymi piórami, kręcąc władczo dziobem na wszystkie strony. Potem odleciał z hałaśliwym flap, flap, flap swoich skrzydeł.

Patrząc w górę, zauważył w dachu domu małe okno mansardowe. Pewnie tam jest poddasze albo jeszcze jedna sypialnia - pomyślał. - Jeśli to poddasze, to mogą się tam znajdować interesujące rzeczy, na przykład pamiątki z wojny albo bomba, która nie eksplodowała, albo książki o seksie. Książkę o seksie znalazł na poddaszu domu, w którym mieszkali. Nosila tytuł: Wszystko o czym powinni wiedzieć nowożeńcy. Wypatrzył rysunek numer sześć - Pochwa kobieca - i pomalował go na różowo.

Wrócił do domu. Służąca była teraz w salonie, polerując meble i rozsiewając w powietrzu aromat lawendy i zalatującego kapustą potu. John wszedł po schodach na pierwsze półpiętro, którego ściany obwieszane były fotografiami Penny i Veroniki na Jupiterze. Każda fotografia ozdobiona była czerwoną rozetką. Był zadowolony, że nie pojechał z nimi do Paderbornu. Dlaczego miałoby go interesować to, czy ich głupiemu koniowi uda się przeskoczyć przez całą masę drągów?

Wspiął się po schodach na piętro. Nigdy tu jeszcze nie był. To tutaj pułkownik i jego żona jedli "słodycze". John nie wiedział, dlaczego spożywali pudding w swojej sypialni. Przypuszczał, że to jeszcze jeden przykład snobizmu Smythe - Barnettów, którzy używali srebrnych kółek na serwetki i podawali keczup pomidorowy w sosjerce.

Zaskrzypiały deski podłogi. Przez półotwarte drzwi John mógł dostrzec róg łóżka Smythe-Barnettów i toaletkę pani Smythe-Barnett, z całym wachlarzem pędzelków ze srebrnymi trzonkami. Przez moment nasłuchiwał. Na dole służąca włączyła odkurzacz i zaczęła czyścić dywan w salonie.

Jej odkurzacz wydawał warkot podobny do ryku motorów niemieckiego bombowca. Nie będzie nic słyszała.

Wszedł ostrożnie do sypialni Smythe-Barnettów i podszedł do toaletki. W lustrze zobaczył poważnego, bladego, jedenastoletniego chłopca, z krótkimi sterczącymi włosami i odstającymi uszami. Oczywiście to nie był on, tylko jego zewnętrzna powłoka; fizyczna maska, którą przybrał po to, żeby podczas sprawdzania obecności w szkole móc podnosić rękę i odpowiadać: "Obecny!"

Na toalecie leżał nie dokończony list, napisany na niebieskim czerpanym papierze. W poprzek listu pozostawiono wieczne pióro. "Jest bardzo wstrząśnięty i zamknięty w sobie, ale w tych okolicznościach to naturalne. W nocy krzyczy i miewa koszmary. Z trudem nawiązuje kontakty z innymi dziećmi. Potrzeba na to sporo czasu i..."

Patrzył na swoją ziemistą twarz, odbitą w lustrze. Był podobny do ojca, w latach jego młodości. "Bardzo wstrząśnięty i zamknięty w sobie". Jak pani Smythe-Barnett mogła tak o nim napisać? Nie czuł się wstrząśnięty i nie zamykał się w sobie. Chciał tylko zachować dla siebie to, co czuł. Po co miałby pokazywać pani Smythe-Barnett, jaki jest nieszczęśliwy. Co ona miała z tym wspólnego?

Wyszedł na palcach z sypialni Smythe-Barnettów i cicho zamknął drzwi. Niemiecka służąca wciąż prowadziła ciężki atak lotniczy na londyńskie doki. Poszedł korytarzem do końca i tam odkrył małe, pomalowane na kremowo drzwi, które z pewnością prowadziły na poddasze. Otworzył je. Za drzwiami ujrzał strome schody, pokryte heskim dywanem. Na górze panował mrok, chociaż skądś przesączała się odrobina szarego światła dziennego. John poczuł zapach stęchlizny i kurzu, i jeszcze inny, dziwny, podobny do zapachu kwiatów cebuli.

Wspiął się po schodach. Na górze zetknął się twarzą w twarz z wilkiem. Leżał rozplaszczony na podłodze, patrząc na niego. Miał żółte oczy i wyszczerzone zęby, pomiędzy których wysuwał się suchy, purpurowy język. Mimo że jego owłosione uszy były lekko nadżarte przez mole, a z boku pyska widniała wyliniała blizna, nie stracił nic z naturalnej dzikości. Nawet teraz, kiedy nie miał ciała i służył jako dywan - był wilkiem, w dodatku wilkiem olbrzymim, największym, jakiego John widział kiedykolwiek.

John rozejrzał się po poddaszu. Poza odgrodzoną przepierzeniem powierzchnią na dalekim końcu, gdzie mieściły się zbiorniki na wodę, reszta została zaadaptowana na sypialnię, rozciągając się wzdłuż i wszerz poddasza. Za wilkiem stało solidne łóżko mosiężne, z którego zwisał materac. Pod oknem ustawiono trzy nie harmonizujące z sobą krzesła, a pod najniższą częścią okapu umieszczono starą polakierowaną komodę.

Obok mansardowego okna wisiała fotografia w ramkach. Górna część ramki przyozdobiona była suchymi kwiatami o wypłowiałych od dawna kolorach. Fotografa przedstawiała jasnowłosą



dziewczynkę, stojącą na skraju jakiejś podmiejskiej drogi, z jednym okiem zmrużonym z powodu padającego słońca. Dziewczynka była ubrana w haftowaną sukienkę z trójkątnym stanikiem i w białą bluzeczkę.

John ukląkł przy wilku-dywanie i oglądał go z bliska. Wyciągnął rękę i dotknął końców łukowatych zębów. Wydawało się niewiarygodne, że kiedyś żył, biegał po lasach, polował na zające i jelenie, a może nawet na ludzi.

Pogłaskał futro wilka. Było twarde i gęste, w przeważającej części czarne, z szarymi pasami wokół gardła. Zastanawiał się, kto go zastrzelił i w jakim celu. Gdyby on sam miał wilka, to nie zabijałby go. Nauczyłby go polować na ludzi i rozdzierać im gardła. Rozdarłby gardło nauczycielki od matematyki, pani Bennett. Byłoby jej z tym do twarzy. Krew płynęłaby po kartkach książki Matematyka dla szkół, Część I, H.E. Parra.

Zanurzył nos w sierści pachwiny i wciągnął powietrze sprawdzając, czy został jakikolwiek ślad zapachu zwierzęcia.

Poczuł jedynie zapach kurzu i bardzo słabą woń skóry. Cały wilczy aromat ulotnił się z upływem lat.

Przez jedną lub dwie godziny, aż do pory lunchu, bawił się w myśliwego. Potem przedzierzgnął się w Tarzana i mocował z wilkiem po całym poddaszu. Zaciskał jego szczęki na swoim przegubie, warczał i odpychał go, żeby nie odgryzł mu ręki. W końcu udało mu się przewrócić wilka na grzbiet i wtedy wbił w niego długi, wymaginowany sztylet raz i jeszcze raz, i jeszcze... wypruwając mu flaki i wwiercając sztylet głęboko w serce.

Kilka minut po dwunastej usłyszał wołanie służącej. Wygladził skórę i stąpając cicho, podążył szybko na dół. Służąca, w kapeluszu, płaszczu i w rękawiczkach - wszystko w czarnym kolorze - była już gotowa do wyjścia. Na stole kuchennym zostawiła mu talerz salami, ogórki, chleb z masłem i dużą szklankę ciepłego mleka, na którego powierzchni śmietanka zaczęła już tworzyć gruby, gęsty kożuch.

Smythe - Barnettowie wrócili wieczorem, zmęczeni i hałaśliwi, rozsiewając po całym domu zapach koni i woń sherry. John leżał w swoim małym łóżku, patrząc na sufit i myśląc o wilku. Był kiedyś taki wspaniały, taki dziki... a teraz leżał martwy i wypatroszony na podłodze poddasza, nie patrząc już na nic. Kiedyś był zwierzęciem - podobnie jak jego ojciec - i może któregoś dnia będzie znowu zwierzęciem. "Z takimi stworami nigdy nic nie wiadomo" - powiedziała kiedyś do telefonu babka Johna, zwijając rękę nad słuchawką w tubkę, jak gdyby John źle słyszał.

Na dworze wiatr się wzmagął i rozwiewał chmury, kołysząc gałęziami drzew; niesamowite cienie o ostrych konturach drgały i tańczyły na suficie sypialni Johna; cienie na kształt modliszek, nóg pajęczych i wilczych szponów.

Kiedy wichura się wzmogła, zamknął oczy i próbował zasnąć. Ale pajęczę nogi tańczyły jeszcze szybciej po suficie, a modliszki drgały i pochylały się coraz niżej; zegar Smythe-Barnettów co kwadrans wygrywał w hallu westminsterskie kuranty, przypominając nieustannie właścicielom, że mają styl i dobry gust.

Było piętnaście po drugiej, kiedy usłyszał klekot pazurów, przemieszczający się w dół schodów wiodących na poddasze.

Wiedział, co to jest. Wilk! Wilk schodził po schodach! Miał zjeżoną sierść, wygięty grzbiet, jego oczy płonęły bursztynowym światłem jak dwa granaty; dyszał Ha-ha-HA-ha! Haha-HA-ha! pełen zwierzęcości i żądy krwi.

John słyszał, jak biegnie korytarzem, mija "słodki pokój" Smythe-Barnettów i podąża dalej głodny, głodny, głodny.

Słyszał, jak z głuchym pomrukiem węszy przy drzwiach do pokojów. Słyszał, jak zatrzymuje się u stóp schodów wiodących na drugie piętro, a potem zaczyna się po nich wspinać.

Wilk biegł teraz bardzo szybko, waląc ogonem po ścianach korytarza. Żółte oczy miał szeroko otwarte, uszy postawione i sztywne. Przychodził po niego, żeby się zemścić. Nie powinien był z nim walczyć, mocować się... i mimo że jego sztylet był wyimaginowany, to jednak miał zamiar wyciąć mu serce: wystarczy, że chciał to zrobić, nawet jeśli tego nie dokonał.

Usłyszał coraz głośniejszy odgłos wilczych łap, zbliżających się do drzwi jego sypialni, potem drzwi otworzyły się z hukiem, a John zerwał się i krzychał przeraźliwie z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami, mocząc z przerażenia piżamę.

Pani Smythe-Barnett weszła do pokoju i wzięła go w ramiona. Zapaliła lampkę nocną, przytulała go i uspokajała. Przez dwie lub trzy minuty poddawał się temu, ale potem odsunął się. Mokre spodnie od piżamy zaczęły go nagle ziębić, a poza tym czuł się tak speszony, że najchętniej zaraz by umarł.

Nie miał jednak wyboru: musiał stać, trzęsąc się w szlafroku, podczas gdy ona cierpliwie zmieniała mu pościel i przyniosła czystą piżamę. A potem otulała go kołdrą. Była wysoką kobietą z dużym nosem, miała na sobie długą koszulę nocną. Głowę przewiązała szarfą, przykrywającą wałki do włosów. Promieniowała z niej jakaś świętość - jak z rzeźb Berniniego; była doskonała jak marmur, dawała sobie radę w każdej sytuacji. Tęsknił do matki, która nie dawała sobie rady z niczym.

- Śniły ci się koszmary - powiedziała pani Smythe - Barnett, głaszcząc go po czole.

- Wszystko w porządku. Czuję się już dobrze – odparł John, niemal gniewnie.

- A co z twoim uchem? - spytała.

- Dziękuję, lepiej. Widziałem bociana.

- To pięknie. Bociany są tu dość liczne, ale miejscowi ludzie myślą, że sprowadzają nieszczęście. Twierdzą, że jeśli bocian siądzie na czyimś dachu, wówczas kogoś w tym domu spotka to, czego się kiedykolwiek najbardziej obawiał. Chyba dlatego mówią, że bociany przynoszą dzieci! Ale ja nie wierzę w takie przesady. A ty?

John, kręcąc głową, zaprzeczył. Nie mógł zrozumieć, gdzie się podział wilk. Zbiegł po schodach, potem popędził wzdłuż korytarza, potem po następnych schodach i znów wzdłuż korytarza, a...

A tutaj siedziała pani Smythe-Barnett, głaszcząc go po czole.

Następnego dnia pojechał autobusem do Bielefeldu. Tym razem wybrał się sam. Musiał znosić kapuściany zapach potu i gryzący dym papierosów Ernste 23, jadąc wciśnięty między grubą, ubraną na czarno kobietę i chudego wyrostka, który miał pieprzyk na podbródku. Z pieprzyka wyrastały mu długie włosy.

Wszedł do cukierni i kupił sobie Apfelstrudel z bitą śmietaną. Jadł go, idąc ulicą. Widząc swoje odbicie w oknach sklepowych, nie mógł uwierzyć, że wygląda tak młodo. Wszedł do księgarni i przejrzał parę ilustrowanych albumów o sztuce. Niektóre z nich zawierały reprodukcje aktów. Znalazł akwafortę Hansa Bellmera, przedstawiającą ciężarną kobietę odbywającą stosunek z dwoma mężczyznami jednocześnie. Jej dziecko wtłoczone było w kąt macicy przez dwa wetknięte penisy. W ustach odrzuconej do tyłu głowy tkwił penis trzeciego mężczyzny; bez twarzy, anonimowego.

Miał już wychodzić ze sklepu, kiedy jego wzrok padł na wiszącą na ścianie akwafortę, przedstawiającą wilka. Po dokładniejszym obejrzeniu okazało się, że to nie był wcale wilk, tylko człowiek mający pysk wilka. Podpis pod obrazem, wykonany czarnym gotyckim pismem, informował: Wolfmensch. John podszedł i przyjrzał się obrazowi z bliska.

Człowiek-wilk przedstawiony został na tle starego niemieckiego miasta, w którym ludzie stali na dachach domów. Na jednym z dachów stał bocian.

Przyglądał się jeszcze obrazowi, kiedy podszedł do niego właściciel księgarni - niski, łysiejący mężczyzna o szczupłej żółtawej twarzy. Miał na sobie zniszczone szare ubranie, a jego oddech był przesiąknięty tytoniem.

- Jesteś Anglikiem? - zapytał.

John przytaknął.

- Interesujesz się ludźmi-wilkami?

- Nie wiem. Niespecjalnie.

- Obraz, któremu tak się przyglądasz, przedstawia słynnego miejscowego człowieka-wilka z Bielefeldu. Jego prawdziwe nazwisko brzmiało: Schmidt, Gunther Schmidt. Żył w latach... tu są daty... Od tysiąc osiemset osiemdziesiątego siódmego do tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego. Był synem dyrektora szkoły.

- Czy kogoś zabił? - spytał John.

- Tak, a przynajmniej tak mówią - odparł właściciel księgarni. - Mówią, że zabił mnóstwo młodych kobiet, które chodziły po lesie.

John nie odpowiedział. Patrzył ze zgrozą na człowieka-wilka. Był tak podobny do dywanu na poddaszu Smythe-Barnettów: te same oczy, kły, owłosione uszy. Przypuszczał, że wszystkie wilki wyglądają podobnie. Wystarczyło zobaczyć jednego człowieka-wilka, żeby wiedzieć, jak wyglądają wszystkie.

Właściciel sklepu zdjął obraz ze ściany.

- Nikt nie wie, w jaki sposób Gunther Schmidt stał się człowiekiem-wilkiem. Niektórzy powiadają, że jego przodek został pogryziony w czasach wojny trzydziestoletniej przez człowieka-wilka, najemnego żołnierza jednej z armii. Według innej legendy, kiedy parlament w Ratyzbonie przywołał z powrotem generała Wallensteina, ów przywiódł z sobą oddział bardzo dziwnych najemników. Został pobity przez Gustawa w bitwie pod Lützen, ale wielu żołnierzy Gustawa miało straszliwe rany, porozdzierane gardła i tak dalej. No cóż, może to nieprawda. Prawdą jest to, że bitwa pod Lützen toczyła się w czasie pełni księżyca, a wiesz, co mówi się o ludziach-wilkach. Zarówno mężczyznach, jak i kobietach.

- Wilkołaki - powiedział John, czując zgrozę.

- Masz rację, wilkołaki! Popatrz na tę książkę. Zawiera ilustracje wszystkich morderstw dokonanych przez wilkołaki w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat. To bardzo interesująca książka dla kogoś, kto lubi się bać.

Z półki nad biurkiem zdjął duży album, oprawiony brązowym papierem. Otworzył go na jednej ze stron i skinął na Johna, żeby podszedł.

- Spójrz tutaj! To jest coś dla kibica wilkołaków! Lili Bauer, zabita dwudziestego kwietnia tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku w Tecklenburgu - znaleziono ją z rozdartym gardłem. A tu Maria Thiele, znaleziona również z rozdartym gardłem dziewiętnastego lipca tysiąc dziewięćset dwudziestego pierwszego roku w Lippe... und so weiter, und so weiter.

- A to kto? - zapytał John. Wskazał na fotografię jasnowłosej dziewczynki w sukience z trójkątnym stanikiem, stojącej na poboczu podmiejskiej drogi, z jednym okiem zmrużonym z powodu rażącego ją słońca.

- To jest... Lotte Bremke, znaleziona z rozdartym gardłem w lesie, w pobliżu Heepen, piętnastego sierpnia tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku. Ostatnia ofiara... tak tu napisano. Później nikt już nie słyszał o Guntherze Schmidcie... chociaż, spójrz tutaj: na Waldstrasse znaleziono ludzkie serce, przybite gwoździem do drzewa, i karteczkę informującą, że to jest serce wilka.

John przyglądał się długo fotografii Lotte Bremke. Był pewien, że to ta sama dziewczynka, której fotografia przypięta była do ściany na poddaszu domu Smythe-Barnettów. Czy to znaczyło, że kiedyś tam mieszkała? A jeżeli mieszkała, to skąd pochodziła wilcza skóra? Czy to ojciec Lotte Bremke zabił człowieka-wilka i przybił jego serce do drzewa, zachowując skórę jako makabryczną pamiątkę?

Zamknął książkę i oddał właścicielowi. Ów przyglądał mu się bladymi, obojętnymi oczami o żrenicach koloru herbaty.

- A zatem - powiedział właściciel księgarni - was glaubst du?

- Nie interesuję się specjalnie wilkołakami - odparł John.

Miał znacznie większe zmartwienia: na przykład moczenie się w łóżku w obecności pani Smythe-Barnett.

- Ale przyglądałeś się obrazowi - właściciel księgarni uśmiechnął się zachęcająco.

- Byłem tylko zaciekawiony.

- No, tak! Lecz miej na uwadze, że bestia nie tkwi w nas.

Trzeba o tym pamiętać, gdy ma się do czynienia z ludźmi - wilkami. Bestia nie tkwi w nas. To my tkwimy w zwierzęciu, rozumiesz?

John popatrzył na niego. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Miał wrażenie, że ten człowiek potrafi czytać w jego myślach. Czuł, że stanowi dla niego otwartą książkę, leżącą na piaszczystym brzegu płytkiej rzeczki. Żeby czytać dalsze strony, ujawniające myśli Johna, wystarczyło zmoczyć koniuszek palca.

John wrócił autobusem do Heepen. Było już prawie pół do szóstej; niebo miało barwę indygo. Księżyc wisiał nad Lasem Teutoburskim jak jasna twarz Pana Boga. W domu wszystkie światła były zapalone, Penny i Veronica chichotały w kuchni, a pułkownik Smythe-Barnett podejmował w bawialni sześciu czy siedmiu zaprzyjaźnionych oficerów (ryki śmiechu, chmury dymu z papierosów).

Pani Smythe-Barnett weszła do kuchni, a John pierwszy raz ucieszył się na jej widok. Była w błyszczącej sukni koktajlowej, ale twarz miała pociemniałą z wściekłości.

- Gdzie byłeś?! - krzyknęła. Była taka zła, że dopiero po chwili uświadomił sobie, że to z jego powodu.

- Byłem w Bielefeldzie - odrzekł niepewnie.

- Pojechałeś do Bielefeldu nie mówiąc nam o tym, a myśmy tu szaleli! David musiał zawiadamiać miejscową policję, a nie masz pojęcia, jak on nienawidzi prosić miejscowych o pomoc!

- Przepraszam - powiedział John. - Myślałem, że wszystko będzie w porządku. Byłem tam we wtorek ze służącą. Pomyślałem, że nic się nie stanie, jeżeli pojedę tam dzisiaj sam.

- Na miłość boską, czy nie dość, że znosimy twoje moczenie się? Jesteś tu zaledwie od czterech dni, a są z tobą same kłopoty! Nie dziwię się, że twoi rodzice się rozwiedli!

John usiadł z pochyloną głową i nie odpowiedział. Nie mógł pojąć, po co dorośli się upijają. Nie mógł zrozumieć, po co ludzie wyolbrzymiają rzeczy, które ich irytują, mimo że tak o nich nie myślą, a następnego dnia przepraszają się i wszystko idzie w niepamięć. Miał jedenaście lat.

Veronica przyniosła mu kolację - zimne kurze udko i ogórki. Ponieważ prosił, żeby mu nie dawano ciepłego mleka, którego nie lubił, dostał szklankę coca-coli.

Wieczorem, będąc już w łóżku, poczuł się zupełnie załamany i płakał, jakby mu serce pękło.

O drugiej nad ranem obudził się, zupełnie uspokojony. Księżyc świecił przez firanki jasnym, niemal dziennym światłem. Martwym co prawda, przeznaczonym dla świata umarłych, ale jasnym.

Wstał z łóżka i popatrzył na swoje odbicie w małym lusterku. Chłopiec ze srebrną twarzą.

- Lotte Bremke - powiedział głośno. Musiał to powiedzieć. Wiedział, że mieszkała w tym domu, zaraz po jego wybudowaniu. Wiedział, co się z nią stało. Niektóre rzeczy są dla dzieci tak oczywiste, że trudno im uwierzyć, iż dorośli ich nie rozumieją. Ojciec Lotte Bremke zrobił to, co powinien był zrobić każdy ojciec: wytropił człowieka-wilka i zabił go, a jego serce przybił do najbliższego platana.

John przysunął się do drzwi sypialni i otworzył je. Stąpając ostrożnie, poszedł wzdłuż korytarza, wspiał się po schodach i drugim korytarzem doszedł do pomalowanych na żółtawy kolor drzwi, wiodących na poddasze. Otworzył je i wszedł na górę.

Jak się spodziewał, wilk-dywan - z żółtym światłem w ślepiach i z najeżoną sierścią - czekał na niego. John zbliżył się, pełznąc na czworakach po szorstkim heskim dywanie, a potem głaskał jego futro i szeptał:

- Byłeś człowiekiem-wilkiem, nie zaprzeczaj! Byłeś zewnętrzną powłoką, prawda? Byłeś skórą. W tym tkwi różnica, której nikt nie rozumie. Wilkołaki to są wilki zamienione w ludzi, a nie ludzie zamienieni w wilki! A ty biegasz naokoło ich domów, przemierzasz ich lasy, dopadasz ich,

gryziesz, rozdierasz im gardła i zabijasz ich! Ale oni cię złapali, wilku, i wyjęli z ciebie człowieka, który się w twojej skórze ukrywał. Wyjęli z ciebie wszystko i nie zostawili nic prócz skóry. Już nie musisz się martwić. Teraz ja będę twoim wnętrzem. Mogę włożyć cię na siebie. Możesz być czasem dywanem, a czasem prawdziwym wilkiem.

Wstał i podniósł dywan z podłogi. Tego popołudnia, gdy z nim walczył, wydawał mu się ciężki; teraz był jeszcze cięższy, prawie tak ciężki jak żywy wilk. Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby włożyć go na ramiona i owinąć puste łapy wokół siebie. Jego głowę nasunął na czubek własnej.

Raz za razem okrążał poddasze, szepcząc zaklęcie:

- John jest wilkiem, a wilk jest Johnem. John jest wilkiem, a wilk jest Johnem.

Zamknął oczy. Rozszerzył nozdrza. Jestem teraz wilkiem - pomyślał. - Dzikim, szybkim i niebezpiecznym. – Wyobraził sobie, jak biegnie przez las koło Heepen; jego łapy stąpają miękko po grubym dywanie z sosnowych igieł.

Otworzył oczy. Teraz się zemści. To będzie zemsta wilka!

Zaczął schodzić po schodach; ogon włókł się z tyłu i głucho stukał na kolejnych stopniach. Pchnął drzwi prowadzące na poddasze i zaczął biec susami, wzdłuż korytarza, w stronę uchylonych drzwi sypialni Smythe-Barnettów. Warczał, a z obu stron pyska zaczęła ściekać ślina. Zbliżał się po cichu do drzwi sypialni.

"John jest wilkiem, a wilk jest Johnem".

Był oddalony zaledwie o metr od drzwi; kiedy one otwarły się nagle i cicho i korytarz został zalany księżycowym światłem.

John zawahał się przez moment i znów zawarczał. Wtedy z sypialni Smythe-Barnettów wyszło coś, co sprawiło, że jego własne włosy zjeżyły mu się na karku, a dusza zamieniła się w wodę.

Była to pani Smythe-Barnett, ale jakże odmieniona. Naga, wysoka i naga, a nawet więcej niż naga - była bez skóry. Jej ciało połyskiwało białymi kośćmi i napiętymi błonami; John mógł nawet dostrzec pulsowanie arterii i wachlarzowaty układ żył. Widać też było, jak wewnątrz długiej, wąskiej klatki piersiowej płuca unoszą się i opadają w szybkim, ohydny rytmie zwierzęcego ziajania.

Jej twarz była przerażająca. Wydawała się jakby wydłużona. Przybrała wyraz długiego, kościstego pyska z wyszczerzonymi zębami i oczami połyskującymi żółto, tak samo jak u wilka.

- Gdzie jest moja skóra? - zapytała głosem, który był na pół sykiem, a na pół warczeniem. - Co ty wyrabiasz z moją skórą?

John pozwolił skórze zsunąć się z jego ramion na podłogę. Nie mógł mówić. Nie mógł nawet oddychać. Patrzył ze zgrozą, jak pani Smythe-Barnett opada na kolana i ręce, i wsuwa się w skórę niczym ręka wsuwająca się do futrzanej rękawiczki.

- Nie wiedziałem, że tyle zdążył wykrztusić, nim pazury wbiły mu się w tchawicę, przewracając go przy tym na ścianę. Przełknął, żeby krzyczeć, ale w gardle miał już ćwierć litra ciepłej krwi. Wilk-dywan skoczył na niego i nikt już nie był w stanie powstrzymać potwora.

Ojciec Johna przybył następnego dnia, krótko po pół do dziewiątej, tak jak to robił codziennie, żeby na pięć czy dziesięć minut zobaczyć się z synem, nim pojedzie do pracy. Niemiecki szofer nie gasił silnika wojskowego volkswagena, ponieważ rano było chłodny - zapewne poniżej pięciu stopni.

Ojciec wszedł po stopniach, trzymając laseczkę pod pachą. Ku jego zdumieniu drzwi frontowe były szeroko otwarte. Przycisnął guzik dzwonka i wkroczył do środka.

- David? Helen? Czy jest ktoś w domu?

Usłyszał dziwny miauczący dźwięk, dochodzący od strony kuchni.

- Helen? Czy wszystko w porządku?

Poszedł dalej. W kuchni na stole siedziała niemiecka służąca, w płaszczu i kapeluszu. Trzymała przed sobą torebkę, a przy tym trzęsła się i drżała.

- Co się stało? - zapytał ojciec Johna. - Gdzie są wszyscy?

- Etwas schrecklich - wyrzuciła z siebie służąca. - Cała rodzina nie żyje.

- Co? Co to znaczy: "Cała rodzina nie żyje"?

- Są na górze - odparła służąca. - Wszyscy martwi.

- Zawołaj mojego szofera. Niech tu przyjdzie. Potem zatelefonuj na policję. Polizei, rozumiesz?

Pelen najgorszych obaw wszedł po schodach na górę. Drzwi do sypialni na pierwszym piętrze zastał uchylone i obryzgane krwią. Ramki, w które oprawione były fotografie uśmiechających się dziewczynek, Penny i Veroniki, leżały porozbijane na dywanie; czerwone rozetki - podarte i podeptane.

Podszedł do drzwi sypialni dziewczynek i zajrzał do środka. Penny spoczywała rozciągnięta na plecach, z szyją przegryzioną tak głęboko, że głowa była niemal oddzielona od tułowia. Veronica leżała na łóżku twarzą w dół; jej biała koszula nocna pociemniała od krwi.

Pelen najgorszych przeczuć poszedł do sypialni Johna. Otworzył drzwi, ale łóżko było puste i nie dostrzegł śladu chłopca. Poczul suchość w gardle i pomodlił się:

- Boże, proszę cię, pozwól mi znaleźć go żywego.



Wspiął się po schodach na drugie piętro. Korytarz pokryty był krzyżującymi się pasmami krwi. W sypialni Smythe - Barnettów znalazł pułkownika. Leżał na wznak, ze wzrokiem wbitym w sufit i z wydartą krtanią. Wyglądał tak, jakby pod szyją miał zawiązany czerwony śliniaczek. Nigdzie nie zauważył śladu Helen Smythe-Barnett.

Drzwi do klatki schodowej wiodącej na poddasze upstrzone były krwawymi odciskami rąk. Ojciec Johna otworzył je, wziął głęboki oddech i powoli zaczął wchodzić na górę.

Pokój pełen był słonecznego światła. Naprzeciwko ujrzał dywanik będący kompletną wilczą skórą wraz z głową. Szczęki wilka były ciemne od zakrzepłej krwi, a futro było zmierzwione.

W jednym miejscu dywan wygarbiał się, kryjąc coś pod sobą. Ojciec Johna wahał się bardzo długo, w końcu ujął jego brzeg i podniósł.

Pod dywanem leżały na pół strawione szczątki chłopca.

## MATKA Z WYNALAZKU

Cliveden, Berkshire

Cliveden jest ogromnym wiktoriańskim domem, stojącym na wysokim wzgórzu, z którego widać Tamizę w okolicach Maidenhead. Dom należał niegdyś do rodziny Astor, a stał się znany w latach sześćdziesiątych XX wieku, kiedy to był miejscem schadzek brytyjskiego ministra wojny, Johna Profumo, z kobietą lekkich obyczajów, Christine Keeler. W 1942 roku dom ten, wraz z ogrodami i przyległymi lasami, został oddany National Trust przez drugiego wicehrabiego Astor. W 1954 roku jego syn, trzeci wicehrabia, dołączył do tej posiadłości Taplow Court Woods.

Obecnie Cliveden jest wiejskim hotelem. Można tam spędzić weekend, wędrując po wykładanych boazerią korytarzach i podziwiając rozmaite starocie, albo po prostu zjeść lunch i zejść ze wzgórza nad Tamizę, żeby go strawić (ostrzeżenie: powrót do domu po znacznej stromiźnie).

Można przez kilka godzin wyobrazić sobie, że jest się wicehrabią, że dysponuje się wszystkim, co życie ma do zaoferowania. Niektórzy jednak - jak wynika z tego opowiadania - chcą więcej, niż oferuje nam życie.

Zostawił ją siedzącą na słonecznym tarasie, pod kwitnącą wiśnią, której płatki miękko spadały wokół niej, jak konfetti w dniu jej ślubu - dawno temu.

Miała teraz siedemdziesiąt pięć lat, siwe włosy, zwiędłą szyję i oczy o barwie rozmokłych irysów. Ubierała się jednak elegancko, w sposób jaki David pamiętał od dzieciństwa. Nosła naszyjniki z pereł i jedwabne suknie, i wciąż jeszcze była bardzo piękna.

Pamiętał, jak jego ojciec tańczył z nią i opowiadał, że była "królową Warszawy", najbardziej oszałamiającą kobietą, jaką wydała Polska, kraj słynący z pięknych kobiet.

"Nie ma kobiety, która mogłaby się równać z twoją matką, i nigdy takiej nie będzie" - powiedział jego ojciec w dniu swoich osiemdziesiątych pierwszych urodzin, kiedy spacerowali wzdłuż Tamizy, u stóp wysokiego wzgórza, na którym stał hotel Cliveden. Nad wodą latały ważki,

słysząc było okrzyki wioślarzy i radosne piski jakiejś dziewczyny. Trzy dni później jego ojciec umarł spokojnie we śnie.

Brązowe, zamszowe buty Davida zachręściły na żwirze. Bonny czekała w jego podniszczonym, niebieskim, otwartym MG, malując sobie wargi intensywnie różową szminką i przeglądając się w lusterku wstecznym samochodu. Bonny była jego drugą żoną - młodszą od niego o jedenaście lat - blondynką o dziecinnej twarzy, wesołą i totalnie różniącą się od Anny, jego pierwszej żony, która była brunetką, bardzo poważną i w jakiś sposób nędzną. Jego matka nie zaaprobowała Bonny. Mówiła o niej rzadko, stwierdzając, że jest całkowicie źle wychowana, gdyż odebrała rodzinie kochającego męża. Matka twierdziła, że małżeństwo jest święte, nawet wtedy, gdy zamienia się w piekło.

- Twój ojciec powiedziałby ci parę przykrych słów, Davidzie - oświadczyła urażona, patrząc na niego bez zmrużenia oka. Głowę miała przechyloną na jedną stronę, a jej palce pieściły diamentowy pierścionek zaręczynowy i obrączkę ślubną. - Twój ojciec mówił, że mężczyzna powinien być wierny kobiecie, i tylko jednej kobiecie.

- Ojciec cię kochał, mamó. Łatwo było mu tak mówić. Ja w ogóle nie kochałem Anny.

- Więc dlaczego się z nią ożeniłeś, po co miałeś z nią dzieci, a potem zadałeś jej takie cierpienia?

Tego David do tej pory nie wiedział. Annę poznał w college'u i po prostu się pobrali. To samo przydarzyło się tuzinowi jego przyjaciół. Po dwudziestu latach siedzieli w swoich hipotecznych domach na peryferiach, wyglądali przez okna i myśleli o tych wszystkich roześmianych, złotonogich dziewczynach, z którymi powinni byli się ożenić.

Wiedział natomiast, że kocha Bonny w sposób, w jaki nigdy nie kochał Anny. W Bonny po raz pierwszy ujrzał to samo, co ojciec zobaczył w jego matce. Ujmujący, niemal anielski wygląd, nieprzepartą kobiecość, miękkość skóry, połysk włosów. Mógł godzinami siedzieć i patrzeć, jak przy rysownicy maluje wzory tapet. Mógłby obserwować ją bezustannie... gdyby to zapewniało im utrzymanie.

- Jak się czuje? - spytała Bonny, kiedy David wsiadał do samochodu. Był wysoki i bardzo angielski w swoim rdzawym swetrze i sztruksowych spodniach. Po matce odziedziczył głęboko osadzone, polskie oczy i gładkie włosy, ale jego angielskość uwidaczniała się ponad wszelką wątpliwość w długiej, przystojnej twarzy, podobnej do twarzy ojca, i w zaciekłym uporze jeżdżenia najmniejszymi samochodami sportowymi, mimo że miał sto osiemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu.

- Dobrze - powiedział, uruchamiając silnik. - Chciała wiedzieć, gdzie poszłaś.

- Mając nadzieję, że poszłam sobie na zawsze, jak sądzę?

Zatoczył szeroki łuk i pojechał wzdłuż długiej alei strzyżonych lip, od których wzięła się nazwa The Limes Retirement Home.

- Ona już nie chce, byśmy z sobą zerwali - rzekł David. - Wie, jaki jestem szczęśliwy.
- Może na tym właśnie polega problem. Może myśli, że im dłużej jesteśmy ze sobą, tym mniejsza szansa na powrót do Anny.
- Nie wróciłbym do Anny nawet za wszystkie wegetariańskie zapasy z lodówki Lindy McCartney. - Spojrzał na zegarek Jaeger-le-Coultre, należący kiedyś do jego ojca.
- Jeśli już mówimy o jedzeniu, to lepiej wracajmy. Obiecaliśmy wpaść do ciotki Rosemary.
- Jakże mogłabym zapomnieć?
- Przestań, Bonny. Wiem, że jest dziwna, ale od lat jest częścią rodziny.
- Nie mam nic przeciwko temu, póki jej nie zacznie cieknać ślina.
- Nie bądź niegrzeczna.

Dojechali do bramy domu opieki, a potem skręcili na wschód, w kierunku autostrady i Londynu. Późnopołudniowe słońce migotało za drzewami: wyglądali jak na filmie nakręconym przez Charliego Chaplina.

- Czy ciotka Rosemary odwiedza czasem twoją matkę?- zapytała Bonny.

David potrząsnął przecząco głową.

- Ciotka Rosemary nie jest moją prawdziwą ciotką. Była zawsze kimś w rodzaju sekretarki mojego ojca, chociaż nigdy nie widziałem, żeby wykonywała jakąkolwiek pracę. Prawdę mówiąc, nie wiem, kim ona jest. Przyszła do nas, kiedy miałem dwanaście albo trzynaście lat i już została... przynajmniej do chwili śmierci ojca. Potem jej stosunki z moją matką ochłodziły.
- Twoja matka nie jest szczególnie wyrozumiałą osobą, prawda?

Przez jakiś czas jechali milcząc. Potem David powiedział:

- Czy wiesz, co mi dzisiaj pokazała?
- Poza ciągłą dezaprobatą?

David zignorował tę uwagę.

- Pokazała mi starą fotografię całej swojej rodziny: dziadka, babki, matki, ojca, trzech jej braci i jej samej, zrobioną przed Pałacem Wilanowskim w Warszawie. Wszyscy prezentowali się doskonale, oczywiście mówię to na podstawie fotografii.
- Kiedy została zrobiona?
- Zdaje się, że około tysiąc dziewięćset dwudziestego czwartego... Matka miała wtedy pięć albo sześć lat. Ale fotografa podsunęła mi pomysł prezentu urodzinowego dla niej. Myślę, że uda mi się odtworzyć jej życie od chwili urodzin; wiem, że ojciec miał setki zdjęć, listów i pamiątek. Skomponuję coś w rodzaju książki Twoje życie.

- Czy ci to nie zabierze mnóstwa czasu? Miałeś zamiar skończyć pracę nad Wellcome Foundation. Potrząsnął przecząco głową.

- Całe poddasze jest aż po krokwie zawałone albumami zdjęć i pamiątkami. Ojciec utrzymywał je w nienagannym porządku. Miał taki charakter. Był perfekcjonistą, bardzo systematycznym, bardzo precyzyjnym. No cóż... musiał być taki.

- Gdzie poznał swoją matkę?

- W Warszawie, w trzydziestym siódmym. Nie opowiadałem ci? Pojechał do Polski, żeby asystować wielkiemu Magnusowi Stothardowi, który został wezwany w celu zoperowania raka kręgosłupa u hrabiego Szpondera. Operacja się nie udała. Moja matka przybyła wraz ze swoją rodziną na jeden z obiadów, wydanych przez rodzinę Szponderów na cześć sir Magnusa. Muszę dodać, że to było jeszcze przed operacją. Matka nie była arystokratką, ale jej ojciec cieszył się ogólnym szacunkiem... miał zdaje się coś wspólnego z żegluga. Matka nazywała się wówczas Katia Ardonna Galowska. Opowiadała mi, że miała wtedy na sobie szarą jedwabną suknię z koronkowym kołnierzem i zaśpiewała piosenkę pod tytułem Piosenka drozda.

Mój ojciec gapił się na nią z otwartymi ustami. Zaprosił ją do Cheltenham na wakacje, na które przyjechała następnego wiosny. Sytuacja w Polsce zaczęła wyglądać groźnie, więc została w Anglii i wyszła za mąż za ojca... i to już koniec całej historii.

- Czy zobaczyła się jeszcze kiedykolwiek ze swoją rodziną?

- Nie. Jej bracia przystąpili do polskiego ruchu oporu. Nikt nie wie, co się z nimi stało. Ojciec i matka zostali zadenuncjowani jako Żydzi, przez jednego ze współników ojca, i wywiezieni do Birkenau.

Wjeżdżali teraz na autostradę M4 i David musiał ustawić wsteczne lusterko, które Bonny przekręciła, malując sobie wargi. Olbrzymia ciężarówka zatrąbiła ogłuszająco, więc David błyskawicznie zjechał na pas awaryjny. Ciężarówka z rykiem przemknęła tuż-tuż obok.

- Bierzesz życie w swoje ręce - powiedziała Bonny, a w chwilę później, kiedy wrócili na pas ruchu i nabierali szybkości, dodała: - Pamiętasz ten program "Twoje życie w ich rękach"? Na temat chirurgii... ten, w którym pokazywali operacje na pacjentach?

- Oczywiście, że pamiętam. Występował w nim między innymi ojciec, dokonujący transplantacji wątroby.

- Naprawdę? Nie wiedziałam o tym.

David, dumny, skinął głową.

- Nazywali go "krawcem z Gloucester", ponieważ jego szwy były tak niewiarygodnie doskonałe. Często mawiał, że cały kłopot z dzisiejszymi chirurgami polega na tym, że matki nigdy nie

nauczyły ich szyć. Zawsze sam przyszywał sobie guziki i podszywał mankiety od spodni. Myślę, że haftowałyby swoich pacjentów, gdyby miał taką możliwość.

Ręka Davida spoczywała na dźwigni zmiany biegów i Bonny przykryła ją swoją dłonią.

- Niezwykle jest to, że gdyby jakiś stary polski hrabia nie miał raka kręgosłupa, i gdyby Hitler nie napadł na Polskę, to nie byłibyśmy teraz razem.

Ciotka Rosemary mieszkała w małym bungalowie w New Malden, przy nieciekawej ulicy, biegnącej pod słupami linii elektrycznej. Frontowy ogródek był wylany betonem, na którym odcisnięto jakiś zwariowany wzór płyt chodnikowych. W środku umieszczono betonową sadzawkę dla ptaszków, na której obwodzie siedział betonowy, bezgłowy drozd. Żywopłot zanieczyszczony był zeszłorocznymi jesiennymi liśćmi i opakowaniami po frytkach.

David zadzwonił i ciotka Rosemary powoli, wydając westchnienia, podeszła do drzwi. Kiedy je otworzyła, poczuli zapach lawendowego płynu do czyszczenia mebli, woń mazidla i odór nie zmienionej wody w wazonie z kwiatami.

Ciotka Rosemary mogła mieć siedemdziesiąt pięć lat. Była jeszcze przystojna, ale chodziła powłócząc nogami jak krab, a wszystkie jej ruchy były przypadkowe i nieskoordynowane. Opowiedziała kiedyś Davidowi, że cierpi na artretyzm, spotęgowany kuracją, którą jej zaaplikowali w latach dwudziestych lekarze w Paryżu. Najmodniejszym zabiegiem owego czasu było wstrzykiwanie złota do stawów ludzi cierpiących na artretyzm. Była to technika rujnująca kieszenie pacjentów oraz przyprawiająca ich o trwałe kalectwo.

- Przyjechałeś, Davidzie - odezwała się na powitanie.

Dolna warga opadła jej przy próbie uśmiechu. - Masz trochę czasu, żeby się napić herbaty?

- Tęsknimy do herbaty - odparł David. - Prawda, Bonny?

- O, tak - potwierdziła Bonny. - Naprawdę tęsknimy.

Usiedli w małym, mrocznym saloniku, pijąc słabą PG Tips i jedząc słodkie bułeczki z rodzynkami i z wiśniami. Ciotka Rosemary trzymała w ręku chusteczkę, na wypadek gdyby okruchy ciasta zaczęły wypadać z kącików jej ust.

Bonny próbowała kierować wzrok w inną stronę. Patrzyła na zegar na kominku, na porcelanowe figurki przedstawiające wyścigi konne, na złotą rybkę, pluskającą się w ciemnym zbiorniku.

Nim wyjechali, David poszedł do toalety. Bonny i ciotka Rosemary siedziały przez chwilę w milczeniu. Potem Bonny powiedziała:

- Pytałam Davida, czemu nigdy nie odwiedzasz jego matki.

- Och - westchnęła ciotka Rosemary dotykając ust. - Byłyśmy kiedyś z sobą bardzo związane, ale ona jest osobą, która zawsze tylko bierze, a nic nie daje. Jest bardzo samolubna, ale w taki sposób, którego nie pojmiesz.

- Rozumiem - odrzekła ze skrępowaniem Bonny.

Ciotka Rosemary położyła swoją zniekształconą dłoń na jej ręce.

- Nie, moja droga. Nie możesz tego rozumieć

David spędził na poddaszu prawie cały weekend. Na szczęście Bonny to nie przeszkadzało. Musiała skończyć projekt tapet dla Sandersona - nową gamę wzorów, opartą na XIX-wiecznych projektach tkanin Arthura Mackmurda - wijące się liście i kwiaty w stylu dekoracyjnego rękodziela.

Poddasze było duszne i gorące, ale dobrze oświetlone - miało mansardowe okno z widokiem na trawniki, a pod nim miękkie siedzenie, gdzie David mógł usiąść i przeglądać stare papiery ojca i albumy z fotografiami.

Albumy cuchnęły jak stęchłe ubrania i rzadko otwierane szafy, ale stanowiły kwintesencję minionego czasu. Zawierały całe pliki zdjęć młodych, uśmiechniętych studentów medycyny lat dwudziestych i ludzi w słomkowych kapeluszach i pasiastych blezerach podczas pikników. Mnóstwo było fotografii jego ojca w towarzystwie pięknych dziewcząt, ale po marcu 1938 pojawiał się na zdjęciach w towarzystwie tylko jednej- Katii Ardonny Galowskiej. David, mimo że to była jego rodzona matka, dopiero teraz dojrzał przyczynę, dla której ojciec tak ją uwielbiał.

Dwunasty kwietnia 1941 - dzień ślubu. Matka miała na sobie dowcipnie wyglądający kapelusz w stylu Robin Hooda, noszony na bakier, krótką suknię i bolero. Ojciec był ubrany w dopasowany, dwurzędowy garnitur i w sztylpy. Tak, w sztylpy! Wyglądali olśniewająco - jak para aktorów filmowych; jak Laurence Olivier i Vivien Leigh, a ich oczy miały ów niezwykły, zamglony blask prawdziwego szczęścia. Prawdziwie szczęśliwi patrzą tylko w głąb siebie, oślepieni własną radością.

David w ramionach matki, następnego dnia po urodzeniu.

W salonie na dole wisiało powiększenie tej fotografii, oprawione w srebrną ramę. David w wieku jedenastu miesięcy, śpiący w ramionach matki. Na jej twarzy kratka od światła słonecznego, wpadającego przez okno z oprawionymi w ołów szybkami. Drobne loki błyszcząły jak powojnik. Oczy lekko przymknięte, jakby marzyła lub myślała o innym kraju. Była tak fascynująco piękna, że David nie mógł przewrócić strony a kiedy to zrobił, musiał się cofnąć, aby spojrzeć jeszcze raz.

Na fotografii widniała data: dwunasty sierpnia 1948.

Wertował album. On sam w wieku dwóch lat, pierwsza wizyta w cyrku. Jego pierwszy kiddi-kar. W jakiś dziwny sposób nie było zdjęć matki aż do stycznia 1951, kiedy została sfotografowana obok jakiegoś zamrożonego stawu, otulona futrem, tak że twarzy prawie nie widać.

Od stycznia do września 1951 pojawiała się na zdjęciach dość regularnie. Fotografia na molo widokowym na Isle of Wight (molo to zostało później zmiecione przez sztorm) Miała na sobie kapelusz z szerokim rondem i kwiecistą suknię do połowy łydki, a na nogach białe pantofle ze skórzanych pasków. Twarz w cieniu kapelusza była ledwie widoczna, ale wydawało się, że się uśmiecha.

Potem znów matka zniknęła. Nie było jej zdjęcia aż do listopada 1952, kiedy wzięła udział w weselu Lolly Bassett w Caxton Hall, w Londynie. Ubrana była w szarą suknię z plisowaną spódnicą. Wydawała się niezwykle chuda, prawie wyniszczona. Jej twarz była ciągle piękna, ale w jakiś sposób lekko zniekształcona, jakby skutkiem urazu fizycznego lub bezsenności.

Po przewertowaniu pięciu pierwszych albumów David odkrył, że w regularnym pojawianiu się zdjęć jego matki jest siedem przerw... tak jakby w okresie jego wczesnego dzieciństwa wzięła siedem dłuższych urlopów. Przypomniał sobie, że wyjeżdżała i wracała, ale był otoczony tak troskliwą opieką przez ciotkę Iris (niezamężną siostrę ojca), że nie zdawał sobie sprawy, jak długie były te nieobecności. Pamiętał, że matka w tych czasach sporo chorowała i musiała tygodniami leżeć w swojej sypialni, przy zaciągniętych zasłonach. Pamiętał, jak wchodził na palcach, pocałować ją na dobranoc, i z najwyższym trudem odnajdywał ją w ciemnościach. Pamiętał, jak dotykał jej miękkiej twarzy i miękkich włosów, czując zapach jej perfum oraz jeszcze inny, silny i przenikający, jakby antyseptyków.

Potem, w 1957 roku, pojawiła się znowu, piękna jak dawniej i w pełni sił. W pokojach było już słonecznie, ojciec miał świetny humor, a David myślał chwilami, że ma najlepszych rodziców, jakich mógłby sobie wymarzyć.

Był jeszcze szósty album, oprawiony w czarną skórę, ale zamknięty na zamek. Brakowało jednak klucza. Zapisał sobie w pamięci, że musi przeszukać biurko ojca.

Wrócił do fotografii matki z 1948 roku i położył na niej płasko swoją dłoń, jak gdyby chciał wchłonąć azotany papieru fotograficznego i w ten sposób dowiedzieć się, co było później. Przez cały okres jego dzieciństwa matka przychodziła i odchodziła, przychodziła i odchodziła - jak światło słoneczne w popołudnie pełne pierzastych obłoków.

Zaparkował wóz poza terenem Northwood Nursing Home i przez jakiś czas mocował się ze składanym dachem MG, chcąc go postawić, gdyż zanosilo się na deszcz.



Archiwum mieściło się na końcu długiego, wyłożonego linoleum korytarza, który rozbrzmiewał echem kroków i pachniał pastą woskową. Archiwistką była zmęczona kobieta w liliowej wełnianej kamizelce. Z hałasem ssała i obracała w zębach cukierek o bardzo silnym miętowym zapachu. Dawała wyraźnie do zrozumienia, że prośba Davida jest niezwykle nudna, że mogłaby w tym czasie zajmować się czymś znacznie ważniejszym (na przykład robić neskę).

David czekał, podczas gdy ona kartkowała księgę rejestracyjną, dając przedstawienie przy przewracaniu każdej kolejnej strony.

- Tak... mamy tutaj. Trzeci lipca czterdziestego siódmego roku. Katerina Geoffries. Grupa krwi: 0. Przebyte choroby: odra, wietrzna ospa, lekka szkarlatyna. Dziecko płci męskiej... to zdaje się pan? Waga trzy kilogramy i trzysta gramów.

David zajrzał do książki nad biurkiem.

- Tu jest jakaś notatka, zrobiona czerwonym atramentem.

- To dlatego, że ktoś sprawdzał później jej dane.

- Rozumiem. Ale czemu miałby to robić?

- Pewnie z powodu jej wypadku.

- Wypadku? Jakiego wypadku?

Archiwistka spojrzała na niego podejrzliwie zza okularów.

- Jest pan tym, za kogo pan się podaje?

- Naturalnie. Dlaczego miałbym nie być?

Archiwistka z wymownym trzaskiem zamknęła książkę.

- Wydaje mi się podejrzane, że pan nie wie o wypadku swojej matki.

David wyciągnął portfel, pokazał archiwistce prawo jazdy i list z Rady Dzielnicowej.

- Nazywam się David Geoffries. Pani Katia Geoffries jest moją matką. Proszę spojrzeć... to nasza wspólna fotografia. Nie wiem, dlaczego nigdy mi nie powiedziała o swoim wypadku. Może myślała, że to nic ważnego.

- Myślę, że to było coś w najwyższym stopniu ważnego, przynajmniej jeśli idzie o pańską matkę.

- Dlaczego?

Archiwistka ponownie otworzyła książkę i obróciła w stronę Davida, tak że mógł przeczytać wpis dokonany czerwonym atramentem. "Starszy arch. med. ze Szpit. Middlesex sprawdz. gr. krwi i rej. przeb. chorób pilne, 2 w nocy 14/09/48 (kontakt z lek. domowym niemożliwy). Pani G. ciężko ranna w wyp. samochod.".

Pod spodem inna ręka dopisała czarnym atramentem: "Pani Geoffries zmarła 15/09/48".

David podniósł wzrok. Czuł się tak, jakby wdychał tlenek azotu, siedząc w fotelu u dentysty. Głowę miał lekką, rozbrzmiewającą jakimiś echemi, myśl oderwaną od rzeczywistości.

- To jakaś pomyłka - usłyszał, jak sam mówi. – Ona żyje, czuje się doskonale i mieszka w The Limes. Widziałem się z nią wczoraj.

- W takim razie bardzo się cieszę - powiedziała archiwistka, ssąc z hałasem miętowy cukierek. – A teraz, proszę mi wybaczyć...

David skinął głową i wstał. Wyszedł z budynku i stał długo na schodach, mimo że na czerwonym asfalcie podjazdu zaczęły spływać krople deszczu i zerwał się wiatr.

W Somerset House znalazł kopię świadectwa zgonu. Pani Katerina Ardonna Geotfries zmarła w Szpitalu Middlesex piętnastego września 1948 roku. Przyczyna śmierci: liczne obrażenia wewnętrzne. Jego matka została zabita, a tu był dowód.

Pojechał do redakcji "Uxbridge Gazette" i przewertował kronikę nieszczęśliwych wypadków w starych rocznikach gazety. W wydaniu z osiemnastego września znalazł notatkę z fotografią. Parę minut po północy samochód Triumph Roadster przejechał czerwone światło i zderzył się z ciężarówką przewożącą szyny kolejowe. David od razu rozpoznał samochód. Oglądał go na wielu zdjęciach. Wówczas nie zauważył, że na fotografiach po wrześniu 1948 już go nie było.

Jego matka nie żyła. Umarła, kiedy miał zaledwie rok. Nigdy jej nie znał, nie rozmawiał z nią ani się z nią nie bawił.

Kim więc była kobieta mieszkająca w The Limes? Dlaczego udawała przez tyle lat, że jest jego matką?

Wrócił do domu. Bonny przygotowała mu bardzo ostry gulasz meksykański, jedno z jego ulubionych dań, ale ledwie go tknął.

- Co się stało? - spytała. - Jesteś taki blady! Wyglądasz, jakby ci była potrzebna transfuzja krwi.

- Moja matka nie żyje - odparł. Potem opowiedział jej całą historię.

Nie jedli kolacji, lecz usiedli na sofie, ze szklankami wina i rozmawiali. Bonny oznajmiła:

- Nie mogę zrozumieć, dlaczego twój ojciec nigdy ci o tym nie powiedział. Przecież to by cię nie mogło zmartwić, prawda? Nie pamiętasz jej.

- Nie tylko mnie nie powiedział. Nie wyznał prawdy nikomu. Nazywał ją Katią, a wszystkim dookoła opowiadał, jak to spotkali się przed wojną... mówił o niej jako o "królowej Warszawy". Po co robiłby to wszystko, gdyby to nie była ona?

Wrócili do fotografii w albumie.

- Na tych późniejszych zdjęciach - stwierdziła Bonny - ona jest podobna do twojej matki. Te same włosy, te same oczy, ten sam profil.

- Nie... Jest różnica - odparł David. - Popatrz... na tym zdjęciu, na którym mnie trzyma, kiedy mam jedenaście miesięcy... Spójrz na jej uszy. Są bardzo małe. A teraz spójrz na to zdjęcie, zrobione w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym. To są bez wątpienia inne uszy.

Bonny podeszła do sztalugi i wróciła ze szkłem powiększającym. Poddali dokładnym oględzinom ręce kobiety, stopy, ramiona.

- Tutaj... na tym zdjęciu ma trzy pieprzyki na ramieniu, a na tamtym nie ma żadnego.

Skończyli badania i usiedli, całkowicie zdezorientowani.

Butelka była już prawie pusta.

- To ta sama kobieta i równocześnie nie ta sama. Z roku na rok zachodzą w niej drobne zmiany.

- Mój ojciec był znakomitym chirurgiem. Może robił jej operacje plastyczne.

- Żeby powiększyć jej uszy? Żeby sprawić jej pieprzyki w miejscach, w których ich nie było?

David potrząsnął głową.

- Nie wiem... w ogóle nie potrafię tego zrozumieć.

- Może więc najlepiej zapytać jedyną osobę, która to wszystko wie: twoją matkę... czy też kobietę, która się za nią podaje.

Siedziała z twarzą ukrytą w półcieniu.

Mam na imię Katia Ardonna - powiedziała.- Zawsze tak było i tak pozostanie aż do mojej śmierci.

- A co z wypadkiem? - upierał się David. – Widziałem akt zgonu mojej matki.

- Ja jestem twoją matką.

Znowu przewracał kartki albumu, szukając klucza do zagadki. Chciał już zrezygnować, kiedy zwrócił uwagę na zdjęcie matki stojącej ramię w ramię z uśmiechniętą brunetką, zrobione na torze wyścigów konnych w Kempton Parku w 1953. Podpis pod zdjęciem głosił: "Katia i Georgina, szczęśliwy dzień na wyścigach!"

Na ramieniu Georginy widać było wyraźnie trzy pieprzyki.

Ojciec Georginy siedział przy oknie, patrząc poprzez zakurzone firanki na ruch uliczny Kingston Bypass. Miał na sobie wystrzępioną, szarą, wełnianą kamizelkę; na kolanach siedział mu obrażony kot, rzucający Davidowi spojrzenia śmiertelnej nienawiści.

- Georgina wyszła z domu w wigilię Nowego Roku, w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym trzecim, i potem nikt już jej więcej nie widział. Policja bardzo się starała, zrobili co mogli, ale nie było żadnego punktu zaczepienia. Widzę jej twarz jakby to było wczoraj. Wychodząc powiedziała:

Szczęśliwego Nowego Roku, tatusiu! - Do dziś to słyszę. Od tamtego czasu nie miałem ani jednego szczęśliwego roku, ani jednego.

- Opowiedz mi o Georginie - prosił David matkę.

- Georgina?

- Georgina Philips... była kiedyś twoją przyjaciółką. Jedną z twoich najlepszych przyjaciółek.

- Czego chcesz się dowiedzieć? Ona zaginęła, nie ma jej.

- Zdaje mi się, że ją odnalazłem - odparł David. - A przynajmniej wiem, gdzie jest jej fragment.

Matka spojrzała na niego.

- Mój Boże - powiedziała - po tylu latach... Nie myślałam, że ktokolwiek się dowie.

Stała pośrodku swojego pokoju, mając na sobie tylko brzoskwińowego koloru szlafrok. Bonny, przestraszona, ale zafascynowana, przysiadła głęboko w kącie. David stał obok matki.

- On mnie czcił i z tym był cały kłopot. Myślał o mnie, że jestem boginią, a nie realną istotą. A przy tym był taki zaborczy. Nie pozwalał mi rozmawiać z innymi mężczyznami. Telefonował bezustannie, żeby sprawdzić, gdzie jestem. W końcu zaczęłam czuć się jak w pułapce, miałam wrażenie, że się duszę. Wypiłam za dużo whisky i wsiadłam do samochodu, żeby się przejechać.

Samego wypadku nie pamiętam. Zapamiętałam moment obudzenia się w klinice twojego ojca. Byłam strasznie pogruchotana: koła ciężarówki przejechały moją miednicę. Masz rację, byłam martwa. Twój ojciec odebrał moje ciało i zabrał mnie do Pinner. Zapewne niewiele wiesz o doświadczeniach z galwanizacją elektryczną. Przeprowadzał je twój ojciec. Znalazł sposób ożywiania martwej tkanki, robiąc najpierw zastrzyki z minerałów naładowanych ujemnym ładunkiem elektrycznym, a potem stosując potężny wstrząs ładunkiem dodatnim. Udoskonalił tę metodę podczas wojny, na zlecenie War Office... Byli szczęśliwi, mogąc dostarczać mu martwych żołnierzy do eksperymentowania. Pierwszym ożywionym człowiekiem był podoficer marynarki, który utonął w Atlantyku. Jego pamięć była mocno nadwerężona, ale ojciec znalazł sposób zabezpieczenia jej przed szokami: użył w tym celu aminokwasów... - Zrobiła przerwę, a potem ciągnęła znowu: - Podczas owego wypadku zostałam zabita i na tym powinno być się skończyć. Ale twój ojciec przywrócił mnie do życia. Nie tylko to... on mnie odbudował do tego stopnia, że stałam się niemal taka sama jak wówczas, kiedy mnie pierwszy raz zobaczył. Moje nogi były zmiażdżone, nie nadawały się do naprawienia... Dał mi więc nowe nogi. Ciało stanowiło miazgę... dał mi nowe ciało. Nowe serce, płuca, nową wątrobę, miednicę, trzustkę... nowe ramiona, nowe żebra, nowe piersi.

Zdjęła szlafrok z ramion.

- Spójrz na moje plecy - powiedziała.

David z trudem zdołał dopatrzeć się blizny po operacji. Delikatne srebrne linie wskazywały miejsce, w którym ręka Georginy została przyszyta do obcego ramienia.

- Jaka część ciebie to rzeczywiście ty? - zapytał ochryłym głosem. - Ile z ciebie jest Katią Ardonną?

- W ciągu tych wszystkich lat twój ojciec użył sześciu różnych kobiet, żeby mnie przywrócić, kawałek po kawałku, do pierwotnej postaci.

- A ty się na to zgodziłaś? Pozwoliłaś mu zamordować sześć kobiet, żeby mógł wykorzystać części ich ciał dla ciebie?

- Nie miałam wpływu na twojego ojca. Nikt nie miał wpływu na twojego ojca. Był wielkim chirurgiem, ale opętany.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że pozwoliłaś mu na to.

Matka z powrotem nasunęła szlafrok na ramiona.

- Przecierpiałam lata udręki, Davidzie... lata, w ciągu których ledwie zauważałam mijające miesiące. To było życie jak w koszmarnym śnie. Czasem nie wiedziałam, czy żyję, czy umarłam.

- Ale jak jemu udało się ująć cało mimo zabicia tamtych kobiet? W jaki sposób pozbył się ich ciał? Katia Ardonna zdjęła z szyi mały srebrny klucz.

- Zauważyłeś na poddaszu czarny skórzany album? Ten zamknięty na zamek? To jest klucz do tego zamka. Będiesz mógł się dowiedzieć o wszystkim, o czym kiedykolwiek chciałeś się dowiedzieć... i jeszcze o czymś więcej.

W milczeniu przeglądali album. Była to kompletna fotograficzna dokumentacja chirurgicznej rekonstrukcji pogruchotanego ciała matki Davida. Strona po stronie, rok po roku mogli śledzić postępy w bolesnym trudzie przywracania mu pierwotnej postaci. Technika ojca była nadzwyczajna; do połączeń włókien nerwowych i naczyń włosowatych ojciec wykorzystał mikrochirurgię.

Rozpoczął od wszycia nowych kończyn, potem przetransplantował klatkę piersiową, płuca, a następnie wszystkie organa wewnętrzne. Po latach drobiazgowych zabiegów ciało stało się doskonałe. Matka była tą samą piękną kobietą, którą jego ojciec spotkał w Polsce w 1937, niemal bez skazy, o doskonałych proporcjach i prawie bez blizn.

Uśmiechała się na zdjęciu jak królowa Warszawy.

Fotografie ukazywały także ponurą stronę tej historii. W kolejnych sekwencjach prezentowały to, co robił ojciec Davida z kończynami i organami, których nie potrzebował. Nie zawijał ich w gazety, nie palił, nie zakopywał ani nie rozpuszczał w kwasie. Zszywał je starannie,

mięsień z mięśniem, nerw z nerwem. Każde zdjęcie było przerażającym krajobrazem żył, członków i pokrwawionego ciała. Otchłanie ciała otwarte; obraz ciała po zamknięciu. Szkarłatna krew wokół cienkiej tkanki łącznej; ta sama tkanka po odessaniu krwi.

Żadne z nich nie widziało przedtem tak pokawałkowanych ciał ludzkich. Wyglądały jak monstrialny ogród, pełen przerażających warzyw: wątroby błyszczące jak oberżyny, sterty jelit wyglądające jak kalafior z twarogu, płuca wielkie niczym dynie.

Z całej tej orgii skóry, kości i odpadków, ze wszystkich tych odrzutów, skrupulatny ojciec Davida stworzył nową kobietę. Nie była oczywiście tak piękna jak Katia Ardonna. Żeby przywrócić tamtej wygląd taki, jaki utrwalił się w jego pamięci, obrabował sześć kobiet z najlepszych fragmentów ich ciał. Mimo tych ograniczeń postać można było pokazać ludziom, a jednocześnie stanowiła doskonały obiekt, na którym mógł ćwiczyć zszywanie tkanki ludzkiej i wypróbowywać nowe pomysły w technice łączenia włókien nerwowych.

A poza tym żyła, tak samo jak Katia Ardonna; sześć ofiar morderstw utworzyło jedną żywą kobietę.

Kilka ostatnich fotografii w albumie przedstawiało przyszywanie palców u nóg i zaszywanie cięć.

Ostatnie zdjęcie zostało zrobione w dniu, w którym zdejmowano bandaż z twarzy nowej kobiety. Miała odciski od opatrunków, była oszołomiona, a jej oczy były zamglone. I wtedy z mdlącym uczuciem narastającego obrzydzenia rozpoznali tragiczną, krzywą twarz ciotki Rosemary.

## APARTAMENT ŚLUBNY

Sherman, Connecticut

Litchfield Hills są wymarzonym miejscem akcji romantycznego opowiadania z dreszczykiem. Jedźcie tam w jesieni, kiedy drzewa zmieniają barwy, a okolica pachnie świętem zmarłych. Jest to kraj lampionów zrobionych z wydrążonych dyń; kraj, w którym w dalszym ciągu czarownice latają na miotłach, a liście same wirują.

Sherman, w stanie Connecticut, zachowało atmosferę magii znacznie dłużej niż miasta europejskie, ponieważ ominęła je fala najnowszego rozwoju. Względy ekonomiczne przerzedziły jego mieszkańców, pozostawiając jedynie emerytów i dojeżdżających do pracy. Można jeszcze znaleźć ponure, walące się zajazdy z epoki dyliżansów oraz ogromne opuszczone domostwa, których okna pokryte są liszczami porostów, a siatki na kortach tenisowych smętnie zwisają.

Miasteczko oddalone jest zaledwie o dwie godziny jazdy od centrum Manhattanu, ale to jeszcze potęguje niesamowitość. Można przenieść się w ten sposób z wiru nowoczesnej metropolii w XVII - wieczną ciszę... ciszę wprost niewiarygodną.

A kiedy zaczną się dziać dziwne rzeczy... one również stają się niewiarygodne.

Przyjechali do Sherman, w stanie Connecticut, pewnego zimnego, jesiennego dnia; liście o tej porze roku były kruche i szeleszczące, a cały świat wyglądał jak zardzewiały. Zajechali wypożyczoną cordobą przed frontowe drzwi domu i wysiedli. Peter otworzył bagażnik i wyjął z niego walizki, zupełnie nowe, z etykietkami sklepu Macy w White Plains, jeszcze z cenami. Jenny, w owczym kożuchu, stała z boku, uśmiechając się i trzęsąc z zimna. Trwało sobotnie popołudnie, a oni byli świeżo po ślubie.

Pośród drzew gubiących liście stał milczący dom o ścianach z białych, poziomo ułożonych desek. Było to ogromne, stare domostwo kolonialne z lat dwudziestych XIX wieku, z pomalowanymi na czarno poręczami, starą lampą od dyliżansu, zawieszoną nad drzwiami

wejściowymi, i z wyłożoną płytami kamiennymi werandą. Dookoła rosły gołe już o tej porze roku drzewa, a spod ziemi wyłaniały się warstwy kamieni. Był tam nie używany kort tenisowy, z obwisłą siatką i zardzewiałymi słupkami. Niszczący walec ogrodowy, obrosły trawą, stał w miejscu, gdzie przed wielu, wielu laty zostawił go na chwilę ogrodnik.

Dokoła panowała absolutna cisza. Dopóki się nie stanie nieruchomo w Sherman, podczas chłodnego jesiennego dnia, dopóty się nie wie, co to jest cisza. Czasem tylko lekki powiew wiatru zamiata suche liście.

Podeszli do drzwi wejściowych. Peter niósł walizki. Rozejrzył się, chcąc zadzwonić, ale nigdzie nie było dzwonka.

- Może zapukamy? - spytała Jenny.

Peter uśmiechnął się szeroko.

- Tym?

Na pomalowanych na czarno drzwiach przymocowana była groteskowa, zaśnieżona kołatka mosiężna, przedstawiająca jakiegoś wydającego dziki ryk stwora z rogami, szczerzącego groźnie zęby. Peter wziął ją do ręki i zastukał trzykrotnie. Uderzenia rozbrzmiały wewnątrz echem pustych korytarzy i klatek schodowych. Peter i Jenny czekali, uśmiechając się do siebie uspokajająco. Dokonali przecież rezerwacji. Co do tego nie było żadnej wątpliwości.

Cisza.

- Może powinieneś zastukać głośniejsze. Niech ja spróbuję.

Peter zapukał mocniej. W dalszym ciągu nie było żadnej reakcji. Czekali dwie albo trzy minuty. Popatrzył na Jenny

- Kocham cię, wiesz? - powiedział.

Jenny stanęła na palcach i pocałowała go.

- Ja też cię kocham. Kocham cię bardziej niż całą beczkę małą.

Słychać było szelest liści na kamiennej podłodze werandy, ale nikt nie otwierał drzwi. Jenny poszła przez frontowy ogród do okna i ocieniając dłonią oczy zajrzała do wnętrza domu. Była niska - miała zaledwie sto pięćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, długie jasne włosy i szczupłą, owalną twarz. Peterowi wydawała się podobna do muzy Boticellego, do jednej z owych boskich istot, które unoszą się tuż nad ziemią, owinięte są w przezroczyste szaty, i grają na harfach. Była naprawdę słodka. Wyglądała słodko, miała dobry charakter, z odrobiną uszczypliwości, która sprawiała, że jej słodycz nabierała smakowitości. Poznał ją w samolocie Eastern Airlines na trasie z Miami do lotniska La Guardia. Wracał z wakacji, ona zaś z wizyty u emerytowanego ojca. Zakochali się w sobie w ciągu następnych trzech miesięcy, które przebiegły jak w typowym scenariuszu



filmowym: zamglone sceny wspólnego pływania, pikniki na trawie i biegi w zwolnionym tempie przez General Motors Plaza, w otoczeniu chmury gołębi, oglądane życzliwie przez przechodniów.

Peter pracował jako redaktor w Manhattan Cable TV. Był wysoki i szczupły i lubił nosić robione na drutach swetry z luźnymi rękawami. Palił papierosy Parliament, czasem Santany i mieszkał w małym miasteczku, wśród tysiąca płyt, w towarzystwie szarego kota, który lubił bawić się dzwoneczkami oraz rozszarpywać domowe dywany i rośliny. Kochał Doonesbury i nie zdawał sobie sprawy, jak dalece stało się jego częścią.

Przyjaciele dali im w prezencie ślubnym torebkę trawki i orzechowe ciasto z Yum-Yum Bakery. Siwy, kochany ojciec Jenny dał im trzy tysiące dolarów i łóżko wodne.

- Można zwariować - stwierdził Peter. – Przecież zarezerwowaliśmy tu miejsca na tygodniowy pobyt.

- Dom wygląda na opuszczony - powiedziała stojąca na korcie tenisowym Jenny.

- Wygląda jeszcze gorzej - uzalał się Peter. - Wygląda, jakby zapadał się w ziemię. "Obiady z szampanem w Connecticut" - obiecywali. Wygodne łóżka i wszelkie udogodnienia. A to przypomina zamek Frankensteina.

Jenny, niewidoczna, zawołała nagle:

- Ktoś jest na tylnym tarasie.

Peter zostawił walizki i poszedł za nią wokół domu. Czarno-białe ptaszki trzepotały skrzydełkami i śpiewały wśród tracących liście gałęzi drzew. Przekroczył wystrzępioną siatkę kortu tenisowego i zobaczył Jenny, stojącą przy leżaku. Spała na nim siwa kobieta, przykryta ciemnozielonym kocem w szkocką kratę. Obok niej, na trawie, leżała poruszana wiatrem gazeta z New Milford.

Peter pochylił się nad kobietą. Miała kościstą twarz o szlachetnych rysach... kiedyś musiała być przystojna. Jej usta były lekko rozchylone, a gałki oczne poruszały się pod powiekami, jak gdyby coś jej się śniło.

Potrząsnął ją delikatnie i powiedział:

- Pani Gaylord?

- Myślisz, że czuje się dobrze? - spytała Jenny.

- Na pewno - odparł. - Zasnęła, czytając gazetę. Pani Gaylord?

Kobieta otworzyła oczy. Patrzyła przez chwilę na Petera z niepojętym wyrazem twarzy, z wyrazem dziwnego podejrzenia, ale potem nagle usiadła, przetarła rękami oczy i zawołała:

- Boże mój! Musiałam na chwilę zasnąć.

- Na to wygląda - rzekł Peter.

Odrzuciła koc i wstała. Była trochę wyższa niż Jenny, a pod prostą szarą suknią skrywała ciało chude jak wiór. Stojący blisko Peter poczuł zapach zwiędłych fołków.

- Państwo Delgordo, jak sędzę? - powiedziała.

- Tak, to my. Przyjechaliśmy przed chwilą. Pukaliśmy, ale nikt nie odpowiadał. Mam nadzieję, że pani wybaczy nam to obudzenie.

- Oczywiście. Pewnie myślicie, że jestem okropna, nie witając was. Dopiero co się pobraliście? Moje gratulacje. Wyglądacie na bardzo szczęśliwych.

- I jesteśmy - uśmiechnęła się Jenny.

- Chodźmy więc do domu. Dużo macie bagażu? Mój pomocnik pojechał dziś do New Milford po bezpieczniki. O tej porze roku jest w domu trochę nieporządku. Po Rosh Hashanah przyjeżdża już niewielu gości.

Poprowadziła ich w stronę domu. Peter popatrzył na Jenny i wzruszył ramionami, Jenny odpowiedziała grymasem. Postępowali za kościstymi plecami pani Gaylord przez zaśmiecony trawnik w stronę domu, aż weszli do przeszklonego pomieszczenia, gdzie stał spłowiały, butwiejący stół bilardowy, a na ścianach, obok nagród żeglarskich i proporczyków uniwersyteckich, wisiały oprawione w ramki fotografie uśmiechniętych, młodych mężczyzn. Przez zapaćkane oszklone drzwi przeszli do rozległego, ciemnego, pachnącego pleśnią salonu, który mieścił dwa stare, zamykane kominki i klatkę schodową z galeryjką. Dookoła wisiały zakurzone draperie, podłoga była parkietowa, a ściany wyłożone boazerią. Całość wyglądała bardziej na prywatny dom, niż na "szampański azyl weekendowy dla wyrafinowanych par".

- Czy jest tam... czy ktoś tu jeszcze mieszka? – spytał Peter. - Mam na myśli innych gości?

- O, nie - uśmiechnęła się pani Gaylord. – Jesteście całkiem sami. O tej porze roku jesteśmy osamotnieni.

- Może nam pani pokazać nasz pokój? Sam przyniosę bagaże. Mieliśmy dość ciężki dzień, załatwiając różne sprawy.

- Naturalnie - odparła pani Gaylord. – Pamiętam dzień mojego ślubu. Nie mogłam się doczekać chwili, kiedy tu przyjadę i będę miała Fredericka tylko dla siebie.

- Pani spędziła tutaj noc poślubną? - spytała Jenny.

- O, tak. W tym samym pokoju, w którym wy spędzicie swoją. Nazywam go apartamentem ślubnym.

- Co się dzieje z Frederickiem... to znaczy z panem Gaylordem?

- Umarł - odpowiedziała pani Gaylord. Jej oczy pojaśniały od wspomnień.

- Bardzo mi przykro - powiedziała Jenny. - Przypuszczam, że ma pani rodzinę. Może synów?

- Tak - uśmiechnęła się pani Gaylord. - To wspaniali chłopcy.

Peter wziął bagaż zostawiony u progu drzwi wejściowych.

Prowadzeni przez panią Gaylord poszli po schodach na drugie piętro. Mijali mroczne łazienki o żółtych szybach okiennych i z wannami stojącymi na żelaznych łapach z pazurami. Mijali sypialnie z zaciągniętymi storami i łózkami, w których nikt nie spał. Minęli szwalnię, gdzie stała nożna maszyna do szycia - czarna, emaliowana, inkrustowana masą perłową. Dom był zimny; podłogi pod nogami skrzypiały, kiedy zmierzali do ślubnego apartamentu.

Pokój, w którym mieli zamieszkać, okazał się rozległy i wysoki. Frontowe okna wychodziły na zasnuty liśćmi podjazd, z tylnych widać było las. W pokoju stała ciężka, rzeźbiona szafa dębowa, a łóżko miało wysoki baldachim z brokatu, wsparty na czterech wyrzeźbionych filarach przypominających spirale. Jenny usiadła na łóżku, poklepała je ręką i rzekła:

- Trochę twarde, prawda?

Pani Gaylord odwróciła głowę w bok. Wydawało się, że myśli o czymś innym.

- Zobaczysz pani, jakie jest wygodne, kiedy się pani do tego przyzwyczai - powiedziała.

Peter postawił walizki.

- O której poda nam pani dzisiaj obiad? - zapytał.

Pani Gaylord nie odpowiedziała mu wprost, tylko zwróciła się do Jenny:

- O której państwo sobie życzą?

Jenny zerknęła w stronę Petera.

- Odpowiadałoby nam koło ósmej - odparła.

- Doskonale. Przygotuję go na ósmą. Tymczasem rozgościcie się. Zawołajcie mnie, jeśli będziecie czegoś potrzebowali. Jestem zawsze w pobliżu, nawet jeśli czasem zasnę.

Uśmiechnęła się smutno do Jenny i zniknęła bez słowa, zamykając cicho drzwi za sobą. Peter i Jenny czekali jeszcze chwilę, aż usłyszeli jej kroki w hallu. Wtedy Jenny frunęła w ramiona Petera i pocałowali się. Pocałunek znaczył bardzo wiele: Kocham cię, dziękuję ci, nie ważne kto, co powiedział, udało nam się, w końcu się pobraliśmy, jesteśmy zadowoleni.

Rozpiął guziki jej prostej wełnianej sukni wyjściowej. Zsunął ją z ramion Jenny i pocałował ją w szyję. Palcami rozczochrała mu włosy i szepnęła:

- Wyobrażałam sobie, że to tak właśnie się odbędzie.

- Uhum - zamruczał.

Suknia zsunęła się do kostek. Pod nią nosiła różowy, przejrzysty biustonosz, przez który widać było ciemne sutki, i skąpe przezroczyste majteczki. Wsunął rękę pod biustonosz i pieścił palcami jej sutki, aż zeszywniały. Jenny rozpięła mu koszulę i wsunęła pod nią ręce, głaszcząc jego nagie plecy.

Jesienne popołudnie stawało się mgliste. Zdjęli kapę z baldachimowego łoża i nadzy wśliznęli się między prześcieradła. Całował jej czoło, zamknięte powieki, usta, piersi. Ona

całowała jego wąską, muskularną pierś, płaski brzuch. Zamknęła oczy, słyszała jego oddech - miękki, natarczywy, pożądliwy. Leżała na boku, odwrócona do niego plecami, czując jak rozwiera jej uda. Oddychał coraz ciężiej i ciężiej, jak gdyby biegł albo z kimś walczył.

- Spieszysz się, ale ja to lubię - zamruczała.

Poczuła, jak w nią wchodzi. Nie była jeszcze gotowa, przez jego niezwykle pośpiech, ale był tak wielki i natarczywy, że cierpienie było zarazem przyjemnością, i chociaż krzywiła się z bólu, jednocześnie drżała z rozkoszy. Zadawał jej pchnięcie za pchnięciem, a ona krzyczała... Pod opuszczonymi powiekami pojawiły się wszystkie fantazje, które jej się kiedykolwiek śniły... Że jest gwałcona przez brutalnych wikingów w stalowych zbrojach, z nagimi udami... że jest zmuszona rozbierać się przed lubieżnymi władcami w bajkowych haremach... że atakuje ją lśniący, czarny ogier.

Był tak męski i niepohamowany, że poczuła się całkowicie przytłoczona, zatracona w uniesieniu i miłości. Wracała do siebie przez wiele minut, które odliczał malowany sosnowy zegar ścienny, cierpliwie tykający i tykający, powoli, jak pył osiadający na meblach w szczelnie zamkniętym pokoju.

- Byłeś fantastyczny - wyszeptwała. - Nigdy przedtem tak mnie nie kochałeś. Małżeństwo dobrze ci służy.

Nie było odpowiedzi.

- Peter?

Odwróciła się, ale Peter gdzieś znikł. Leżała sama w łóżku.

Widziała jedynie zmięte prześcieradło!

Zdenerwowana, odezwała się:

- Peter? Jesteś tam?

Odpowiedziała jej cisza, odliczana tykaniem zegara.

Usiadła, całkowicie już przytomna. Cichutko, prawie niedosłyszalnie powtórzyła:

- Peter? Jesteś tam?

Spojrzała w stronę na pół otwartych drzwi do łazienki.

Podłoga zalana była słońcem późnego popołudnia. Z zewnątrz dobiegał szelest liści i odległe powarkiwanie psa.

- Peter, jeśli to mają być żarty...

Wstała z łóżka. Włożyła rękę między nogi, bo poczuła, że lepią jej się uda. Nigdy jeszcze nie napełnił jej taką ilością nasienia. Było go tyle, że spływało po wewnętrznej stronie jej nóg na dywan. Zaskoczona podniosła rękę do oczu i patrzyła na nią.

W łazience nie było Petera. Nie było go pod łóżkiem ani pod kapą. Nie było go za zasłonami. Szukała go z bolesnym zakłopotaniem, uparczywie, nawet tam, gdzie wiedziała, że go nie ma. Po dziesięciu minutach poszukiwań przestała. Nie było go. W jakiś tajemniczy sposób zniknął. Usiadła na łóżku i nie wiedziała, czy śmiać się z daremnych poszukiwań, czy krzyczeć ze złości. Musiał gdzieś pójść. Nie słyszała otwierania ani zamykania drzwi i nie słyszała jego kroków. Gdzie więc się podział?

Ubrała się i poszła go szukać. Zajrzała do wszystkich pokoi na górnym piętrze, nawet do komód i szaf. Ściągnęła drabinę i weszła na poddasze ale znalazła tam tylko stare obrazy i połamany wózek dziecięcy. Słyszała natomiast dobiegający z zewsząd szelest liści.

- Peter? - zawołała z lękiem, ale odpowiedzi nie było.

Zeszła więc po drabinie z powrotem.

Na koniec weszła do jednego ze słonecznych pokoiów na dole. Pani Gaylord siedziała na wiklinowym krześle, czytając gazetę i paląc papierosa. Smutki dymu kłębiły się w zanikającym świetle dnia. Obok na stole stała filiżanka kawy z narastającym kożuszkiem.

- Halo - powiedziała pani Gaylord, nie odwracając głowy. - Wcześniej pani zeszła. Oczekiwałam państwa później.

- Coś się stało - odparła Jenny. Nagle uświadomiła sobie, że bardzo się stara nie wybuchnąć płaczem.

Pani Gaylord odwróciła się w jej stronę.

- Nie rozumiem, moja droga. Czyżbyście się posprzecziali?

- Nie wiem. Ale nie ma Petera. Po prostu zniknął.

Przeszukałam cały dom i nigdzie go nie znalazłam.

Pani Gaylord opuściła wzrok.

- Rozumiem. To bardzo przykre.

- Przykre? To straszne! Martwię się! Zastanawiam się, czy wezwać policję.

- Policję? Myślę, że nie trzeba. Może tchórz go obleciał i poszedł się przejść. Mężczyźni czasem tak się zachowują, szczególnie zaraz po ślubie. Pani pretensja jest dość powszechna.

- Ale ja nie słyszałam, żeby wychodził. Byliśmy na łóżku razem... a potem zorientowałam się, że go nie ma.

Pani Gaylord zagryzła wargi, jak gdyby się zastanawiała.

- Jest pani pewna, że byliście na łóżku? - zapytała.

Jenny spojrzała na nią w podnieceniu i zaczerwieniła się.

- Jesteśmy małżeństwem. Pobraliśmy się dzisiaj.

- Nie to miałam na myśli - powiedziała z roztargnieniem pani Gaylord.

- W takim razie nie wiem, co pani miała na myśli.

Pani Gaylord podniosła wzrok. Uśmiechnęła się uspokajająco do Jenny i wyciągnęła rękę.

- Jestem pewna, że to nic strasznego - oznajmiła. - Możliwe, że postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza i to wszystko. W ogóle nic strasznego.

- On nie otwierał drzwi, pani Gaylord! – warknęła Jenny. - On zniknął!

Pani Gaylord zachmurzyła się.

- Nie musi pani na mnie napadać, moja droga. Jeśli ma pani jakieś kłopoty ze swoim nowym mężem, to na pewno nie z mojej winy!

Jenny już miała na nią krzyknąć, ale zatkała usta ręką i odwróciła się. Nie było sensu zachowywać się histerycznie. Jeśli Peter po prostu wyszedł, zostawiając ją, to trzeba się dowiedzieć, dlaczego tak zrobił; a jeżeli tajemniczo zniknął, to musi starannie przeszukać dom, aż go znajdzie. Mimo wszystko czuła strach, a poza tym ogarniało ją uczucie, którego od bardzo dawna nie doświadczyła. Samotność. Trzymała rękę przy ustach, aż uspokoiła się trochę i wtedy, bez odwracania się, powiedziała cicho do pani Gaylord:

- Przepraszam. Byłam tylko wystraszona. Nie wiem, dokąd mógł pójść.

- Chce pani przeszukać dom? - spytała pani Gaylord. Ma pani wolną rękę.

- Chciałabym, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

Pani Gaylord wstała.

- Nawet pani pomogę, moja droga. Musi pani być bardzo zmartwiona.

Następną godzinę spędziły, chodząc od pokoju do pokoju, otwierając i zamykając drzwi. Zanim jeszcze zapadła ciemność, a zimny wiatr przybrał na sile, wiedziały już, że Petera nie ma w domu.

- Czy chce pani zawiadomić policję? - upewniła się pani Gaylord. Znajdowały się w mrocznym salonie. Na antycznym kominku palił się mały ogień. Wiatr zamiatał liście i kołatał do okien.

- Myślę, że trzeba - odparła Jenny. Czuła się pusta i zszokowana, niezdolna do powiedzenia czegoś sensownego. - Chciałabym też, jeśli to możliwe, zatelefonować do paru moich przyjaciół w Nowym Jorku.

- A zatem do dzieła. Ja zacznę przygotowywać obiad.

- Nie będę jadła. Przynajmniej póki nie dowiem się czegoś o Peterze.

Pani Gaylord, z twarzą na pół ukrytą w cieniu, powiedziała cicho:

- Jeśli naprawdę odszedł, musi pani się do tego przyzwyczaić, a najlepiej zacząć od razu.

Nim Jenny zdobyła się na odpowiedź, wyszła z pokoju i udała się do kuchni. Jenny zauważyła na bocznym stoliku mahoniowe, inkrustowane pudełko na papierosy i pierwszy raz od trzech lat wyjęła papierosa i zapaliła. Miał obrzydliwy smak, ale zaciągnęła się głęboko i przytrzymała dym w płucach, zamykając oczy w osamotnieniu i udręce.

Zatelefonowała na policję. Byli bardzo uprzejmi i pomocni, i obiecali przyjechać nazajutrz rano, o ile nie będzie żadnej wiadomości o Peterze. Wspomnieli jednak, że Peter jest dorosły, i że wolno mu pójść, gdzie mu się podoba, jeśli nawet sprowadza się to do opuszczenia jej w noc poślubną.

Chciała porozmawiać z matką, ale po wykręceniu numeru, słuchając sygnału, odłożyła słuchawkę. Upokorzenie było za wielkie, żeby dzielić je z rodziną lub najbliższymi przyjaciółmi. Wiedziała, że jeśli usłyszy współczujący głos matki, zaleje się łzami. Zgasiła papierosa i zastanawiała się, do kogo powinna zatelefonować.

Na górze wiatr zatrzaskał z hukiem jakieś drzwi i Jenny podskoczyła nerwowo. Po jakimś czasie wróciła pani Gaylord, niosąc tacę. Jenny siedziała przy dogasającym ogniu, paląc papierosa i starając się nie płakać.

- Przygotowałam trochę filadelfjskiej zupy z pieprzu i upiekłam parę steków z Nowego Jorku – zakomunikowała pani Gaylord. - Chce pani zjeść przy kominku? Zaraz dorzucę do ognia.

W ciągu zaimprovizowanego obiadu Jenny nie odzywała się. Udało jej się zjeść trochę zupy, ale stek stanął jej w gardle i nie mogła go przełknąć. Przez kilka minut płakała, podczas gdy pani Gaylord uważnie się jej przyglądała.

- Przepraszam - powiedziała Jenny, ocierając oczy.

- Nie musi pani. Wiem aż za dobrze, co pani przechodzi.

Proszę pamiętać, że sama straciłam męża.

Jenny bez słowa pokiwała głową.

- Proponuję, żeby przeniosła się pani na tę noc do małej sypialni. Tam będzie się pani lepiej czuła. To jest przytulny mały pokój, zaraz z tyłu.

- Dziękuję - wyszeptała Jenny. - Myślę, że tak będzie lepiej.

Siedziały przed ogniem, aż nowe kłody spaliły się do końca, a zegar w hallu wybił drugą rano. Pani Gaylord wyniosła talerze, a potem poszły ciemną, trzeszczącą klatką schodową na górę. Weszły do ślubnego apartamentu, żeby zabrać stamtąd walizkę Jenny. Przez chwilę spoglądała smutno na Walizkę Petera i na jego porozrzucane wszędzie ubranie.

Nagle krzyknęła:

- Jego ubranie.

- Cóż to, moja droga?

Była wzburzona.

- Nie wiem, czemu o tym wcześniej nie pomyślałam. Jeśli

Peter poszedł, to co włożył na siebie? Jego walizka nie jest otwarta, a ubranie leży tam, gdzie je zostawił. Był nagi. Nie wyszedłby nago w tak zimną noc jak dzisiaj. To szaleństwo.

Pani Gaylord opuściła wzrok.

- Przykro mi, moja droga. Nie wiemy, co się wydarzyło.

Przejrzałyśmy cały dom. Może włożył coś przy wychodzeniu. Na wewnętrznej stronie drzwi wiszą różne rzeczy.

- Peter nie...

Pani Gaylord otoczyła ją ramieniem.

- Obawiam się, że nie może pani przypuszczać, co Peter zrobiłby, a czego nie... On coś zrobił. Bez względu na to z jakiego powodu i bez względu na to dokąd poszedł.

- Tak. Myślę, że pani ma rację - powiedziała cicho Jenny.

- Lepiej niech się pani trochę prześpi – zaproponowała Pani Gaylord. - Jutro będzie pani potrzebowała dużo energii.

Jenny podniosła walizkę, poczekała chwilę, a potem poszła smutnie korytarzem do małej sypialni na tyłach domu. Pani Gaylord wymruczała:

- Dobranoc. Mam nadzieję, że pani zaśnie.

Jenny się rozebrała, włożyła plisowaną koszulkę nocną w różyczki, którą kupiła specjalnie na noc poślubną, i umyła zęby nad małą umywalką przy oknie. Pokój sypialny był niewielki, miał pochyły sufit i stało w nim pojedyncze łóżko, przykryte pstrokatą, kolonialną kapą. Na bladej, kwiecistej tapecie wisiał oprawiony w ramki, wyhaftowany napis: "Bóg jest z nami".

Położyła się do łóżka i przez chwilę leżała, patrząc na popękany tynk. Nie wiedziała, co myśleć o Peterze. Przez chwilę słuchała, jak stary dom skrzypi w ciemnościach. Potem zgasła nocną lampkę i próbowała zasnąć.

Wkrótce po tym jak podłużny zegar wybił czwartą, wydało jej się, że słyszy czyjś płacz. Usiadła na łóżku i z zapartym tchem nasłuchiwała. Za oknem było jeszcze kompletnie ciemno, a liście szeleściły jak krople deszczu. Znowu usłyszała płacz. Wyszła ostrożnie z łóżka, podeszła do drzwi i uchyliła je. Zaskrzypiały zawiasy. Zatrzymała się, natężając słuch. Dźwięk się powtórzył. Był podobny do miauczenia kota albo do płaczu chorego dziecka. Wyszła z pokoju i podreptała na palcach korytarzem, aż doszła do szczytu schodów.

Stary dom był jak okręt na morzu. Wicher łomotał drzwiami i świstał na gontach. Wskaźnik kierunku wiatru obracał się wokół swojej osi, wydając dźwięk podobny do zgrzytu noża na talerzu. Zasłony we wszystkich oknach poruszały się, jakby dotykały ich niewidzialne ręce.

Jenny poszła cicho na koniec korytarza. Jeszcze raz usłyszała dźwięk... jakby tłumionego kwilenia. Nie miała teraz wątpliwości, że dobiega ze ślubnego apartamentu. Spostrzegła, że



przygryza język z nerwowego zaniepokojenia, a jej serce bije bardzo szybko. Poczekała chwilę, żeby się uspokoić, ale wiedziała, że ogarnął ją strach. Dźwięk się powtórzył, tym razem wyraźniej i głośniejsze.

Przyłożyła ucho do drzwi apartamentu. Wydało jej się, że słyszy szelesty, ale to mógł być wiatr i liście. Uklękła i starała się zobaczyć coś przez dziurkę od klucza, chociaż przeciąg łzawił jej oczy. Wewnątrz było tak ciemno, że niczego nie mogła dostrzec.

Wstała z klęczek. Piekły ją usta. Jeśli wewnątrz był ktoś, to kim był?. Słyszała tam tyle szelestów i ruchu, że starczyłoby na dwie osoby. Może jacyś nieoczekiwani goście zawitali wtedy, kiedy spała, chociaż była prawie pewna, że ani na chwilę nie zasnęła. Może pani Gaylord? W takim razie co robiła, wydając te wszystkie przerażające dźwięki?

Wiedziała, że musi otworzyć drzwi. Musi to zrobić ze względu na siebie i na Petera. Może tam się nic nie dzieje. Może to zabłąkany kot, wyprawiający harce, albo prąd powietrza z komina. Może to spóźnieni goście i wtedy narobi ambarasu. Ale lepszy jest ambaras niż niepewność. Nie była w stanie wrócić do swojej małej sypialni i zasnąć bez dowiedzenia się, co to za hałasy.

Sięgnęła ręką do mosiężnej gałki. Zamknęła szczelnie oczy i nabrała powietrza do płuc. Potem przekręciła gałkę i gwałtownie otworzyła drzwi.

W pokoju panował przerażający hałas. Przypominał wycie wiatru, tylko że żadnego wiatru się nie czuło. Wydawało się, że nagle, nocą, znalazła się na krawędzi skalnego urwiska, nad ziejącą, niewidzialną i bezdenną przepaścią. Wrażenie stanowiło urzeczywistnienie wyśnionego, nocnego koszmaru. Cały apartament rozbrzmiewał jakimś odwiecznym jękiem, jakimś zimnym wichrem magnetycznym. Były to odgłosy najwyższej grozy.

Jenny, trzęsąc się, popatrzyła na łóżko. Z początku nie mogła się zorientować, co się dzieje za spiralnymi filarami i zasłonami. Była tam jakaś postać - postać nagiej kobiety, która wiła się, popiskiwała i wydawała westchnienia nadnaturalnej rozkoszy. Jenny wytężyła wzrok i poznała panią Gaylord, nagą i chudą jak tancerka. Leżała na plecach, z rozczapierzonymi palcami, wbitymi w prześcieradła, i z zamkniętymi w ekstazie oczami.

Jenny weszła do apartamentu. Powiew wiatru cicho zatrzęsął za nią drzwi. Podeszła po dywanie do łóżka, cały czas przepełniona lękiem, i stanęła, patrząc z góry na panią Gaylord nieruchomym, zahipnotyzowanym wzrokiem. Cały pokój szeptał, jęczał i pomrukiwał, jakby był kryjówką duchów i widziadeł.

Dopiero teraz ze zgrozą zobaczyła, dlaczego pani Gaylord krzyczy z rozkoszy. Posłanie - prześcieradła, podkładki i materac - przybrało kształt męskiego ciała, tworząc płaskorzeźbę okrytą białym płótnem. Między chudymi udami pani Gaylord sterczała ruszająca się tkanina. Całe łóżko

falowało i trzęsło się w obrzydliwych spazmach, a męski kształt pod tkaniną przesuwiał się i zmieniał, dostosowując się do pozycji pani Gaylord.

Jenny wrzasnęła. Nawet sobie tego nie uświadomiła, dopóki Pani Gaylord nie otworzyła oczu i nie spojrzała na nią z dziką wrogością. Falowanie łóżka nagle ustało. Pani Gaylord usiadła, nie próbując przykryć swoich chudych piersi.

- Ty! - powiedziała ochryple. - Co ty tu robisz?

Jenny otworzyła usta, ale nie mogła wydusić ani słowa.

- Przyszłaś szpiegować, wtrącać się w moje prywatne życie, tak?

- Ja... ja usłyszałam...

Pani Gaylord zeszła z łóżka, pochyliła się i podniosła zieloną jedwabną chustę, którą się owinęła. Jej twarz była biała i wyrażała niechęć.

- Przypuszczam, że masz się za sprytną dziewczynę - wycedziła przez zęby. - Wydaje ci się, że odkryłaś coś doniosłego.

- Nie wiem nawet co...

Pani Gaylord niecierpliwie odrzuciła włosy. Zdawało się, że nie może usiedzieć na miejscu, bo chodziła po pokoju, pełna napięcia. Jenny przerwała jej stosunek, jakikolwiek on był, więc czuła się sfrustrowana. Burknęła coś i w dalszym ciągu przemierzała pokój.

- Chcę wiedzieć, co się stało z Peterem - zażądała Jenny.

Głos miała jeszcze niepewny, ale po raz pierwszy od zniknięcia Petera jej zamiar był stanowczy.

- A jak ci się zdaje? - zapytała zjadliwym głosem pani Gaylord.

- Nie wiem, co o tym myśleć. To łóżko...

- To łóżko było tu od początku istnienia domu. To łóżko jest powodem, dla którego został zbudowany. To łóżko jest równocześnie sługą i panem. Ale raczej panem.

- Nie rozumiem tego - odezwała się Jenny. - Czy to jakiś mechanizm? Jakaś sztuczka?

Pani Gaylord zaśmiała się drwiąco.

- Sztuczka? - powtórzyła przemierzając nerwowo pokój. - Wydaje ci się, że to co przed chwilą widziałaś, to sztuczka?

- Nie wiem dlaczego...

Na twarzy pani Gaylord odmalował się wyraz pogardy.

- Powiem ci dlaczego, ty tępa dziewczyno. To łóżko było własnością Dormana Pierce'a, który mieszkał w Sherman w latach dwudziestych. Ten arogancki, ciemny dzikus miał upodobania, według opinii większości mieszkańców, zbyt niezwykle. Zaręczył się z prostoduszną dziewczyną o nazwisku Faith Martin i przyprowadził ją po ślubie do tego apartamentu i tego łóżka.

Jenny znów usłyszała jęk wiatru. Zimnego wiatru z zaświatów, który nie poruszał zasłonami, nie wzniecał kurzu.

- Co wyczyniał Dorman Pierce z panną młodą na tym łóżku podczas nocy poślubnej, o tym wie tylko Pan Bóg. Ale używał jej okrutnie, złamał zasady tej porządnej dziewczyny i zrobił z niej szmatę. Pechem Donnana było to, że dowiedziała się o tym chrzestna matka dziewczyny. Wszyscy wiedzieli, że ma powiązania z ludźmi, którzy w Connecticut trudnili się magią. Może nawet była członkiem takiego koła. Zapłaciła za rzucenie klątwy na Dormana Pierce'a. Owocem klątwy miało być jego całkowite podporządkowanie. Miało się stać tak, że on będzie służył kobietom, zamiast kobiety jemu.

Pani Gaylord podeszła do łóżka i dotknęła go. Wydawało się, że prześcieradła ruszają się i marszczą.

- Którejś nocy leżał na łóżku i ono go pochłonęło. Jest w nim jego duch, nawet w tej chwili. Jego duch, a może jego żądza albo jego męskość, lub cokolwiek to jest.

Jenny zmarszczyła brwi.

- Co to łóżko zrobiło? Pochłonęło go?

- Utonął w nim jak w ruchomych piaskach. Nikt go już więcej nie widział. Faith Martin mieszkała w tym domu aż do starości i każdej nocy, albo kiedy tylko zechciała, łóżko musiało jej służyć. - Pani Gaylord okryła się szczelnie chustą. W pokoju robiło się coraz zimniej. - Nikt nie wiedział, że klątwa pozostała w łóżku nawet po śmierci Faith.

Następne młode małżeństwo, które się tu wprowadziło, spędziło w nim noc poślubną, a łóżko znów wyegzekwowało swoje prawo do męża. I tak działo się zawsze, kiedy spał na nim mężczyzna. Za każdym razem zostawał pochłonięty. Mój własny mąż, Frederick, też jest w tym łóżku.

Jenny z niecierpliwością czekała na dalszy ciąg opowiadania.

- A Peter? - spytała.

Pani Gaylord dotknęła własnej twarzy, jakby chciała się upewnić, że jest istotą realną. Nie zwracając uwagi na pytanie Jenny, powiedziała:

- Wszystkie kobiety, które postanowiły zatrzymać się w tym domu i spać w tym łóżku, stwierdziły to samo. Po pochłonięciu każdego kolejnego mężczyzny siła i męskość łoża wzrastała. Dlatego powiedziałam, że jest raczej panem niż sługą. W tej chwili, po wchłonięciu tyłu mężczyzny, jego moc seksualna jest na niebotycznie wysokim poziomie, - Poglaskała znów łóżko, które pod dotknięciem zadygotało. - Im więcej mężczyzmy zabiera, tym bardziej staje się wymagające.

- Peter? - wyszeptała Jenny.

Pani Gaylord uśmiechnęła się i skinęła potakująco. Jej palce dalej pieściły prześcieradła.

- Wiedziała pani, co się stanie, i dopuściła do tego?

Dopuściła pani do tego, żeby mój Peter...

Była zbyt wstrząśnięta, by ciągnąć dalej. Zawołała tylko:

- O Boże! O mój Boże!

Pani Gaylord odwróciła się do niej.

- Nie musisz tracić Petera... Wiesz, co mam na myśli - powiedziała przymilnie. - Jeśli tu zostaniesz, możemy dzielić to łóżko. Możemy dzielić wszystkich tych mężczyzn, których pochłonęło. Dorman Pierce, Peter, Frederick i tuzin innych.

Masz pojęcie, jak to jest, kiedy bierze cię naraz dwudziestu mężczyzn?

Jenny, czując mdłości, próbowała się odezwać:

- Wczoraj po południu, kiedy myśmy...

Pani Gaylord pochyliła się i pocałowała prześcieradła, które falowały w gorączkowym ożywieniu. Ku przerażeniu Jenny zaczęły się znowu podnosić, tworząc kształt ogromnego, silnego mężczyzny. Wyglądało to jak zmartwychwstanie mumii; biały, wykrochmalony całun przybierał kształt ciała. Prześcieradła przyoblekały się w realne kształty rąk, nóg, i szerokiej piersi, a poduszka stawała się męską twarzą

o wydatnych szczękach. Nie był to Peter ani ktoś określony; była to suma wszystkich mężczyzn, którzy po kolei wpadali w pułapkę klątwy ślubnego apartamentu i zostawali wciągnięci w tajemniczą otchłań łóżka.

Pani Gaylord puściła brzegi chusty, która osunęła się na podłogę. Z błyskiem w oku spojrzała na Jenny i zawołała:

- On tu jest, twój Peter. Peter i całe bractwo. Chodź do niego. Chodź i oddaj mu się...

Pani Gaylord, naga i chuda, wspięła się na łóżko i zaczęła wodzić palcami po białym kształcie z prześcieradeł. Jenny w popłochu przeszła przez pokój i ujęła za klamkę, ale drzwi wydawały się zaklinowane. Znowu dało się słyszeć wycie wiatru, a pokój wypełniło rozdzierające lamentowanie. Jenny już wiedziała, co to za odgłosy. Było to wołanie wszystkich tych mężczyzn, uwięzionych na zawsze w stęchłej materii ślubnego łoża, pogrzebanych w końskim włosiu, sprężynach i prześcieradłach, duszących się w ciasnocie, cierpiących z powodu mściwej kobiety.

Pani Gaylord sięgnęła po rosnący "członek" łóżka i mocno objęła go dłonią.

- Widzisz go?! - wrzasnęła. - Widzisz, jaki jest silny? Jaki jest dumny? Możemy się nim podzielić. Chodź tu!

Jenny szarpała drzwiami, ale nie chciały się otworzyć.

W rozpacz podszła z powrotem do łóżka i próbowała ściągnąć z niego panią Gaylord.

- Wynos się! - zaskrzeczała pani Gaylord. - Wynos się ty świnió !

Na łóżku powstało zamieszanie i Jenny poczuła uderzenie czegoś ciężkiego i mocnego, czegoś w rodzaju męskiej ręki.

Zaplątała się we frędzle przy łóżku i upadła. Pokój drżał od rozdzierającego wycia i wściekłego ujadania, cały dom trząsł się i dygotał. Próbowała się podnieść, ale ponownie otrzymała cios i uderzyła głową o podłogę.

Pani Gaylord siedziała na odrażającej białej postaci w łóżku i ujeżdżała ją szaleńczo, wrzeszcząc na cały głos. Jenny udało się podnieść. Oparła się o sosnowe biurko i sięgnęła po stojącą na nim starą, szklaną lampę naftową.

- Peter! - krzyknęła i cisnęła lampę na nagie plecy pani Gaylord.

Nie wiedziała, w jaki sposób nafta się zapaliła. Cały apartament wydawał się naładowany elektrycznością, więc mogła to być iskra albo wyładowanie nadprzyrodzonej energii. Jakkolwiek to było, lampa uderzyła panią Gaylord w bok głowy i rozpadła się na drobne kawałki. Nastąpiło miękkie wufff. Pani Gaylord i biała postać na łóżku zostali spowici płomieniami.

Pani Gaylord wrzeszczała. Wbiła wzrok w Jenny, jej włosy się paliły, skwiercząc i zamieniając w brązowe okruszki. Płonienie tańczyły po jej twarzy, ramionach i piersiach... Skóra na nich marszczyła się jak palący się papier.

Najbardziej przerażające było jednak samo łóżko. Buchające płomieniami prześcieradła walczyły, skręcały się i kipsały, a z wnętrza łóżka wydobywał się powracający echem ryk bóleści, brzmiący jak chór demonów. Ryk ten był chórem głosów wszystkich mężczyzn żywcem pogrzebanych w łóżku, ogień bowiem trawił materiał, w który zostały zamienione ich ciała. Ryk był odrażający, bezładny, nie do zniesienia, a co najstraszniejsze - Jenny mogła wyróżnić w nim głos Petera, wyjącego i stękającego z bólu.

Dom palił się przez resztę nocy, aż do bladego, zimnego świtu. Późnym rankiem ogień został opanowany. Miejscowi strażacy stąpali po zwęglonych szczątkach, polewając wodą tłące się meble i zwalone klatki schodowe. Zebrało się dwudziestu lub trzydziestu gapiów i przyjechała ekipa reporterska CBS, żeby nagrać krótki materiał dla telewizji. Pewien stary mieszkaniec Shennan, białowłosy, w workowatych spodniach, tłumaczył reporterom, że od dawna wiedział, iż dom był nawiedzany przez duchy, więc lepiej, że się spalił.

Powiedział to, nim jeszcze odsunięto zniszczony sufit głównej sypialni i znaleziono zwęglone szczątki siedemnastu mężczyzn i jednej kobiety. W strasliwym żarze pozwijali się i poskręcali, i wyglądali teraz jak małe, czarne małpki.

Była tam jeszcze jedna kobieta, ale w tym momencie znajdowała się w taksówce zmierzającej ku stacji kolejowej. Siedziała szczelnie owinięta płaszczem; ocalała walizka spoczywała obok niej. Oczy kobiety, patrzące na uciekające w tył brązowe i żółte drzewa, były matowe jak kamienie.

## **KORZEŃ WSZELKIEGO ZŁA**

Harlem, Nowy York

"Poza pewnymi wyjątkami Harlem jest symbolem niepowodzeń społeczeństwa amerykańskiego, a jednocześnie głównym przedmiotem zainteresowań socjologów odwiedzających kraj" napisał Herbert Bailey Livesey w swoim krytycznym przewodniku po Nowym Yorku. Zniknął dawny, romantyczny obraz Harlemu lat dwudziestych tego stulecia, czasów Cotton Clubu, Connie's Inn, Savoyu i Lafayette Theatre - czasów jazzu, przemycanego alkoholu, diamentowych pierścieni i "białych dziewczyn z klasą, umiejących doprowadzić cię do szaleństwa w łóżku". Wprawdzie jego mieszkańcy w dalszym ciągu są dumni i zażarcie lojalni wobec swoich rodzin i swojego otoczenia, lecz mimo wszystko dzisiejszy Harlem jest dzielnicą zrujnowanych domów, gdzie gnieźdzą się narkomani i chronicznie bezrobotni.

A jednak odwiedziłem kilka razy to miejsce i stwierdziłem, że Harlem jest wart zainteresowania. Warto obejrzeć odnowiony Apoflo Theatre (sławny z powodu Johna Browna) oraz odwiedzić Schomburg Centre for Research in Black Culture, gdzie trafiłem na temat mojego opowiadania. Jeśli zechcecie zwiedzić dzielnicę, to najbezpieczniej jest pojechać na wycieczkę z przewodnikiem... nie tylko ze względu na ludzi, których możecie tam spotkać.

We wczesnych latach XX wieku Harlem był wsią, z farmami i domami letniskowymi. Tuż przed pierwszą wojną światową przy bocznych uliczkach zaczęto budować domy czynszowe, które szybko zapelniły się czarnymi uciekinierami z południowych stanów, chcącymi uniknąć ponizającej i uciążliwej segregacji rasowej. Ich poziom życia niewiele się zmienił. Wciąż byli nędzarzami. Ale przynieśli z sobą styl życia, nieśmiertelny przez Duke'a Ellingtona, Bessie Smith, Fatsa Wallera.

Harlem stał się nie tylko ogniskiem "tętniących życiem kafejek, nielegalnych barów, nocnych klubów i seansów spirytystycznych". Stał się miejscem kultywowania korzeni kultury afroamerykańskiej i do dzisiaj takim pozostaje.

Korzenie są wspaniałe i silne, ale zawsze istnieje korzeń wszelkiego zła.

Nie dowiedziałbym się o wszystkim, gdyby nie korki owego wieczoru na Triboro Bridge. Był mokry, listopadowy piątek, godzina szczytu, a ja musiałem zawieźć tłustego, podminowanego

obywatela Teksasu na lotnisko Kennedy'ego. Jak większość z nich, wyjeżdżał z Manhattanu w ostatniej chwili, więc po dwudziestu minutach wleczenia się i przepychania wzdłuż alei Roosevelta - w deszczu bębniącym po dachu taksówki, przy akompaniamencie tykającego licznika, który wystukał już dwadzieścia dolarów - podskakiwał na siedzeniu i klął bez opamiętania.

Dowiozłem go na lotnisko ze sporą rezerwą czasu, żeby zdążył złapać samolot do Dallas, a ten tłusty cham dał mi tylko dolara napiwku. Jakby to była moja wina, że właśnie jest piątek. Podjechałem przed główne wejście do budynku TWA, żeby spróbować zabrać do miasta któregoś z uprzejmych angielskich podróżnych. Jednego z tych, którzy tam czekają i mówią: "Mój Boże! Jaką szkaradną macie pogodę" Miałem już dość śpieszących się obywateli Teksasu.

Trafił mi się wysoki, czarny facet w płaszczu z wielbłądziej wełny. Wyglądał na profesora albo kogoś w tym rodzaju. Walizki od Gucciego, harwardzki styl wystawiania się. Poprosił, żeby go zawieźć do Croydon, na Wschodniej Osiemdziesiątej Szóstej Ulicy, ale przedtem zatrzymać się pod pewnym adresem w Harlemie, na Sto Trzynastej Ulicy, gdzie musi zostawić paczkę.

Muszę przyznać, że zawahałem się. Sto Trzynasta Ulica w mokrą piątkową noc była ostatnim miejscem, w którym chciałbym się znaleźć. Czarny facet powiedział jednak: "Nic się panu nie stanie. To moje stare strony. Wszyscy mnie tam znają" - więc wrzuciłem ramionami i zdecydowałem się jechać.

Most nie był już taki zapchany, ale pogoda się nie polepszyła. Lało jak diabli, a kiedy skręciłem z mostu w boczne uliczki Harlemu, taksówka podskakiwała na zalanych wodą kanałach ściekowych i dziurach. Radio nadawało piosenkę: Nie jesteśmy tacy sprytni, jak myślimy. ..

Jadąc Wschodnią Sto Trzynastą zauważyłem czarnego faceta, wyglądającego przez okno. Wąskie domy czynszowe znajdowały się w opłakanym stanie. Deszcz połyskiwał na kutym żelazie, chroniącym połowę okien i większość sklepów. Na rogu Sto Trzynastej i Trzeciej stało za zasłonami od wiatru kilku czarnych wyrostków, przykrywających się plastikowymi workami na śmieci.

- To tutaj. Proszę stanąć - powiedział. Zjechałem na bok ulicy.

- Daję panu pięć minut - poinformowałem go. - Jeśli pan do tego czasu nie wróci, odjeżdżam. Proszę wziąć tę kartkę. Jeśli odjadę, to odbierze pan swój bagaż w przedsiębiorstwie taksówkowym. Zawahał się. Potem przez okienko wysunęła się czarna ręka, obficie ozdobiona złotymi pierścieniami, trzymająca starannie złożoną dwudziestkę.

- Może będę dłużej niż pięć minut - wyjaśnił uprzejmie.

Wziąłem banknot i włożyłem do kieszonki koszuli.

- W porządku. Ale proszę się pośpieszyć. Nawet dwudziestka nie jest warta pobicia.

- Wiem.

Podniósł kołnierz swojego płaszcza z wielbłądziej wełny i wysiadł. Natychmiast zablokowałem wszystkie drzwi i włączyłem światła awaryjne. Przez zalane deszczem okno widziałem, jak facet śpieszył przez zaśmiecony chodnik w stronę odrapanego wejścia. Przycisnął guzik dzwonka i czekał.

Bębniłem palcami po kierownicy. Moja żona, Judy, pewnie już wróciła ze szkoły i zaczyna gotować obiad. Jeździłem od jedenastej rano i mógłbym zjeść oponę pod warunkiem, że byłaby z musztardą.

Głos w radiu powiedział: "Tu WPAT, gdzie wszystko jest piękne".

Pomyślałem sobie: a tu jest taksówka numer 38 603, gdzie wszystko jest nudne. Obejrzałem własne zdjęcie na licencji; zmarszczony dwudziestodziewięciolatek z rzednącymi włosami, obwisłym wąsem, w okularach o grubej oprawie. Edmond Dauiels. Architekt, zapoznany geniusz, obecnie kierowca taksówki. Jeszcze jeden członek zmęczonego, nerwowego bractwa starych ludzi - Portorykańczyków, Żydów i Chińczyków - którzy prowadzą nasze poobijane, żółte taksówki po to, żeby miasto mogło funkcjonować.

Głośne uderzenie w dach wyrwało mnie z zadumy. Rozejrzałem się, przestraszony. Ale to był tylko facet w płaszczu z wielbłądziej wełny. Zataczał dłonią kółka na znak, bym opuścił szybę. Wyglądało na to, że z jakiegoś powodu jest wstrząśnięty.

Opuściłem szybę tylko na pięć centymetrów, mimo to wiatr nawiewał deszcz do wnętrza.

- O co chodzi? - spytałem. - Czy pan już oddał paczkę?

Muszę jechać.

- Musi pan wejść do domu - powiedział. Głos miał wysoki i nienaturalny, a oczy szeroko rozwarte.

- Proszę pana - oświadczyłem - nigdzie nie pójdę. Nie zostawię mojej taksówki na tej ulicy.

- Musi pan. Potrzebuję świadka. Nie wie pan, o co chodzi.

Spojrzałem na wsteczne lusterko. Deszcz był teraz tak gęsty, że nawet wyrostki stojące na rogu ulicy gdzieś się wyniosły. Dokoła nie było nikogo. Nikogo, kto wyglądałby na potencjalnego złodzieja samochodów albo na napastnika.

- W porządku - zgodziłem się z rezygnacją. - Co mam obejrzeć?

Otworzyłem drzwi taksówki i wyszedłem na deszcz. Natychmiast wziął mnie pod ramię i powiodł w kierunku wejścia do domu. Drzwi były teraz otwarte. Wciągnął mnie do ciemnego korytarza, nim zdążyłem powiedzieć słowo.

Wewnątrz panował smród. Cuchnęło zgnilizną, szczurami i dziecięcym moczem. Czarny facet zaprowadził mnie szybko po krętych schodach na pierwsze piętro, a potem w dół, do frontowego apartamentu budynku. Drzwi pomieszczenia były szeroko otwarte. Na podłodze kładł się trójkąt pomarańczowego, słabego światła i słychać było dźwięk, który z początku wziąłem za



głos świerszcza, ale wkrótce rozpoznałem w nim obracającą się, odtworzoną do końca płytę gramofonową. Klik-hisss, klik-hisss, klik-hisss...

- To tutaj - oznajmił. Był tak przestraszony, że jego twarz przybrała barwę sportowych kolumn "New York Post".

- Nie jestem pewny, czy mam ochotę iść dalej - powiedziałem z dezaprobatą. - Zajmuję się wożeniem ludzi.

- Pan jest jedyny - nalegał. - Muszę mieć świadka, a pan jest jedynym moim świadkiem. Przywiózł mnie pan z lotniska. Wie pan, jak długo tu przebywałem. I widzi pan, że jestem całkowicie czysty.

- Czysty? O czym pan mówi?

- Proszę zająrzeć. Przykro mi, ale to konieczne.

Pchnąłem drzwi koniuszkami palców. Otworzyły się szerzej i zatrzymały ze skrzypnięciem.

- Jest pan pewny, że to tutaj? - spytałem.

Skinął głową.

Ostrożnie, z bijącym głucho sercem, zajrzałem do wnętrza. Był tam wąski pokój z jedyną palącą się lampą. Światło było przyćmione, koloru pomarańczowego, ponieważ ktoś obwiązał lampę chusteczką. Chusteczkę skropiono wodą kolońską albo płynem po goleniu w celu zabicia zapachu trawki. Na ścianach wisiało mnóstwo różnych pamiątek z Afryki: uśmiechnięte, drewniane maski, oszczepy, tarcze pokryte skórą zebry. Dostrzegłem też mahoniową figurkę wysokiej, ciemnej postaci ze skośnymi oczami i z zębami jak u piranii.

Było tam tyle afrykańskich przedmiotów, że nie od razu zobaczyłem dziewczynę. Ale kiedy spojrzałem na dywan i zorientowałem się, co na nim leży - o Jezu - włosy stanęły mi dęba i poczułem się tak zlodowaciały jak indyk na Dzień Dziękczynienia w zamrażarce supermarketu.

Musiała już nie żyć. Przynajmniej miałem nadzieję – ze względu na nią - że nie żyje. I także ze względu na siebie, bo gdyby jeszcze żyła, to musiałbym jej dotykać, próbować przywrócić do życia. A była w takim stanie, że nie mógłbym jej dotknąć. Miałem zbyt wrażliwy żołądek.

Była to młoda, czarna dziewczyna. Włosy miała zaplecione w liczne warkoczyki, zakończone koralikami. Ktoś zdeterminowany, dysponujący ogromną, maniacką siłą, wbił ją na stojak na kapelusze, podobnie jak Kojak wiesza swoje nakrycie głowy, kiedy wchodzi do biura. Przebił jej plecy i brzuch, tak że ciało osunęło się aż do podstawy, ale wątroba, śledziona i pętle białych jelit pozostały na górnych hakach, zwisając z nich w długich girlandach. Wszędzie było pełno krwi; tyle krwi nie widziałem w całym swoim życiu.

Nie wiem, dlaczego mnie nie zemdlilo. Byłem zdrętwiały, jakby dentysta naszprycował moje ciało nowokainą. Wyszedłem z pokoju przy pomocy faceta, który wziął mnie pod ramię. Nie wiedziałem, co powiedzieć ani co zrobić.

- Przepraszam - odezwał się chrapliwie. - Musiałem to panu pokazać, żeby udowodnić glinom, że ja nie mogłem tego zrobić. Nie mogłem tego zrobić w ciągu trzech minut i bez unurzania się w krwi.

- Kim ona jest? - wyszeptalem. - Czy to ktoś, kogo pan znał?

Skinął potakująco głową.

- Nazywa się Bella X. Bardzo bliska przyjaciółka. To znaczy... nazywała się tak.

- Czarni Muzułmanie?

- Tak.

- Musimy wezwać policję.

- Tak. Dlatego potrzebowałem świadka. Przy okazji, nazywam się John Bososama. Pracuję w Chase Manhattan Bank. Inwestycje afrykańskie.

W końcu korytarza był telefon, na szczęście nie rozbity. Nakręciłem 911 i czekałem na zgłoszenie. John Bososama stał przy mnie, zmartwiony, ale już trochę pozbierany. Połączyli mnie z lokalnym posterunkiem i opowiedziałem dyżurnemu oficerowi, co się stało; przykazał mi, bym poczekał tam, gdzie jestem, i niczego nie dotykał.

- Gdyby pan to widział, sam nie chciałby pan niczego dotykać - odparłem.

- W porządku - stwierdził ze znużeniem policjant.

Odłożyłem słuchawkę. Ciągle jeszcze się trząsałem. Powiedziałem Bososamie:

- Chcę poczekać na ulicy. Pierdolę deszcz. Zwymiotuję, jeśli tu jeszcze trochę zostanę.

- W porządku - odparł.

W porównaniu z wnętrzem, na ulicy było świeżo. Oparłem się o dach taksówki i paliłem rozmokłego koola. Dookoła rozpryskiwały się krople deszczu.

John Bososama stał w odległości kilku kroków, z rękami schowanymi w kieszeniach swojego płaszcza z wielbłądziej wełny. Jego ramiona ociekały wodą.

- Obawiałem się, że tak się stanie - oznajmił głębokim głosem, pełnym prawdziwego żalu.

Spojrzałem na niego.

- To znaczy, że pan wiedział wcześniej?

- Nie całkiem. Ale to był jeden z powodów, dla których wróciłem do Zairu. Jeden z powodów, dla których przybyłem tu dziś wieczorem z tym...

Pokazał mi paczkę, owiniętą brązowym papierem, z którą wcześniej poszedł do mieszkania dziewczyny.

- Co to jest - zapytałem. - Trawka?

Uśmiechnął się smutno i ruchem głowy zaprzeczył.

- Kilka amuletów, które mogły ją uratować.

Zaciągnąłem się dymem. Słysząc już było zbliżającą się syrenę policyjną.

- To znaczy, że była przesądna? - spytałem.

- W pewien sposób.

- W jaki sposób? Czy wystarczająco przesądna, żeby spodziewać się, że zostanie nadziana na wieszak?

John Bososama położył mi rękę na ramieniu.

- Nie rozumie pan. Może to nawet lepiej.

Popatrzyłem na niego zimno.

- Panie Bososazrta, jeśli mam być pańskim jedynym świadkiem, to lepiej bym wiedział, o co tu chodzi. Nie będę zeznawał, póki mnie pan nie poinformuje.

Dźwięk syreny był już głośniejszy. Dołączył do niej sygnał ambulansu.

John Bososama zagryzł wargę. Milczał przez chwilę, a potem powiedział:

- I tak pan mi nie uwierzy. Jest pan białym.

- Moja prababka była Kubanką. Niech pan spróbuje.

Odchrząknął i rzekł:

- Bardzo dobrze. Otóż to, co pan zobaczył, jest dziełem Iblisa.

- Iblisa? Kim, do cholery, jest Iblis?

- Niech pan posłucha. Za minutę będzie tu policja. Iblis jest najstraszliwszym spośród islamskich diabłów. Nie obchodzi mnie w tej chwili, czy pan wierzy w diabły, czy nie. Niech pan pomyśli o tym, co pan dziś zobaczył, i spróbuje to zrozumieć.

Wyrzuciłem papierosa do przelewającego się rynsztoka.

- Niech pan zaczyna, słucham.

- Słucha pan z sympatią, czy ze sceptycyzmem?

- Jakie to ma znaczenie? Po prostu słucham.

- Bardzo dobrze - odparł Bososama. - W kulturze islamskiej istnieje legenda, że Allah po stworzeniu człowieka kazał wszystkim aniołom oddać mu pokłon. Tylko anioł Iblis odmówił oświadczając, że lekceważy człowieka, ponieważ powstał z kurzu. Więc Allah przeklął Iblisa i przepędził go z nieba. Jednakże Iblis uprosił Allaha, żeby odłożył karę do dnia sądu ostatecznego i pozwolił mu przebywać na ziemi i sprowadzać na manowce tych wszystkich, którzy nie są wiernymi sługami Allaha. To Iblis, przybrawszy postać węża, kusił Ewę.

- Jak on wygląda? - spytałem. Czerwone i białe błyski świateł alarmowych niebiesko-białego wozu policyjnego były już tylko o trzy przecznice od nas. Deszcz, teraz drobniejszy, padał mi na twarz.

- Zgarbiony, w płaszczu, z głową jak u wielbłąda, tylko z wieloma rzędami zębów. Nogi i pazury jak u sępa. Potwór bez cienia litości czy uczucia.

- Więc pan myśli, że to, co zdarzyło się dzisiaj...?

- Może mi pan wierzyć lub nie. To jest dzieło Iblisa.

Prychnąłem pogardliwie.

- W rzeczy samej, nie wierzę panu. Czy spodziewał się pan, że uwierzę?

- Nie, chyba się nie spodziewałem - odparł John Bososama, Stał błyszczące krople deszczu z krótko przystrzyżonych włosów. Potem powtórzył ze smutkiem: - Nie spodziewałem się.

- To znaczy... jak on się tu dostał... do Nowego Jorku?

Ten Iblis?

John Bososama wzruszył ramionami.

- O ile wiem to bardzo dawno temu. W czasach handlu niewolnikami. Statek niewolniczy, African Galley, pożeglował w zimie tysiąc siedemsetnego roku do New Callebarr w Afryce Zachodniej po niewolników i kość słoniową. Między niewolnikami, których statek wziął na pokład, był młody człowiek o nazwisku Bongoumba, podobno nadludzko silny i, jak mówiono, szalony albo opętany. Został przywieziony do Nowego Świata i sprzedany, chociaż ze względu na jego szaleństwo trzeba go było trzymać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę w kajdanach. Jednakże pewnego dnia wyswobodził się i zgwałcił czarną niewolnicę, która w rezultacie zaszła w ciążę. Urodziła syna i w ten sposób zapoczątkowała ród Bongoumba, który istnieje do dziś. Kiedy w obecnych czasach czarni zainteresowali się badaniem swych korzeni, dziedziczne szaleństwo rodu Bongoumba zaczęło okazywać swoją potęgę. A kiedy czarni zwrócili się ku religii, która najbardziej im odpowiadała, to znaczy ku islamowi, wówczas duch Iblisa, drzemiący od wielu pokoleń, obudził się. Było to jakby rozmnożenie ciała przechowywanego w komorze kriogenicznej.

- Kiedy pan do tego doszedł? - chciałem się dowiedzieć.

Wóz policyjny podjechał do krawężnika, więc nie mogliśmy dłużej rozmawiać.

John Bososama spojrział na mnie. Pod oczami zebrały mu się błyszczące krople, które mogły być deszczem lub łzami.

- Był młody człowiek nazwiskiem Duke Jones. Jego dziedziczne nazwisko, afrykańskie, brzmiało: Bongoumba.

Mieszkał tu, w tym mieszkaniu, a ta młoda dziewczyna, którą widziałeś, była jego żoną. Bongoumba czuł w sobie jakąś straszliwą, ponurą moc od chwili, gdy został muzułmaninem. Było to coś złego, mściwego i niesamowitego. Coś, co mogło nim całkowicie zawładnąć. Dlatego przywiozłem mu tę paczkę.

W trakcie mojej podróży służbowej do Arabii Saudyjskiej zboczyłem do Zairu i nabyłem wszystkie amulety, których dawni szamani używali do przepędzania ducha Iblisa. Magiczne krążki, włosy lwa, kości mające moc magiczną.

- Trochę prymitywne, prawda? - zapytałem.

Pokiwał głową i prawie się uśmiechnął.

- Racja, ale mamy do czynienia z bardzo prymitywnym diabłem. Ze złym duchem z dawnych, dawnych czasów. Uczą nas, że każda religia ma swoje demony, jeśli więc przyjmujemy tak starożytną religię jak islam, będziemy mieli do czynienia z jej starożytnymi zagrożeniami.

- Więc wierzy pan w Allaha i Mahometa?

- Bardziej niż kiedykolwiek. Im więcej znajduję dowodów istnienia Iblisa, tym głębiej wierzę w wielkość i moc Allaha i jego świętego wysłannika. Czyż szatan nie jest najlepszym dowodem istnienia Boga?

Podszedł policjant w skórzanej kurtce i zwrócił się do nas:

- Czy to wy wzywaliście policję? W sprawie zabójstwa?

John Bososama potwierdził.

- Ona jest na gorze - powiedział ciężko. - Obawiam się, że nie żyje od dawna.

Przeszedłem kompletne, rutynowe badanie policyjne i spędziłem długie godziny na posterunku, ale w końcu detektywi puścili mnie do domu. Zmęczony, zjadłem talerz zimnego makaronu i przed pójściem do łóżka obejrzałem ostatnie wiadomości. Judy była troszeczkę wstawiona, ale kiedy opowiedziałem jej, co się stało, współczuła mi i przyrządziła mocny koktajl z whisky, bym mógł zasnąć.

Nie opowiedziałem jej niczego z tych bajek o Iblisie.

Niezależnie od tego, że sam nie uwierzyłem w tę historię, nie chciałem przysparzać jej nocnych koszmarów. Wystarczyło pomyśleć o girlandach jelit czarnej dziewczyny, bez dodawania do nich obrazu potwora o wielbłądziej głowie, z wieloma rzędami kłów. Budziłem się w nocy parę razy na dźwięk syren na Dwunastej Ulicy, gdzie mieszkaliśmy, i zastanawiałem się, jaki, do cholery, jest sens istnienia świata. Czy rzeczywiście istnieje tajemniczy, przerażający świat podziemny, opanowany przez diabły i demony, czy to jedynie zły sen? Usłyszałem w ciemności jakiś chroboczący odgłos. Miałem nadzieję, że to nic gorszego niż mysz.

Przez dwa czy trzy tygodnie życie toczyło się normalnie. Budziłem się rano, jechałem metrem do przedsiębiorstwa taksówkowego, brałem wóz i wyjeżdżałem na służbę. Wozilem biznesmenów, ludzi załatwiających sprawunki, stare zmęczone kobiety, menedżerów, modelki, prostytutki i turystów. Przemierzałem miasto wzdłuż i wszerz. Tkwiałem w korkach na Herald Square. Prześlizgiwałem się przez Szóstą Aleję. Pokonywałem trasę tam i z powrotem na lotnisko.

Jeździłem po opadających liściach w Central Parku. Było tam zimno i elegancko, a w powietrzu zawsze unosiła się woń przypalonych precli.

Któregoś dnia, kiedy przybyłem do pracy, z małego przegrzanego pomieszczenia, ozdobionego zdjęciami Chesty Morgan, wyszedł mój szef i wręczył mi paczkę.

- To dla ciebie - powiedział. – Przyniósł ją jakiś czarny facet. Mówiłem, że wkrótce przyjdiesz, ale on nie chciał poczekać.

- Czarny facet? - spytałem macając paczkę. Wyczuwałem w niej miękkie i twarde miejsca, i jakieś bezkształtne przedmioty. - Wysoki, wyraża się jak profesor? W płaszczu z wielbłądziej wełny?

- Tak, to ten. Wyglądał, jakby był chory.

- W porządku - odrzekłem niezdecydowanie. - Dziękuję.

Usiadłem w wozie i otworzyłem paczkę. Zajrzałem do środka i zobaczyłem wianek ze srebrno-czarnych włosów, przewiązany rafą, dwie brązowe kości i małą figurkę mężczyzny, przyozdobioną krążkami z miedzi, przymocowanymi do niej drutem. Całość była pomalowana. Był też krótki list. Rozwinąłem go i szybko przeczytałem.

*Drogi Panie Daniels*

*Zdaje pan sobie sprawę, że nie oddawałbym panu tej paczki, gdyby to nie była sprawa życia i śmierci. Ale czy pan uwierzy, czy nie, duch Iblisa ponownie ożył na Manhattanie i mści się na "synach kurzu" - na tych muzułmanach, którzy ze względu na odstępstwa od praktyk religijnych stanowią łatwe i usankcjonowane ofiary.*

*Obawiam się, że mnie również ściga i śledzi moje ruchy. Tak więc jedyną moją szansą jest przekazanie tej paczki panu i przedstawienie mojej prośby. Otóż kiedy w gazetach pojawi się wiadomość o mojej śmierci, proszę o odszukanie kostnicy, w której będzie moje ciało, i o przeprowadzenie za pomocą załączonych amuletów krótkiego rytuału, opisanego poniżej. Wiem, że pan nie jest ani muzułmaninem, ani czarnym, ale właśnie w takich okolicznościach Iblis nie będzie pana podejrzewał i pozwoli zbliżyć się do mojego ciała.*

*W imię wszystkich czarnych ludzi, którzy zostali sprowadzeni do tego kraju jako niewolnicy, w imię Allaha, proszę zrobić wszystko, co będzie pan mógł.*

*Pański przyjaciel*

*John Bososama*

Włożyłem list z powrotem do paczki. Pański przyjaciel, ha. Mając takich przyjaciół, nie trzeba już mieć wrogów. Nawet zbrodnie na ulicach przebiegają miarękę. Zapuściłem silnik

taksówki i z nieprzyjemnym uczuciem lęku wyjechałem na ulicę. Przez cały dzień unikałem wożenia czarnych. Także Chińczyków. Któż może wiedzieć, jaki rodzaj demonów mają w zanadrzu?

Przez dwie czy trzy noce źle spałem. Judy była bardzo zmartwiona i chciała, by wezwać lekarza. Ale ja nie musiałem wydawać czterdziestu dolarów, żeby się dowiedzieć, co mi jest. Ciągle miałem przed oczyma obraz przebitej dziewczyny ze Sto Trzynastej Ulicy i wysokiego, czarnego faceta w płaszczu z wielbłądziej wełny i przypominałem sobie historie o starożytnym islamskim demonie, te, które mi opowiadał. Wiedziałem, że to śmiechu warte, ale codzienne jeżdżenie po Manhattanie sprawia, że człowiek jest zdolny uwierzyć we wszystko. Czy wiecie że przejeżdżając pewnego dnia przez Queens zobaczyłem, jak jakaś dziewczyna siada na jezdni, oblewa się benzyną i podpala? Naokoło zgromadzili się ludzie i przyglądali się jej ze zwyczajnym zaciekawieniem. Byłem tylko zdziwiony, że nie podszedł do niej ktoś z kiełbaską na patyku.

Wiść przysłała w wigilię Dnia Dziękczynienia. Nie za pośrednictwem gazety, ale przez radio, kiedy wiozłem jakiegoś agenta ubezpieczeniowego do jego domu w Yonkers. "Urzędnik Chase Manhattan Bank został brutalnie zamordowany pod rampą, w miejscu, gdzie południowa jezdnia Park Avenue łączy się z Czterdziestą Ulicą. Znalezione przy ciele karty kredytowe pozwoliły ustalić, że nazywał się John Bososama. Morderstwa dokonano w odległości zaledwie kilku przecznic od oddziału jego banku przy Lexington Avenue. Policja i przedstawiciele banku stwierdzili, że nie miał przy sobie pieniędzy i że motywem zabójstwa >>prawdopodobnie nie był rabunek<<. Głowę Basosamy przytrzymał drzwiami samochodu, a ciało było potem przekręcane, aż do złamania szyi. Następnie ciało zostało porąbane, tak że - jak to określił detektyw Ernest Saparelli - >>wyglądało jak hamburger<<.

Poczułem mdłości. Zacząłem prowadzić niepewnie, więc mój pasażer powiedział: "Uważaj, człowieku! Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym bezpiecznie dojechać do domu". Jakoś udało mi się poprowadzić dalej prosto, aż dowiozłem go na miejsce. Siedziałem za kierownicą i myślałem, myślałem, i za cholerę nie wiedziałem, co zrobić.

Rozumowałem następująco: co mnie właściwie obchodzi grono Czarnych Muzułmanów? Nigdy nic dla mnie ni znaczyli, a poza tym były z nimi tylko kłopoty. Zastanówmy się, ile niepokoju przysporzył nam Iran. Popatrzmy na tego apodyktycznego krzykacza, Muhammada Alego. Popatrzmy na Malcoltna X i resztę tego paskudztwa. Dlaczego miało mnie obchodzić to, że ich własny diabeł dobrał im się w końcu do skóry? Szczególnie że groziło mi poważne niebezpieczeństwo.

Mimo to, sam nie wiem dlaczego, czułem się winny. To były problemy czarnych, zgoda, ale co było ich przyczyną?

To, że niedawno odkryli swoją nową religię i próbowali odzyskać osobistą i religijną tożsamość. A dlaczego musieli to zrobić? Dlatego, że przez tak długi czas biali odmawiali im prawa pierworództwa. Dlatego, że od wieków nie wolno im było poznawać ani radości, ani niebezpieczeństw ich wiary.

Pojechałem do kostnicy. Nie pytajcie mnie dlaczego. Gdybym jeszcze raz znalazł się w tej samej sytuacji, pojechałbym wszędzie, ale nie tam. Może do Buffalo albo prosto na zachód do Cleveland. Dokądkolwiek, byle nie do śródmiejskiej kostnicy policyjnej, żeby oglądać porąbanego trupa.

Ku memu zdumieniu nie miałem kłopotów z dostaniem się do wnętrza. Powiedziałem, że John Bososama był moim znajomym i że pomogę im w jego identyfikacji. Prowadził mnie wąskim, wykładanym brązowymi kafelkami korytarzem, aż doszliśmy do chłodni. Pracownik kostnicy wysunął szufladę i zobaczyłem Bososamę, owiniętego po szyję białym prześcieradłem. Pracownik żuł gumę i od czasu do czasu wypuszczał zielony bąbel.

- Prosił mnie, żebym powiedział parę słów nad ciałem wyjaśniłem. - Zgodzi się pan na to?

- Jakich słów?

- Był Czarnym Muzułmaninem. Parę słów według ich specjalnego rytuału.

Pracownik spojrzał pytająco na mundurowego policjanta, który mnie przyprowadził. Ten wzruszył ramionami i rzekł:

- Nie mam nic przeciwko temu. Jeśli to nie potrwa całą noc.

Przyglądali się, jak grzebałem ślamazarnie w brązowej paczce. Klęczałem na zimnej, wywoskowanej podłodze i wyjmowałem wszystkie amulety: włosy, kości, małą miedzianą figurkę. Pracownik kostnicy wypuścił bąbel i spojrzał, zaskoczony, na policjanta.

Rozpostarłem list od Bososamy. Włosy miałem rozłożyć promieniście, aby imitowały promienie słońca. Dwie kości miały wskazywać północ i południe. Miedzianą figurkę mężczyzny, symbolizującą ludzką nadzieję, powinienem umieścić pośrodku włosów.

Chrząknąłem. W kostnicy było cicho, jedynie chłodziarka powarkiwała nierówno. Prawdę mówiąc, czułem się w tym momencie jak skończony błazen i nie mogłem powstrzymać rumieńca. Postanowiłem jednak doprowadzić rzecz do końca.

- Iblisie - rozpocząłem - zły aniele islamu, rozpoznaję cię.

Policjant prychnął pogardliwie.

- Iblisie - powtórzyłem - zły aniele islamu, rozpoznaję cię i jestem tu po to, by wypędzić cię z tego ciała i z tego świata.



Wstałem, trzymając list Bososamy przed sobą, żeby móc go czytać.

- Opuścisz ciało tego prawdziwego sługi Allaha i powędrujesz dalej. Będziesz wędrował nawet po dzień sądu ostatecznego. Pozwolisz temu słudze Allaha zająć jego miejsce w niebie i zostawisz go w spokoju.

Światła w kostnicy, trzy rury fluorescencyjne, zaczęły migotać. Potem jedna z nich poczerniała i zgasła. Pracownik kostnicy podniósł głowę i rozejrzał się z niepokojem.

- Przepalony bezpiecznik? - zapytał policjant.

- Iblisie, rozkazuję ci wyjść z tego ziemskiego ciała i przepędzam cię - wyrecytowałem głośniejszym głosem, bo zacząłem się bać. - Apeluję do twoich byłych braci w niebie Allaha. Niech zamkną przed tobą wrota.

W kostnicy nagle zapadły ciemności. Potem zawiął wiatr: ostry, zawodzący wiatr. Taki, który smagał skórę i był nie tylko bolesny, ale również gorący, niczym wiatr na pustyni. Usłyszałem, jak policjant mówi coś niewyraźnie, a pracownik odpowiada:

- Światła... co jest z tym cholernym światłem?

- Wynoś się, Iblisiel - krzychałem. - Wynoś się! Nie włóż się więcej między tymi opuszczonymi dziećmi Afryki! Daj im żyć! Odejdź, żeby mogli znaleźć własną drogę powrotną do islamu, ich właściwej religii, bez pokus i bez przeszkód z twojej strony! Wynoś się!

Jakaś blada, pulsująca poświata oświetliła kostnicę. Była wystarczająca, żeby móc widzieć rzędy szuflad, w których leżały ciała. Wystarczyła też, bym zobaczył Johna Bososamę. Jego twarz błyszczała, jakby od potu, a oczy były szeroko otwarte.

Nagle rozległ się przerażający huk. Wysunęła się jedna z górnych szuflad. Pracownik kostnicy powiedział: "Jezus!" i szczeka mu opadła. Policjant wyjął rewolwer, ale nie było do czego strzelać. Panowały ciemność i wiatr... i przerażający, jęklivy zew odległej, odwiecznej pustyni.

Potem buchnął ogień. Otwierały się, jedna po drugiej, szuflady, a z każdej podnosił się trup, który siadał, jakby był żywy. Wzdęte od gazów, szarozielone trupy, wyciągnięte z East River. Błede ciała, wykrwawione na śmierć w nieznanach klatkach schodowych Ósmej Alei. Fioletoworóżowe ciała zmarłych na atak serca. Trupy ciemnoczerwone od pośmiertnego zasinienia. Każdy z nich, podnosząc się z szuflady, wybuchał ogniem. Widziałem skręcające się włosy i skwierczącą skórę. Gęsty dym palącego się człowieczeństwa wypełnił całe pomieszczenie.

- Jezu - wymamrotał policjant. - Jezu Chryste.

Tego horroru nie mogło jednak powstrzymać wzywanie Jezusa czy chrześcijańskiego Boga. Z ciemności i przewiewanego wiatrem dymu wychynęła niezwykle wysoka i czarna jak kruk postać Iblisa.

Jego głowa przypominała bardziej czerep konia niż wielbłąda, a kiedy wyszczerzył zęby, zobaczyłem jeden po drugim rzędy ociekających śliną siekaczy. Był gigantyczny, ohydny, przerażający. Jego oczy błyszczały w zadymionym mroku jak reflektory tajemniczej, niemożliwej do zastopowania ciężarówki. Zaryczał, ale było to raczej harmoniczne drganie, a nie ryk. Bardziej wstrząs niż wrażenie dźwiękowe. Poczułem, jak cierpną mi zęby, a drganie przesuwa się wzdłuż kręgosłupa.

- Iblisie! - wrzasnąłem. - Wypędzam cię!

W migotliwym świetle palących się trupów diabeł z pogardliwą wyższością pokręcił przecząco głową.

- Nie możesz mnie wypędzić, ty głupcze – zaryczał dziwnym dudnieniem. - Tylko ci, którzy wierzą w Allaha, mogą mnie wypędzić. Tylko ci, którzy stosują się do nauk proroka Mahometa.

- Działam w imieniu takiego człowieka! - krzyknąłem.

Mój głos był napięty ze strachu. - Tego oto człowieka: Johna Bososamy. Upoważnił mnie do tego.

Iblis się zaśmiał. Brzmiało to raczej jak łoskot kolejki podziemnej, spadającej w czeluść bezdennej studni.

- Nie pochodzisz z jego rasy - drwił ze mnie. - Nic nie możesz zrobić.

Nie poddałem się. Nie pytajcie mnie dlaczego. Przez moment wydało mi się, że muszę mieć coś takiego, w co bym mógł wierzyć. W końcu zobaczyłem ten rodzaj zła, które sprawia, że świat jest taki, jaki jest. Iblis, podobnie jak szatan, był blagierem i kanciarzem; oszustem wykorzystującym niepewność i strach.

- Mogę zrobić wszystko! - zaskrzeczałem. - Mogę cię wypędzić, ponieważ mam szacunek dla wiary moich czarnych braci wiary w Allaha i w proroka Mahometa! Mogę cię wypędzić, ponieważ wszyscy ludzie są równi i ponieważ ten kraj im to gwarantuje! Mogę cię wypędzić, ponieważ przybyłem pomóc Johnowi Bososamie, gdyż uważam, że cały jego lud powinien być wolny! Mogę cię wypędzić, ponieważ przyjąłem odpowiedzialność za to, co biali uczynili jego ludowi, ponieważ obie rasy muszą przebaczyć sobie wydarzenia z przeszłości, rozwiązać problemy dnia dzisiejszego i zaakceptować wzajemne prawo do zachowania tożsamości w kwestiach religii i magii!

Zrobiłem przerwę dla zaczerpnięcia powietrza. Byłem nieprzytomny z wściekłości i strachu.

- Wynoś się! - ryknąłem. - Wynoś się i zostaw naszych braci w spokoju!

Przez chwilę atmosfera była napięta do ostatnich granic. Widmo zachwiało się i jakieś brzęczenie nie do wytrzymania ogarnęło kostnicę. Potem palące się ciała zaczęły eksplodować. Nad głową przelatowały mi kawały płonących zwłok, czaszki z palącymi się oczodołami, ręce pokurczone w ogniu na kształt szponów.

Padłem na podłogę, zamknąłem oczy i modliłem się, żeby to nie był ostateczny koniec. Minuty minęły, nim otworzyłem oczy. Iblis zniknął. Kostnica była czarna od dymu, duszna, ale cała. Wszędzie porozrzucane były fragmenty zwłok. Policjant podniósł się z podłogi, otrzepując mundur z ludzkich popiołów, niezdolny do powiedzenia słowa. Pracownik kostnicy leżał jeszcze na podłodze porażony strachem.

Po dobrej chwili policjant zapytał:

- Co tu się, do cholery, działo?

Potrząsnąłem głową. Gardło miałem suche i zaciśnięte.

- Nie wiem. Zdaje się, że zwyciężyliśmy.

Spojrzałem w dół na Johna Bososamę. Miał zamknięte oczy i wyraz spokoju na twarzy.

Nigdy więcej nie słyszałem o Iblisie ani o Czarnych Muzułmanach. Czasem wożę czarne panie o włosach zaplecionych w warkoczyki i nie unikam rozmów z nimi na temat ich religii.

Zwykle okazuje się, że są wesołe i zadowolone, mają przed sobą wiele nowych możliwości życiowych. Wydaje się, że zły los je omija.

Nie stykam się z czarnymi częściej niż poprzednio. Nie udaję, że rozumiem, czego chcą od życia, od społeczeństwa albo od czegośkolwiek. A jednak doświadczenie wyniesione ze spotkania z Johnem Bososamą i z jego islamskim diabłem przekonało mnie najlepiej, że jestem dla nich nie tylko bratem. Jesteśmy wszyscy Amerykanami, zwykłymi ludźmi, i mamy obowiązek pomagać sobie w obliczu niebezpieczeństwa, a także wtedy, kiedy grunt usuwa nam się spod nóg.

Sądzicie, że jestem sentymentalny? Judy myśli, że tak. Ale i wy, i ona możecie myśleć, co chcecie. Jeśli chodzi o mnie, wierzę w to, co głosi motto wypisane pod naszym narodowym godłem: E PLURIBUS UNUM. Jeśli znajdzie zastosowanie w praktyce, to wystarczy, żeby pokonać zarówno człowieka, jak i diabła.

Gdzieś w przestrzeni, albo w czasie, krąży wygnany czarny diabeł, zwany Iblisem, który jest tego najlepszym dowodem.

## WILL

Londyn; Anglia

Na błotach południowego brzegu Tamizy zbudowano replikę teatru Globe.

Wzniósł ją Sam Wanamaker, żeby odtworzyć czasy, kiedy pierwsze przedstawienia Snu nocy letniej i Romea i Julii zachwyciły elżbietańską widownię.

Wielcy artyści zostawiają po sobie coś więcej niż dzieła, które stworzyli, czy słowa, które wypowiedzieli. Zostawiają po sobie również życiorysy odsłaniające kulisy ich sukcesów.

Opowiadanie zatytułowane Will napisano, by złożyć hołd H.P. Lovecraftowi, twórcy Cthulhu Mythos - zbioru powieści i nowel, które dowodziły, że świat był kiedyś opanowany przez Wielkie Demony, mityczne postacie, pochodzące z obszarów poza czasem i przestrzenią.

Napisano je również dla okazania szacunku największemu angielskiemu dramaturgowi, z myślą o tym, iż wszędzie, na całym świecie, sława i bogactwo mają swoją cenę.

Szekspir powiedziałby tak: "Świat jest ciągle zwodzony pozorem. W sądzie obrona, choć fałszywa i przekupna, lecz okraszona pięknym głosem, tuszuje wyrządzone zło".

Odwróćcie kartkę i obejrzyjcie przedstawienie na temat zła.

Głos Holmana w słuchawce telefonicznej był niezwykle podekscytowany, niemal histeryczny.

- Dan, przyjeźdź tu - nalegał. - Dokopaliśmy się czegoś strasznego.

- Strasznego? - zdziwił się Dan. Próbował właśnie wybrać któreś spośród czterystu czarno-białych zdjęć, piętrzących się na jego biurku tak, że nie mógł odnaleźć swojego kubka z kawą. Bez kawy nie potrafił wydajnie pracować. Mogła być jakakolwiek: rozpuszczalna, z ekspresu, mocca, arabska. Dopiero mocna dawka kofeiny uaktywniała go.

- Rita trafiła na to dziś rano, mniej więcej dwadzieścia metrów od wschodniej ściany. Nic więcej ci nie powiem... nie przy tym warczącym wentylatorze.

- Holman - odpowiedział Dan - jestem zbyt zajęty, żeby teraz przyjechać. Muszę wybrać te cholerne fotografie terenu dla tego cholernego Wydziału Ochrony Zabytków, na jutro, na dziewiątą rano. W ttej chwili widać na nich tylko błoto, błoto i jeszcze raz błoto.

- Dan, musisz tu przyjechać - naciskał Holman.

- Czy to takie strasne, że nie można z tym poczekać do jutra po południu?

- To jest straszne, uwierz mi. To może nas zastopować na miesiące, jeśli policja zechce prowadzić dochodzenie. Wiesz, co się stanie, kiedy zaczną tratować teatr swoimi buciorami.

Dan odnalazł czerwony kubek do kawy z napisem: "Jestem archeologiem". Róg jednej z fotografii moczył się w kawie, która była mętna i zimna. Mimo to wypił ją.

- Holman - oznajmił, wycierając usta wierzchem dłoni. - Po prostu nie mogę przyjechać.

- Znaleźliśmy ciało - rzekł Holman.

Nie padało już od godziny, ale tłusta szaroniebieska glina pod podeszwami jego zielonych wellingtonów od Harrodsa była w dalszym ciągu gładka i połyskliwa. Wodniste słońce unosiło się nad Southwark, odbijając się od wiktoriańskich dachów, krytych szarą, łupkową dachówką, i od dalekich okien, a także od szerokiego łuku Tamizy. Wszystko wskazywało, że zbliża się zima; czuło się chłód i wilgoć - przyprawiające o ból gardła - o których Dan od dawna zapomniał, gdyż pracował przy wykopaliskach w San Antonio. Tam nie można było sobie wyobrazić, że istnieje coś takiego jak zimno.

Holman stał przy odległym końcu niskiej, wschodniej ściany obok prowizorycznej zasłony, zmajstrowanej z płótna i starych drzwi. Był bardzo wysoki i przygarbiony, miał na sobie płaszcz z kapturem, a na mięsistym nosie luźne okulary w rogowej oprawce, i nieustannie je poprawiał. Próbował zapuścić brodę, co przynosiło mizerne wyniki. Łatwiej było wziąć go za któregoś z łachmaniarzy, nocujących w tekturowych pudłach, niż za najbardziej podziwianego archeologa Manchester University, prowadzącego wykopaliska w trudnych miejscach. W przeciwieństwie do niego, Dan był niższy, mocniej zbudowany, i ze swoimi falującymi włosami miał ten lwi wygląd, który przypominał kobietom Richarda Burtona. Nosił się zawsze zwyczajnie, ale kosztownie. Holman nazywał go Wytwornym Danem, Archeologiem Stroju.

Wyciągnął swoją długą rękę, kiedy Dan podszedł, i uścisnął mu dłoń.

- Tu leży - oznajmił bez żadnego wstępu. - Człowiek, który nigdy nie opuścił teatru.

Dan odciągnął na bok płótno i zobaczył mulistoszarą postać, leżącą na lewym boku w błocie; małą, łysą, przypominającą małpę, postać ludzką w pozycji płodowej, z podkurczonymi nogami. W chwili śmierci miała na sobie kubrak i trykoty. Ubiór był w znacznie gorszym stanie niż skóra; i był tak poplamiony błotem, że trudno było rozpoznać kolor.

Dan, obserwowany z bliska przez Holtana, pochylił się nad ciałem i badał je starannie. Było to ciało mężczyzny o szczupłej twarzy, z kilkoma włoskami, które pozostały z koziej bródki. Wargi, cofnięte w odrażającym uśmiechu, odsłaniały połamane i zepsute zęby. Oczy miał mętne jak u ugotowanego dorsza.

- Kiedy umarł? - zapytał Dan.

Holman wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć. Podobny jest do ludzi z bagien, znalezionych w Jutlandii i w Szlezwiku-Holsztynie, doskonale zakonserwowanych w glinie. Z badań stopnia rozpadu węgla wynikało, że żyli od tysiąc sześćset do dwóch tysięcy lat temu. Ale ten człowiek zmarł znacznie później.

Dan przykucnął przy błyszczącej szarej postaci i zajrzał jej w twarz.

- Wygląda tak, jakby zamknął oczy dopiero wczoraj, prawda? Czy na wszelki wypadek wezwałeś policję?

Holman potrząsnął przecząco głową.

- Musisz to zrobić - poradził Dan i podniósł się.- Prawdopodobnie jest dokładnie tym, na kogo wygląda, to znaczy zmumifikowanym poddanym króla Jakuba Pierwszego. Ale nigdy nie wiadomo. Ktoś mógł być tak przebiegły, że po zabiciu kochanka żony ubrał go w wypożyczony kostium i pogrzebał właśnie tutaj, w miejscu, gdzie stał teatr Globe, aby każdy mógł sądzić, że zmarł w okresie panowania króla Jakuba.

- Z całym szacunkiem dla ciebie, Dan, jest to najbardziej przemawiająca do wyobraźni teoria, jaką usłyszałem w życiu - odparł Holman. - Ale glina wokół ciała była twardo ubita tak jak glina wokół szczątków ścian teatru. Gdyby ciało pogrzebano niedawno, to w glinie pozostałyby wyraźne ślady jej naruszenia.

Pokazał mały, szerniały z wiekiem kawałek drewna.

- Popatrz, co było przywiązane do jego szyi. Gag, czyli knebel aktorski. Aktor brał taki do ust, żeby ćwiczyć wymowę. Stąd pochodzi określenie "mówić gagi". Zdecydowanie jakubiański.

- Mimo to musimy wezwać policję. Takie jest prawo.

- Bardzo dobrze - zgodził się w zniecierpliwieniu Holman, zabijając ręce. - Ale czy możemy opóźnić to o czterdzieści osiem godzin? A dokładniej: czy możemy o tym nie mówić nikomu przez czterdzieści osiem godzin? Chciałbym przeprowadzić trochę wstępnych badań bez udziału setek ciekawskich. Chciałbym z nim zostać sam. - Holman wyprostował się i rozejrzał po błotnistych, połyskujących w słońcu rowach, a potem spojrzał znów na ciało. - Czy przyszło ci do głowy, Dan, że ten człowiek prawdopodobnie oglądał przedstawienie sztuki Williama Szekspira? Któregoś ranka, we wczesnych latach siedemnastego wieku, włożył na siebie ten strój, poszedł do Globe i tam zmarł. Może spłonął w ogniu w czasie pożaru teatru w tysiąc sześćset trzynastym.

- Miejmy nadzieję, że tak było - zauważył Dan. - Ostatnią rzeczą, której moglibyśmy sobie życzyć, byłoby intensywne dochodzenie w sprawie o morderstwo, w połowie prac wykopaliskowych. I tak będzie wystarczająco kiepsko kiedy dowie się o tym prasa.

Rozmawiali jeszcze, gdy pojawiła się dziewczyna, w wieku około dwudziestu lat, idąca w ich stronę przez wykopalisko.

Była w żółtym kasku ochronnym i w zielonej puchowej kurtce. Długi kosmyk jasnych, falujących włosów przesłaniał jedną stronę jej twarzy. Nie miała więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, ale ze swoimi oczami lalki i z zadartym noskiem wydawała się wyjątkowo ładna. Poza tym że była wybitnym archeologiem, co doceniali obaj mężczyźni, zaręczyła się z zawodowym tenisistą o szerokich barach, imieniem Roger; ponieważ zaś Roger łączył w sobie wybuchowy temperament z dziką zazdrością, więc większość jej kolegów archeologów trzymała się od niej z daleka.

- Halo, doktorze Essex - powiedziała. - Co pan o nim sądzi? Postanowiłam, że nazwę go Tymon, zgodnie z tytułem najgorszej sztuki Szekspira Tymon Atericznyk, której bohater umarł dramatyczną śmiercią.

- Jak się masz, Rita? - powitał ją Dan. - Moje gratulacje. Niezły eksponat... jeżeli jest oryginalny.

- Oczywiście, że jest oryginalny - odparła Rita, klękając w błocie obok niego. - Biedak, pewnie został przywalony w jakimś pomieszczeniu piwnicznym. Znalazłam go pod tamtym dębowym stropem. Musieliśmy użyć koparki, żeby go dźwignąć. - Starannie usunęła pędzelkiem glinę z piersi Tymona. - Chciałabym wydostać go stąd jak najprędzej i przenieść do klimatyzowanego pomieszczenia. Nie można przewidzieć, co się stanie, kiedy zacznie na niego działać powietrze. Możemy go stracić w ciągu dwóch, trzech dni, a może nawet jeszcze wcześniej. Spójrzcie na jego guziki! Piękne, z masy perłowej, wszystkie ręcznie rzeźbione.

- To jest rzeczywiście coś - zachwycił się Holman. - Patrzymy na kawałek historii.

Dan podniósł ręce poddając się.

- W porządku. Daję wam trochę czasu. Poproszę firmę Dunstan & Malling, żeby wzmocnili straż. Nie wspomnę im oczywiście, z jakiego powodu. - Dunstan & Malling byli przedsiębiorcami budowlanymi, którzy pierwsi odkryli ruiny siedemnastowiecznego szekspirowskiego teatru Globe, trzy dni po rozpoczęciu prac przy wykopach pod fundamenty dwudziestodwupiętrowego wieżowca o nazwie Globe House. Oficjalnie, w obecności prasy, obaj dyrektorzy mówili o "zabezpieczeniu dziedzictwa kulturalnego Anglii". W rzeczywistości byli wściekli z powodu zwłoki, ponieważ Wydział Ochrony Zabytków powołał zespół Dana w celu przeprowadzenia prac wykopaliskowych i zaproponowania sposobów udostępnienia odkrycia turystom.

Dan zapiął płaszcz dla ochrony przed wiatrem i właśnie chciał wyjść, kiedy Rita zawołała:

- Dan, poczekaj! Spójrz na to!

Dan uważał trupy za szczególnie mało pociągające, nawet takie, które miały ponad trzysta lat i były niewiadomego pochodzenia. Wrócił jednak do płóciennej zasłony, gdzie pracowała Rita.

- Spójrz. On nie zginął w pożarze ani w żaden podobny sposób. Popatrz na jego pierś.

Obróciła trupa tak, że teraz jego oskarżający wzrok skierowany był ponad jej ramieniem. Potem odstała, żeby Dan mógł zobaczyć ogrom nieszczęścia, które spotkało Tymona.

Lewa strona jego ciała była rozdarta od pachwiny aż po mostek, jak gdyby zaatakowała go ogromna, rozwścieczona bestia. Wnętrze ciała wypełniła mokra glina, ale mimo to można było zobaczyć, że większość wewnętrznych organów została wydarta.

- Jezu! - wykrzyknął Dan i zbliżył się ze zgrozą do Tymona. - Co mu się, do diabła, przydarzyło?

- Nie mam pojęcia. Może przebiły go belki spadające w czasie pożaru teatru - podsunął Holman.

- To wygląda raczej na atak dzikiego zwierzęcia - zauważył Dan.

- Może napadł go niedźwiedź - fantazjowała Rita. - Oni czasem przyprowadzali niedźwiedzie, żeby zabawić publiczność. Kiedy wybuchł pożar, niedźwiedź mógł wpaść w szal.

- Myślę, że to przesada - stwierdził Holman.

- Nie wiem - rzekł Dan. - Nie dbam o to. Wydaje mi się, że coś go ugryzło; coś bardzo dużego i bardzo rozwścieczonego. Zobaczcie, w jaki sposób została rozdarta jego koszula. To nie mógł być niedźwiedź. Niedźwiedź bawi się ofiarą, szarpie pazurami. Ktokolwiek to zrobił, najpierw popatrzył, a potem wykonał jeden ruch, nyyunngg!

- Nyyunngg? - zdziwił się Holman. - Kto w jakubiańskim Londynie mógł zrobić nyyunngg?

- Więc dobrze... może to zbytnia fantazja - zgodził się Dan. - Mogę sprawdzić, czy są jakieś ówczesne wzmianki o ofiarach pożaru Globe i jakie były przyczyny ich śmierci.

Holman klepnął go w ramię.

- Powodzenia - powiedział. - Poza tym dziękuję za dodatkowy czas. Wiem, że to niełatwo odpierać ataki rządu, przedsiębiorców i prasy, nie mówiąc już o Ricie i o mnie.

Dan wytarł nos.

- Skończcie możliwie szybko z naszym przyjacielem, dobrze?

Holman popatrzył dłużej na tłuste od szarej gliny szczątki człowieka nazwanego Tymonem.

- Jak wszystko pójdzie gładko, to staniemy się sławni z powodu tego faceta. Człowiek Essea i Holmana. Ale nim ktokolwiek inny położy na nim łapska, chciałbym dowiedzieć się, kim on był i w jaki sposób umarł.

- Żałuję, że nie mogę dać ci więcej czasu.

- Nie szkodzi. Zostanę tu całą noc i, jeśli będzie trzeba, następną także.

- Chryste, zaziębisz się.

- Jestem przyzwyczajony do zimna. Pamiętaj, że urodziłem się w Yorkshire.

Dan spojrzął na zegarek. Był umówiony na lunch z Fioną Blessing, wysoką figurą z British Fuels, kobietą ubierającą się w obfite suknie, nadające jej kształty trójkąta. Była zainteresowana zainwestowaniem w dziedzinie kultury pewnego kapitału "C", pozwalającego odtrącić od



podatków kapitał "T". Później musiał pojechać autobusem do Chiswick, żeby odebrać z warsztatu swój samochód Renault, który był już po raz trzeci reperowany w tym roku. Wolałby zostać i patrzeć, jak Rita starannie oczyszcza Tymona z błota. Musiał jednak za wszelką cenę utrzymać wykopalisko, mimo bardzo małych funduszy i siedzących mu na karku przedsiębiorców, zwisających nad nim na kształt gigantycznego, czarnego kowadła z Jeźdźca szos. Uścisnął rękę Holtnanowi, pomachał Ricie i wrócił do czekającej na niego taksówki.

- Co tam jest? - zapytał kierowca. - Wygląda na jakiś cholerny cmentarz.

- Wykopalisko - odparł cierpliwie Dan. - Wykopalisko archeologiczne. Kiedy skończymy, będzie wiadomo, jak wyglądał Globe Theatre.

- Tak? - zdziwił się kierowca, przepychając się przez wzmożony w porze lunchu ruch kołowy. - Po co wam to wiedzieć?

Pierwszy raz Dan nie znalazł odpowiedzi. Może rzeczywiście nie było żadnego powodu. Może szukał tylko potwierdzenia, że przeszłość rzeczywiście istniała i że ludzie mieli wówczas kulturę, o której współcześni nigdy się nie dowiedzą, jeśli jej nie odnajdą.

Nie mógł spać. Majaczyło mu się, że leży na boku w szarym, błyszczącym błocie. Było mu zimno, ale nie wiedział, jak się rozgrzać. Ktoś wymawiał uporczywie jego imię.

Usiadł i zapalił nocną lampkę. Druga strona łóżka była jak zwykle pusta. Margaret nie chciała mieszkać z nim w Londynie: nienawidziła tego miasta. Nie miał do niej pretensji. O tej porze roku Londyn był wilgotny, drogi i opuszczony; stanowił mroczną stolicę ponurej, wyświechtanej kultury. Gdziekolwiek by się poszło, wszędzie sterczały czarne, spiżowe posągi surowych, ekscentrycznych, dawno umarłych mężczyzn.

Przez jakiś czas przeglądał książki wypożyczone z Kensington Library: Życie i dzieje Szekspira P. Alexandra, Szekspir w Globe Nigela Frosta i ciekawą monografię pod tytułem Udziałowiec, napisaną przez Dudleya Manfielda. W 1598 roku, kiedy zbudowano teatr Globe, Szekspir był już jednym z najlepiej sytuowanych aktorów-dramatopisarzy w kraju i jednym z "udziałowców" lub akcjonariuszy teatru.

W relacji Manfelda było coś, co wydało się Danowi dziwne i intrygujące. Manfeld powracał ciągle do bliźniaków Szekspira, Hamnet i Judith, i do śmierci Hamneta w wieku jedenastu lat, w 1596 roku; do tragedii, którą Szekspir nazwał "moją zapłatą". Równocześnie Manfeld często wspominał o "długu Szekspira", jak gdyby Szekspir złożył komuś jakąś obietnicę lub pożyczył od kogoś pieniądze. W przytoczonym fragmencie dziennika aktora z Globe Theatre, Bena Fieldinga, była o tym mowa wielokrotnie.

W lecie 1611 roku zagraliśmy po raz pierwszy "Burzę". Will mówił, że w tym dramacie najchętniej opowiedziałby o Wielkim Demonie, któremu złożył ślubowanie. Twierdził, że zaciągnął dług, jakiego żaden człowiek nie ma prawa zaciągać, i że oddałby całe swoje bogactwo, żeby to ślubowanie unieważnić. Bo - jak mówił - zawsze przychodzi czas, kiedy dług musi zostać spłacony.

Okazało się więc, że z jakiegoś powodu Szekspir zawarł wiążącą umowę z Wielkim Demonym, kimkolwiek on był. Dan wstał z łóżka i poszedł do salonu, żeby odszukać swój komplet dzieł Szekspira. Wyjął Burzę i czytał przypadkowe fragmenty, ale nie mógł znaleźć ustępu, w którym Szekspir mówiłby coś o swoim długu.

Znalazł jednakże zwrot: "Umierający spłaca wszelkie długi"

Wrócił do książki Manfielda. Przed rokiem 1613, czyli przed pożarem Globe, Szekspir wycofał się prawie na stałe do swojego domu w Stradford. Ale Ben Fielding napisał:

Will zwierzył mi się, że jego dług dręczy go, że musi uregulować go za wszelką cenę. W tym celu musi wrócić do Southwark i stanąć twarzą w twarz ze swoim Dręczycielem, aby odzyskać spokój. Wszystko, co powiedział, zostało również zapisane i złożone u Johna Heminge'a.

To był ostatni zapis w dzienniku Bena Fieldinga. Według Manfielda, Fielding zniknął tej nocy, w której spalił się Globe, i został uznany za ofiarę pożaru.

Dan przeczytał wielokrotnie słowa Fieldinga, a potem zgasił światło i próbował zasnąć. Przez cały czas wydawało mu się, że coś potoczyło się bardzo źle, jak gdyby świat potajemnie zdecydował się zawrócić i podążyć w przeciwną stronę.

Przyjechał na wykopalisko rankiem następnego dnia, parę minut po siódmej. Deszcz wprawdzie nie padał, ale było zimno i mglisto. Otworzył bramę i z rękami w kieszeniach brnął po glinie do budy Holmana.

Niezwykłe było to, że z blaszanego komina budy nie wydobywał się dym. O tej porze Holman zwykle parzył herbatę i gotował śniadanie. Co dziwniejsze, drzwi budy były szeroko otwarte. Dan wspiął się po chropowatych stopniach i wsadził głowę do wnętrza.

- Holman? - zawołał. - Holman? Jesteś tam?

Wnętrze budy okazało się ciemne i zimne. Niezbyt czysta prycza była pusta; rysunki i odbitki światłoczułe szeleściły na tablicy ogłoszeń jak poszeptywanie żałobników w posępnej kaplicy. Piecyk był zimny, a imbryk pusty i nie miał wieczka.

- Holman? - powtórzył Dan.

Wyszedł z budy i poszedł przez grząski teren wykopaliska ku zagrodzie sporządzonej z płótna i starych drzwi, kryjącej miejsce, gdzie znaleziono ciało. Możliwe, że Holman postanowił wcześniej rozpocząć pracę i zjeść śniadanie później. W Southwark mżyło, na rzece żałośnie wyla syrena barki.

Odsunął na bok część starych drzwi.

- Holman? - zawołał... i wówczas zobaczył, dlaczego Holman nie odpowiadał. Dan zatrzymał się tam, gdzie stał, łapiąc powietrze krótkimi, płytkimi ruchami płuc, jak gdyby biegł. Z początku ledwie mógł się zorientować, na co patrzy, ale stopniowo zawile pętle i sploty kolorów szkarłatu i szarości nabrały sensu. Poczul ucisk w gardle, a usta wypełniły mu się nagle żółcią i letnią kawą.

Holman został rozdarty na strzępy; długie pasma jelit i połyskujących mięśni porozciągane były po całej zagrodzie. W odległym kącie wykopaliska leżała jego klatka piersiowa, jak część wraku samochodowego. Kawalek rozplaszczony twarzy wystawał z błota, tuż obok prawej stopy Dana. Z jednym okiem, połową zakrwawionej brody, bez szczęki. W pobliżu leżały pokryte lepka krwią okulary.

Trzęsąc się z zimna i ze strachu, Dan ruszył na środek wykopaliska, do miejsca, gdzie Rita znalazła zmumifikowane ciało. Znalazł je, odrzucone w kąt dołu; jedna noga wystawała pod nieprawdopodobnym kątem. Gлина obok wyglądała tak, jakby została przekopana koparką. Bóg wie, co tam się działo. Holman nigdy nie poważyłby się naruszyć w ten sposób tak doniosłego odkrycia archeologicznego. Co przydarzyło się Holmanowi?

Dan wciągnął nosem ranne powietrze. Było zimne i ostre jak papier ścierny. Poczul w nim także pewien zapach, który nie był zapachem rozdartego ciała ludzkiego. Był to odór pleśni, podobny do smrodu nigdy nie przewietrzanego pokoju, pełnego starych modlitewników. Była to woń zamkniętej przestrzeni, zapach starości.

Dan okrążał wykopalisko, czując w nogach ołów i nie wiedząc, co robić. Zatrzymał się, zaciskając ręką usta w obawie, że zwymiotuje. Wtedy usłyszał skamlący głos, podobny do płaczu przejechanego kota. Odwrócił się i dopiero wtedy zobaczył Ritę, skuloną za drugimi drzwiami. Była od stóp do głów usmarowana gliną. Nabiegłe krwią oczy miała otwarte.

Ukląkł obok i ujął jej śliską od gliny rękę.

- Rita? Rita, to ja, Dan.

Spojrzała na niego obłąkańczo. Trzęsła się cała i rzucała głową na wszystkie strony, jak wariatka.

- Na litość boską, Rita, co się stało?

- To wyszło - wyszeptala wargami szarymi od błota.- Obróciliśmy go, a ziemia wyglądała tak, jakby się gotowała.

I wtedy to wyszło!

- Co wyszło? Rita, co to było?

Szarpała głową we wszystkie strony.

- Był wiatr... wiatr, który wiał w dół. A potem ziemia się gotowała. A potem Holman krzyczał, bo to było czarne... i miało macki... i zmieniało kształt... i rozerwało go na kawałki.

Dan trzymał ją w objęciach, a ona drżała, kołysała się i trzęsła głową. W końcu otarł jej czoło z błota i powiedział:

- Dobrze, już dobrze. Wezwę ambulans.

Poszedł odwiedzić ją dwa tygodnie później. Zamieszkała w Ettington Parku, w ogromnym, kremowo-szarym, gotyckim hotelu z piaskowca, położonym w sercu Warwickshire, na południe od Stratford-on-Avon, między pełnymi gawronów wiazami, nad wolno płynącą rzeką.

Poszli na spacer. Było zimne popołudnie; panowała cisza, przerywana chwilami krakaniem gawronów. Rita spytała:

- Co mają zamiar zrobić z wykopaliskiem?

Dan zapalił papierosa i zaciągnął się.

- Obecny plan polega na tym, żeby wypełnić je gruboziarnistym piaskiem, aby zachować to, co już odkryliśmy, a na tym zbudować fundamenty biurowca. Nikt nie zobaczy już wykopaliska, chyba że rozwali ten cholerny wieżowiec.

- Tu jest bardzo przyjemnie - zmieniła temat Rita.- Bardzo spokojnie. Jest biblioteka, dużo kominków i kryta pływalnia.

- Udało ci się przypomnieć sobie, co się wtedy stało?- zwrócił się do niej Dan, obserwując uważnie jej twarz. Spojrzała w bok kamiennym wzrokiem.

- Tylko to, co ci powiedziałam. Wiatr wiał w dół, a ziemia gotowała się i wyszło tamto. Policja doszła do wniosku, że to pewnie była eksplozja gazu błotnego, rodzaj fenomenu przyrodniczego. Will-o'-the-wisp do dziewiątej potęgi.

Dan uściskał jej rękę.

- Życzę ci szczęścia - odwrócił się i poszedł.

Pojechał pod groźnie wyglądającym niebem do Stratford-on-Avon i wstąpił do Shakespeare Library w pobliżu Memorial Theatre. Resztę popołudnia spędził przy małym biurku pod oknem, czytając prace nie o Szekspirze, ale o jego koledze, aktorze z Globe Theatre, Johnie Heminge'u, który pomagał wydać Pierwsze Folio dzieł Szekspira.

Było już prawie ciemno, kiedy natknął się na list. Jarzeniowe lampy biblioteki migotały. Znalazł go, jakby ten list czekał na niego, wpięty w tom dzienników Johna Heminge'a. Część była

nieczytelna, a poza tym nikt, kto nie widział ciała Holmana, nie zrozumiałby go ani nie domyślił się, że napisał go Szekspir. Pochodził z roku 1613, więc był napisany trzy lata przed śmiercią Szekspira, a dziesięć lat wcześniej, nim Heminge opracował pierwszy zbiór dzieł.

Johnie, udaję się na wyprawę, z której nigdy nie wrócę. Zaofiarowałem mu moje życie w zamian za sukces, ale nigdy nie spodziewałem się, że zażąda życia mojego biednego dziecka. Teraz wiem, że takiej umowy żaden człowiek nie ma prawa zawierać. Tylko Bóg może decydować o czyimś losie, nie zaś ta kreatura, pochodząca z czasów, kiedy nie było Boga, i z przestrzeni, które nie są objęte jego królestwem. Bardzo bolałem ale cieszyłem się moimi sukcesami, a teraz muszę za nie zapłacić. Biedy Hamneae, wybacz mi!

Ostrzegam cię, Johnie, przed Wielkimi Demonami, które przychodzą z kosmosu. Mogą dać człowiekowi wszystko, czego zapagnie, lub ukarać go bez żadnej przyczyny. Szczególnie groźny jest Y'g Southothe, który przyszedł spoza granic czasu i przestrzeni i który mieszka teraz pod piwnicami Globe.

Globe został zbudowany po to, żeby stworzyć mu kryjówkę, zatem powinien zostać zrównany z ziemią, a jego piwnice zasypane i zabite deskami. Wraz ze mną, aby mógł żyć Hamnet.

Później, tegoż wieczoru, Dan poszedł na długi spacer wzdłuż Avon, dochodząc w końcu do posągu Barda. Sodowe lampy uliczne świeciły ostrym, pomarańczowym światłem; w ich blasku pomnik wyglądał tak, jakby został odlany z osobliwego, niezziemskiego metalu. W głowie Dana zaczął układać się pewien schemat wydarzeń, chociaż zupełnie nie mógł go zrozumieć. Z listu do Johna Heminge'a wynikało, że Szekspir osiągnął swój ogromny sukces jako dramaturg wskutek ubicia interesu z Y'g Southothe'em, który był jakąś pradawną siłą życiową "z czasów kiedy nie było Boga". Można tylko zgadywać, że ta siła życiowa zażądała życia Hamneta. Może jako zabezpieczenia? Może, by zmusić Szekspira do wybudowania jej kryjówki na ziemi, do zburzenia starego teatru i wzniesienia na tym samym miejscu Globe?

Nikt nigdy się nie dowie, co się naprawdę stało. Ale z listu do Johna Heminge'a wynika, że w 1613 roku Szekspir nie mógł już dłużej znieść poczucia winy za śmierć Hamneta i udał się do Londynu, żeby spalić Globe i zniszczyć owego Y'g Southothe'a.

Był pewien ślad, który przetrwał wieki. Szekspir napisał w swoim liście:

Wezmę z sobą gag ofiarowany mi przez Hamneta, kiedy chłopiec miał dziesięć lat; gag wystrugany przez niego własnoręcznie. gag, którego nigdy nie używałem ze względu na złe wspomnienia. Będzie to symbol mojego kunsztu i mojej miłości do syna, którego straciłem.

Następnego dnia, wczesnym rankiem, Dan wrócił do Londynu. Panował przejmujący chłód, w powietrzu unosiła się mgła. Wykopalisko było opuszczone, a dookoła wisały sznury z czerwonymi proporczykami ostrzegawczymi i stały tablice Metropolitan Police z napisem: "Strefa zagrożona! Łatwo Palny gaz!"

Szedł niepewnie po błotnistych koleinach, przeskakując nie dokończone wykopy. Ciało zostało przykryte namiotem z grubej budowlanej folii polietylenowej, rozpiętej na aluminiowych ramach, a w budzie zainstalowali się strażnicy obiektu, Pełniący całodobową służbę. Strażnik stojący na stopniach budy właśnie wytrząsał na ziemię zużyte torebki herbaty z czajnika. Pomachał Danowi ręką i powiedział:

- Dzień dobry, panie Essex! Ohydna dzisiaj pogoda, prawda?

Dan podniósł wilgotną od mgły folię. Szare zmumifikowane ciało leżało tam, gdzie zostało rzucone tej nocy, kiedy zginął Holman. Było nienaruszone, ale wydawało się bardziej zapadnięte. Nikt nie był w stanie określić, kim był ten człowiek, kto miał prawo do jego ciała i czy należy je w ogóle ruszać.

Dan stał długo nad ciałem, paląc papierosa. Potem ukląkł i powiedział do siebie:

- Ciało Willa Szekspira! Któż zatem jest pochowany obok Anny Hathaway w prezbiterium kościoła Świętej Trójcy w Stratford?

Zmumifikowana twarz szczyrzyła zęby i patrzyła na niego nie widzącymi oczami. Teraz dopiero, kiedy Dan wiedział już, do kogo należała, stwierdził jej wybitne podobieństwo do portretu namalowanego przez Martina Droeshouta. Pierwsze Folio zawierało reprodukcję tego portretu. Wyciągnął rękę i dotknął wysokiego czoła, ukrywającego kiedyś mózg, który stworzył Makbeta, Hamleta, Otella...

"Umierający spłaca wszelkie długi".

Dan poczuł, że ziemia drży i pieni się. Usłyszał odgłos ssania, podobny do szelestu, z którym beton zsuwa się w dół metalowej rynny. Zawahał się, ale wtedy poczuł ów zapach zetlałych modlitewników, zapach starości. Wycofał się z namiotu i poszedł w stronę zaparkowanej na boku, jasnożółtej koparki mechanicznej.

Uruchomił koparkę przy trzeciej próbie. Silnik dieslowski zaryczał, wyrzucając w poranne powietrze kłęby czarnego dymu. Dan wjechał niezdamnymi szarpnięciami w sąsiedztwo namiotu.

Strażnik, z rękami w kieszeniach, wyszedł z budy, żeby się przyjrzeć. Dan zasalutował... Strażnik odpowiedział tym samym gestem. Biedny frajerze - pomyślał Dan. - Zobaczysz, co się zaraz będzie działo.

Obniżył czerpak koparki i zaczął powoli jechać naprzód, zdzierając z powierzchni wykopaliska ogromne kupy szarej gliny, drewniane podpory, stare drzwi, narzędzia i gruz. Wtłoczył tę całą masę w namiot, który natychmiast runął. Potem wycofał się i znów nabrał gliny do czerpaka.

Przez chwilę myślał, że mu się upiekło, że pogrzebał Y'g Southothe'a bez żadnych kłopotów. Ale kiedy wycofywał koparkę po raz trzeci, grunt nagle wybuchł i błoto, jak czarna krew, obrzygło szybę pojazdu.

Dan mocował się z dźwignią biegów koparki, ale silnik przestał pracować, więc nie zostało mu nic innego niż patrzeć, jak grunt przed nim się gotuje i wypiętrza, tworząc ogromną górę płynnej gliny.

Belki i narzędzia fruwały wyrzucane we wszystkie strony. Grad kamieni i gruzu spadał z ogłuszającym hałasem na kabinę koparki.

Potem błoto rozstąpiło się, tworząc przerażającą przepaść, szybko rozszerzającą się i pogłębiającą. Dan poczuł obrzydliwy, zimny smród rzeźni, smród, który dochodził jakby spoza świata, a nie z jego wnętrza. Z wnętrza zaś wydobywały się, jedna za drugą, kule drżącego światła, jaśniejszego niż słońce. Kule pękały i wyrzucały z siebie błyszczące, czarne meandry napisu: "Y'g Southothe, Bóg nieskończonej przeszłości, Pan pierwotnego szlamu".

Nie wiedział, że krzyczy. Usłyszał tylko ryk zapuszczonego diesla koparki i wycie jej napędu. Potem zaczął spychać góry gliny w otwartą przepaść, cofał się raz po raz i spychał następne porcje, podczas gdy wykopalisko świeciło i trzęsło się od straszliwej mocy Y'g Southothe'a.

Nagle grzmot niesamowitej eksplozji rozdarł poranne powietrze. Wybuch usłyszano nawet w odległym o prawie trzydzieści kilometrów Croydon. Wydawało się, że nastąpiło pęknięcie materii, z której zbudowany jest świat. I tak rzeczywiście było.

Strażnik zobaczył, jak koparka rozpuszcza się, dając oślepiająco białe światło. Niebawem teren opustoszał, nie było widać nikogo. Żadnego światła, żadnych drgających kul. Pozostała tylko mgła i proporczyki, i ponure, niewidoczne barki na Tamizie.

Dopiero po miesiącu Rita otrzymała odręczne zapiski, wysłane do niej kiedyś przez Dana. Opuściła już Ettington Park i zamieszkała z rodzicami w Wiltshire. Większości z nich nie mogła zrozumieć. Ale ostatnia notatka, napisana na kartce wydartej z notesu reporterskiego, zawierała wiadomość o tak straszliwej logice, która omal nie przyprawiła jej o utratę zmysłów.

Wiem teraz na pewno, że to Y'g Southothe zmusił Szekspira do zbudowania teatru Globe, zabierając mu syna, Hamneta. W teatrze miał swoją kryjówkę i panował latami nad życiem jakubiańskiego Londynu. Jestem też przekonany, że to Szekspir spalił Globe, poświęcając życie, żeby wyzwolić tym samym Hamneta z rąk Y'g Southothe'a. Człowiekiem, który napisał ostatnie dzieło Szekspira, "Dwaj szlachetni krewni", nie był on sam, lecz jego syn, Hamnet, zreinkarnowany lub uwolniony; w to drugie będzie ci łatwiej uwierzyć. Według ówczesnych zapisów Hamnet "miał wygląd ojca", a po piętnastu latach spędzonych pod kuratelą Y'g Southothe'a mógł już wyglądać tak samo jak ojciec. Jestem przekonany, że to jest cała prawda o Szekspirze. Pamiętaj, że "nie mógł on dokończyć >>Dwóch szlachetnych krewnych<< i dopiero John Fletcher dopisał akt II, III i IV".

Nie wiem jeszcze, kim jest ten Y'g Southothe, ale z tego, co zrobił z Holmanem, wynika, że jest nieskończenie niebezpieczny. Ponieważ to ja jestem inicjatorem projektu przeprowadzenia prac wykopaliskowych, więc moim zadaniem jest pogrzebanie ciała. Wysyłam ci te kartki na wypadek, gdyby coś źle poszło.

Trzy dni później Rita pojechała pożyczonym od ojca samochodem do Stratford-on Avon i położyła mały bukiet kwiatów w kościele Świętej Trójcy na grobie, o którym myślano, że zawiera szczątki Willa Szekspira. Dołączony do bukietu napis głosił: "Hamnetowi - Wreszcie - Od Ojca, Który Kochał Cię Bardziej Niż Życie".



## SERCE HELEN DAY

Tumbleton, Alabama

Alabama znajdzie ciepłe miejsce w sercu każdego, kto kiedykolwiek ją zwiedził. Zwłaszcza południe Alabamy, w okolicy Zatoki Meksykańskiej, nisko położone i gęsto zalesione, o osobliwym, sennym charakterze. Nazwa stanu pochodzi od szczepu indiańskiego, który zamieszkiwał te tereny, nim przyszli biali ludzie. W 1763 roku Francuzi odstąpili tę ziemię Anglikom, na mocy pokoju zawartego w Paryżu, a pod koniec XVIII wieku Wielka Brytania scedowała ją Stanom Zjednoczonym. W 1819 roku Alabama została przyjęta do Unii, ale w 1860, razem z innymi "bawełnianymi" stanami, odłączyła się i wysłała większość białej, męskiej ludności na wojnę domową.

Po wojnie, wobec zdziesiątkowania białych, czarni uzyskali pewne wpływy, ale przez następne sto lat byli politycznie i rasowo dyskryminowani. W dalszym ciągu mają przed sobą długą drogę.

Alabama jest ciepła, przyjazna i zachęcająca. Przybysze traktowani są z szacunkiem i kurtuazją, zwłaszcza ci, którzy zatrzymują się w Sweet Gum Motor Court, dokąd teraz się udajemy.

Kiedy Martin wyjeżdżał z Tumbleton - położonego w Henry County w stanie Alabama - ogromna burza z wyładowaniami atmosferycznymi wisiała już w powietrzu. Na przedniej szybie wynajętego pontiaca zaczynały rozpryskiwać się duże, ciepłe krople deszczu. Przed nim, dalej na wschód, nad doliną Chattahoochee, rozciągała się ciemna kopała niebios, z odcieniem purpury, a odległe wzgórza lizane były językami błyskawic.

Za nim, na zachodzie, niebo pozostało jasne i bezchmurne. Martina kusilo, żeby zawrócić i pojechać z powrotem, ale był umówiony o szóstej po południu w Eufaula, odległym o kawał drogi, a poza tym wątpił, czy uda mu się prześcignąć zbliżającą się nawałnicę. Wiatr dął coraz silniej, a już w tej chwili ciągle jeszcze oświetlone słońcem drzewa chwiały się pod jego naporem jak ogarnięte paniką kobiety.

Włączył radio i nacisnął guzik "przeszukiwanie". Może znajdzie lokalną prognozę pogody. Złapał jakieś niewyraźne głosy. Jeden z nich był podobny do głosu jego byłej żony. Bezustannie: "ty draniu, ty draniu..." Znowu nacisnął "przeszukiwanie" i złapał: "Z-W-Ó-D zostanie ogłoszony dzisiaj".

"Rozwód" - ach, gównu! Że też musiał usłyszeć to słowo. Gdyby nie pojechał wtedy, pod koniec kwietnia, na seminarium handlowe do Atlanty... Gdyby nie poderwał w barze hotelowym tamtej dziewczyny... Gdyby Marnie nie przyleciała do Atlanty, żeby zrobić mu niespodziankę... Gdyby życie nie było tak cholernie zaskakujące i nie dające się przewidzieć.

Marnie zawsze mu powtarzała, że wystarczy jeden dowód jego niewierności, żeby zniszczyć jej zaufanie - i tak się stało.

Wraz ze swoimi prawnikami ogołociła go ze wszystkiego. Zabrała dom, samochody, obrazy, srebra, oszczędności. Nie wzięła Ruffa, psa myśliwskiego, ale następnego dnia po rozwodzie Ruff wysliznął się z obroży i zginął pod kołami ciężarówki.

Martin został zdegradowany do roli przedstawiciela Confederate Insurance na Alabamę i Luizjanę. Jeździł w starym stylu od miasta do miasta i sprzedawał tłustym, spoconym ówkom paki towarów po obniżonych cenach. Większość swoich klientów mógł określić kilkoma słowami: łysi, bigoci, noszący krawaty w przerażającym guście. Ale nie uskarżał się. Z własnej woli przyjął taką pracę. Miał doświadczenie i referencje wystarczające do znalezienia znacznie lepszej posady, lecz chciał (przynajmniej przez jakiś czas), żeby dni płynęły bezimiennie, a poza tym miał uczucie odkrywania Południa.

Były to dni parnej gorączki i zapachu sasafrasu; dni deszczu i jazdy mostami kratownicowymi przez rozlewiska; dni w małych miasteczkach roztapiających się pod niebem beżowym od kurzu. Wszędzie zaś byli zastępcy szeryfów w okularach odblaskowych.

Deszcz zacinął coraz mocniej. Martin włączył wycieraczki na najwyższe obroty, ale mimo to z trudem spełniały swoją funkcję. Ciemność zapadła tak nagle, że Martinowi wydało się, iż autostrada została ocieniona skrzydłem gigantycznego kruka. "Właśnie wtedy nadleciał potworny, czarny jak smoła kruk..."

Jechał dalej mając nadzieję, że burza zmniejszy swoją gwałtowność, ale po następnej godzinie ulewa była taka sama, a błyskawice wszędzie dookoła wykwiwały na kształt wysokich elektrycznych drzew. Musiał jechać coraz wolniej, schodząc do trzydziestu kilometrów na godzinę, ponieważ nie widział, dostatecznie dobrze drogi. Po obu stronach autostrady rowy były przepełnione brązową wodą, która miejscami wylewała się na jezdnię. System klimatyzacyjny pontiaca działał sporadycznie, więc Martin musiał przecierać szybę od wewnątrz, używając do tego swojej wymiętej chusteczki. Był przerażony na myśl, że z deszczu wychynie ciężarówka i zderzy się z nim czołowo. Albo też, co byłoby podobne w skutkach, inna ciężarówka najedzie na niego z tyłu. Przed dwoma dniami widział taki wypadek na autostradzie 331, kilka kilometrów na północ od Opp. Cała rodzina w samochodzie Chevy Blazer została zepchnięta z mostu w dół stromej

skarpy, gdzie potem leżeli porzuceni wśród bujnej zieleni chwastów, pokrwawieni, pogruchotani, wołając o pomoc.

Tej samej nocy obudził się w swoim pokoju w motelu i ciągle jeszcze słyszał ich krzyki. Znow błysnęło i natychmiast rozległ się rozdzierający niebo huk pioruna. Ulewa jeszcze przybrała na sile. Fontanny wody z łoskotem rozbijały się o spód pontiaca. Martin przetarł chusteczką szybę i wyężając wzrok zaczął się modlić o jakiś zjazd z autostrady, gdzie mógłby przeczekać burzę.

Po pewnym czasie zobaczył, poprzez deszcz i zamgloną szybę, bladą, rozmazaną plamę. Jakieś światło, a raczej znak świetlny. Zielony neon, który (kiedy Martin zwolnił i podjechał bliżej) ułożył się w napis: Sweet Gum Motor Court. Pod nim zaś migotał ospale inny napis "olne pokoje".

Panie, dziękuję Ci za wszelkie Twoje łaski, szczególnie zaś za Sweet Gum Motor Court w Henry County, w stanie Alabama, wraz z jego olnymi pokojami.

Zjechał z autostrady pochyłym zjazdem, który przy tej pogodzie przypominał wodospad. Zobaczył przed sobą ustawione w literę L dwa rzędy pokojów z drewnianymi werandami oraz dachami z blachy falistej, a z boku drewniany dom o dziwnych proporcjach, zbudowany z zachodzących na siebie desek, który z początku wydawał się szary, ale w świetle reflektorów okazał się jasnozielony. Wewnątrz świeciło się światło i widać było siwowłosego mężczyznę w czerwonej, kraciastej koszuli i w szelkach. Czuć było też (o Panie, naprawdę Ci dziękuję) zapach hamburgerów.

Zaparkował, jak tylko mógł najbliżej domu, potem otworzył drzwi pontiaca i pobiegł w płaszczu narzuconym na głowę w stronę jasno oświetlonej przedniej werandy.

Chociaż widział, że autostrada znajdowała się miejscami pod wodą, a wycieraczki z trudem odgarniały wodę z szyby, dopiero teraz odczuł, jaka to była nawałnica. W ciągu kilku sekund, które zajęło mu przejście od samochodu do domu, przemókł do nitki, a nowe jasnobrązowe oksfordy, które kupił w Dothan, wyglądały, jakby były z tektury.

Otworzył siatkowe drzwi, ale główne były zamknięte na klucz. Szarpał za klamkę, a potem zapukał w szybę swoją obrączką ślubną. Tak, ciągle nosił ślubną obrączkę. Miał w ten sposób łatwą wymówkę, kiedy uszmkowana na różowo dziwka siadała w barze obok niego i zadawała wyświechtane pytanie, czy nie trzeba mu odrobiny przyjaźni.

Nie potrzebował przyjaźni. Potrzebował gorących, nie kończących się dni; przeciętnych środowisk, w których obserwowanie muchy spacerującej po szybie okna jest interesującym zajęciem; burz elektrycznych, takich jak obecna. Szukał katharsis w zwyczajności i w poddaniu się przeznaczeniu.

Siwowłosa mężczyzna w czerwonej, kraciastej koszuli podszedł do drzwi. Z bliska okazał się bardziej szpetny i mniej gościnnie, niż wyglądał przez zasłonę padającego deszczu. Miał twarz,

która wyglądałaby lepiej, gdyby ją odwrócić brodą do góry, podobną do Ojca Muffaroo. Zmatowiałe, brązowe, podejrzliwe oczy wyglądały jak oliwki, które leżały zbyt długo w szafie kontuaru barowego.

- Czego pan chce? - krzyknął przez szybę.

- A jak pan myśli? - odkrzyknął Martin. - Niech pan na mnie spojrzy! Jestem przemoknięty! Potrzebuję pokoju!

Siwowłosa mężczyzna patrzył na niego bez odpowiedzi, jakby Martin mówił obcym językiem. Za chwilę podeszła do niego potężna kobieta w zielonej sukni, o włosach ufarbowanych henną i zapytała:

- Co tu się, do cholery, dzieje, Vernon?

- Człowiek chce wynająć pokój.

- Pokój?

- Tak powiedział.

- Więc, na litość boską, Vernon, jeżeli człowiek chce wynająć pokój, to otwórz drzwi i daj mu ten pokój. Nikt lepszy się nie trafi.

Przekręciła klucz i przytrzymała drzwi, żeby Martin mógł wejść. Przechodząc koło niej, Martin poczuł zapach smażonych hamburgerów, spoconych pach i perfum.

- Diabelna burza - oznajmiła, zamykając za nim drzwi i przekręcając klucz. - Proszę wejść do biura. Zaraz pana obsłużę.

Martin szedł za nią korytarzem wyłożonym czerwonym linoleum. Na ścianach wisiały poplamione przez wilgoć plakaty, reklamujące linie lotnicze "Bezpiecznej Szybkiej Komunikacji" Martza i wakacje na Bermudach. W pokoju stało brudne biurko, na którym brzęczał elektryczny wentylator. Na ścianie wisiała tablica z rzędami kluczy. Nie brakowało żadnego, więc Martin doszedł do wniosku, że jest jedynym gościem. Nic dziwnego, skoro potencjalnych klientów witał stary Vernon z jego odwrotnie ustawioną głową.

Na podłodze drzemał brązowy, kudłaty pies.

- Tylko nocleg? - spytała kobieta, przechodząc nad psem.

- Tak - odparł Martin. - Miałem spotkać się z kimś w Eufaula, o szóstej, ale nie mam szans dotarcia tam na czas. - Deszcz zadzwonił mocniej na szybach okna, jakby upewniał go, że podjął właściwą decyzję zatrzymując się tutaj, a pies poruszył się, śniąc zapewne o przepiórkach albo o hamburgerach.

Vernon stał przy wejściu do biura, drapiąc egzemę na łokciu.

- Znajdzie pan tu całkowity spokój. Nikt panu nie będzie przeszkadzał.

Martin wpisał się do rejestru. Stronice miały pozaciekane od wilgoci brzegi.

- Czy mogę gdzieś coś zjeść?

Kobieta popatrzyła na jego podpis. Potem powiedziała:

- Niecały kilometr stąd podawali na obiad dobre żeberka, ale tam już zamknięte. Właściciel odstrzelił sobie łeb z dubeltówki. Interes szedł kiepsko, no i w ogóle.

Spojrzała na niego wiedząc, że nie odpowiedziała mu na pytanie.

- Mogę przygotować panu jajka na boczku albo mieloną wołowinę z puszki, albo coś podobnego.

- Może jajka na boczku - zdecydował Martin.- I jeszcze... czy mógłbym się wysuszyć i skorzystać z telefonu?

Kobieta zdjęła z tablicy jeden z kluczy i podała Vernonowi.

- Numer dwa będzie najlepszy. Jest blisko biura i nowe łóżko.

Otworzyła frontowe drzwi i Vernon wyprowadził go znów na deszcz. Betonowy parking pełen był wody i jasnobrązowego szlamu. Martin wyjął z bagażnika pontiaca swoją walizkę i poszedł za Vernonem do pierwszego rzędu pokoi. Vernon stał zgarbiony, z ociekającą siwą głową, próbując znaleźć dziurkę od klucza. W końcu udało mu się otworzyć drzwi i zapalić światło.

Numer dwa był brudnym pokojem z czerwoną wykładziną na podłodze i musztardowego koloru kapą na łóżku. Dwie osłonięte lampy stały po obu stronach łóżka, a jeszcze jedna na tanim, lakierowanym biurku. Martin postawił walizkę i podał Vernonowi dolara, ale ten machnął protestująco ręką.

- Nie trzeba, proszę pana. Nie tutaj... w taką noc. Wystarczy, jeżeli pan przed wyjazdem zapłaci.

Martinowi przemknęło przez głowę, że - co było rzadkie w tych czasach - jego karta kredytowa nie wywarła na kobiecie żadnego wrażenia.

- Niedługo będzie jedzenie - powiedział Vernon. - Chce pan się czegoś napić? Może piwa?

- Parę litesów może się przydać.

- Te światła nie wystarczą?

- Nie o tym mówię. Mam na myśli lites w sensie piwo gatunku lite.

- Piwo lite - powtórzył Vernon, jak gdyby Martin mówił o czymś tajemniczym, a on był zbyt nieśmiały, żeby zapytać, co to znaczy.

- Miller Lite, Coors Lite... jakiegokolwiek.

- Coors Lite - powtórzył Vernon tym samym tonem zaskoczenia.

Wyszedł z pokoju, zamykając starannie drzwi za sobą. Trochę napęczniały od wilgoci i trzeba je było szarpnąć.

Martin wydał głośne westchnienie ulgi, przeczesał palcami mokre włosy, zdjął pociemniały na ramionach płaszcz i poluźnił mokry krawat, który przy tym zaskrzypiał, jak gdyby ktoś przejechał paznokciami po szkle.

Pchnął drzwi do łazienki i zobaczył ściany pomalowane na ponury zielony kolor i zasłone prysznicu, ozdobioną wypłowiałym rzucikiem w ryby z mórz południowych. Na półce spoczywały cztery duże, zwinięte ręczniki; trzy z nich nosiły napis "Holiday Inn", czwarty - "Tropicana Hotel, Key Largo". Rozebrał się i wytarł, a potem włożył czystą piżamę i niebieski, jedwabny płaszcz kąpielowy i uczesał się. Miał nadzieję, że Vernon przyniesie mu zaraz piwo: zaschło mu w gardle i czuł, że się przeziębził.

Rozejrzał się, szukając telewizora. Może w telewizji kablowej będzie jakiś film na dzisiejszy wieczór. Ku jego zdumieniu w pokoju nie było telewizora. Nie mógł w to uwierzyć. Co to za motel, który nie ma telewizora? Jediną rozrywką była talia pornograficznych kart i stare radio Zenith. Gówno.

Otworzył drzwi wejściowe i wyjrzał na zewnątrz. Deszcz lał w dalszym ciągu. Woda w beczce przy sąsiednim rzędzie pokoiów przelewała się z hałasem. Gdzieś pluskała woda lejąca się z uszkodzonej rynny. Nie było ani śladu Vernona. Nie był niczego prócz ponurego, zielonego napisu "olne pokoje".

Zamknął drzwi z powrotem. Przypomniawszy sobie czasy, kiedy przeklinał Howard Johnson's za ich standardowość i brak wygód. Ale Howard Johnson's to raj w porównaniu ze Sweet Gum Motor Court, który dawał mu zaledwie ochronę przed deszczem i przed niebezpieczeństwami na autostradzie.

Usiadł przy biurku i podniósł telefon. Po długiej chwili, kiedy słyszał tylko trzaski w słuchawce, odezwał się głos rudej kobiety.

- Czegoś pan sobie życzy?

- Tak. Chciałbym zamówić rozmowę z panem Dickiem Bogdanovichem z Chattahoochee Moldings, Inc. w Eufaula.

- Smażę teraz pańskie jajka na szynce. Co pan chce mieć najpierw: rozmowę czy jajka?

- Hm... rozmowa jest dość pilna. On zwykle wychodzi z biura o pół do ósmej.

- Jajka będą do wyrzucenia... o ile już się nie spaliły.

- Czy mogę sam wykręcić numer?

- Obawiam się, że nie. Nie z pokoju. Gdyby to było możliwe, goście telefonowaliby do swoich ukochanych w Atenach, w Georgii, albo nawijali godzinami ze swoimi starymi w Wolf Point, w Montanie. Dochód z tego interesu jest na to za mały.

- Proszę pani, chcę tylko odbyć jedną piętnastosekundową rozmowę z Eufaula, żeby zawiadomić klienta, że nie mogę się z nim spotkać dziś wieczór. To coś innego niż godzinna rozmowa z Wolf Point w Montanie - odparł Martin, zastanawiając się, co ją zainspirowało, że powiedziała właśnie "Wolf Point, Montana"?

- Przykro mi, ale nie może się pan połączyć prosto z pokoju... Czuję, jak pali się białko.

W słuchawce nastąpił trzask, a potem słyszał jedynie skwierczenie. Mogło to być skwierczenie jajek na patelni albo zakłócenia z linii. Nie miało to wielkiego znaczenia. Smażenie czy zakłócenia - ani jedno, ani drugie nie rozwiązywało jego kłopotu.

Jajka na szynce pojawiły się piętnaście po ósmej. Przyniósł je Vernon, przykryte aluminiową pokrywką, zroszoną kroplami deszczu. Miał na sobie wojskową kurtkę koloru khaki, bardzo pociemniałą wskutek deszczu.

- Deszcz i deszcz, i jeszcze raz ten cholerny deszcz - powiedział Vernon, stawiając talerz na biurku.

- Nie ma noża, nie ma widelca - zbuntował się Martin. - Nie ma piwa.

- Och, mam to wszystko tutaj - oznajmił Vernon i pogrzebał w kieszeniach kurtki.. Wyjął nóż, widelec, serwetk papierowe, sól, pieprz, keczup i trzy butelki zimnego piwa Big 6.

- Denise usmażyła drugi raz jajka, bo poprzednie się spaliły.

Martin podniósł aluminiową pokrywkę. Jajka na bekonie wyglądały apetycznie: stos cienkich chrupiących plasterków bekonu, trzy sadzone, duże wiejskie jajka, tosty, smażone pomidory, smażone ziemniaki, chrupki.

- Proszę jej podziękować.

- Ona policzy panu za dodatkowe jajka.

- W porządku. Proszę jej podziękować.

Kiedy Vernon wyszedł, starannie zamykając drzwi za sobą, Martin ulokował się w łóżku, z kolacją na brzuchu, i włączył radio. Parę chwil trwało, nim radio się rozgrzało, skala zaczęła świecić i rozszedł się dawno zapomniany zapach przypalanego kurzu, wydzielany przez radio Zenith jego babki, ilekroć je włączał.

Kręcił brązową, bakelitową gałką strojenia, ale wszędzie słyszał tylko gwizdy i szumy albo nieznośne skwierczenie, albo też głosy, ale tak zakłócone i przerywane, że nie można ich było zrozumieć. W chwili kiedy zaczynał jeść drugie jajko, nagle usłyszał głos, który był względnie czysty.

"...Ósma trzydzieści wschodniego czasu... Audycja sponsorowana przez Song O' The South Soda, nadawana dla was z Dauphin Street Studios w Mobile, w Alabamie... A oto dalszy ciąg słuchowiska... Serce Helen Day z udziałem Randy'ego Pressburgera, Johna McLarena, Susan Medici. W roli Helen Day... Andrea Lawrence..."

Martin pokręcił gałką, ale dalej były znów syki, trzaski i ledwie słyszalna aranżacja jazzowa starej murzyńskiej ballady Nie przerywać kręgu. "...ze starego okna widziałem, jak w pochmurny i zimny dzień powoli toczył się karawan... to Chief Jolly odchodził w cień..."

Pomyślał sobie, że jakoś wytrzyma bez pieśni pogrzebowej i wrócił do Serca Helen Day. Okazało się, że jest to gawędziarski, romantyczny serial reklamowy, którego tematem były przygody pewnej obrotnej dziewczyny, pracującej dla twardego, prywatnego detektywa i tracącej serce dla jego kolejnych klientów, mimo że twardy detektyw kochał ją nad życie.

Martin zjadł kolację i wypił dwie butelki piwa, przysłuchując się z rozbawieniem serialowi. Był w stylu lat trzydziestych: wszyscy aktorzy mówili energicznymi głosami, ucinając końcówki wyrazów, podobnie jak w Jednoosobowej rodzinie albo W Pościgu o wschodzie słońca.

"On jest niewinny, mówię ci. Wiem, że jest niewinny".

"Skąd możesz o tym wiedzieć? Nie masz żadnego dowodu".

"Poznałam to po jego oczach. Stąd wiem".

"Ty poznałaś po jego oczach, a ja przeszukałem jego pokój hotelowy".

"Ach, Mickey. Popatrzyłam mu w twarz i zobaczyłam samą niewinność".

"Popatrzyłaś mu w twarz? To niezwykle. Nie wiedziałem, że podnosisz wzrok powyżej portfela mężczyzny".

Tematem bieżącego odcinka była sprawa słynnego dyrygenta, oskarżonego o wyrzucenie przez okno, na siódmym piętrze hotelu, pięknej, ale niewiernej śpiewaczki. Jego alibi opierało się na fackie, że w tym samym czasie dyrygował orkiestrą w studiu nagrań. Ale Helen Day podejrzewała, że uciekł się do zastępstwa.

Martin wstał z łóżka, podszedł do drzwi i otworzył je. W pokoju zrobiło się duszno i czuć było zapach jedzenia. Postawił na drewnianym chodniku swój talerz, który natychmiast wypełnił się wodą z kółkami tłuszczu.

"To nie mógł być Philip. Philip, nim zacznie dyrygować, zawsze uderza trzy razy batutą w pulpit... a w tym nagraniu dyrygent ani razu nie uderzył w pulpit".

Martin stał oparty o framugę drzwi, patrząc na odległy taniec błyskawic i obserwując, jak w beczce przelewa się woda, a szlam tworzy na parkingu miniaturę delty Missisipi.

W pokoju paplanina w radiu wciąż trwała, przerywana od czasu do czasu muzyką i reklamami.

"Audycję Serce Helen Day nadaje dla was Song O' The South Soda... soda, która tak odświeża, że całe Południe śpiewa... "

Nastąpił dalszy ciąg serialu. Helen Day opowiadała podczas cocktailparty o swojej zasludze w rozwiązaniu sprawy Philipa, dyrygenta, który miał zwyczaj uderzać w pulpit. Martin wypił swoje trzecie i ostatnie piwo prosto z butelki. Ciągle się dziwił, że radiostacja zdecydowała się na nadawanie tak bombastycznej, staroświeckiej audycji w czasach, kiedy telewizja emitowała Dożywocie i Simpsonów, a pasmo FM zapewniało najwyższą jakość odbioru. Można to było odbierać wszędzie, z wyjątkiem Sweet Gum Motor Court, w Henry County, w stanie Alabama.



"Był taki przystojny. Wiedziałam jednak, że w rzeczywistości był nikczemny".

Nagle, w dalszym planie, rozległ się trzask otwieranych drzwi. Potem łoskot czegoś padającego. Przytłumiony głos powiedział: "Wynoś się stąd, tu nie wolno wchodzić, jesteśmy na antenie!" Potem rozległ się krzyk i trzask, jakby ktoś uderzył w mikrofon.

Martin najpierw sądził, że to jest fragment akcji. Ale krzyki i odgłosy walki były w tak dalekim planie, że szybko się zorientował, iż w studiu radiowym znajduje się jakiś intruz, prawdziwy intruz, a aktorzy i obsługa próbują go uspokoić. Nastąpił jeszcze jeden splot dźwięków, a po chwili niewiarygodnie długi, przeraźliwy krzyk, narastający do granic hysterii.

Potem usłyszał najbardziej przerażającą rzecz w całym swoim życiu. Odwrócił się od drzwi i patrzył na radio z wybaluszonymi oczami; z przerażenia czuł mrówki pod włosami.

"O Boże! O Boże! John! John! Boże, pomóż mi! Rozciął mi brzuch! O Boże! Żołądek mi wychodzi!"

Odgłos, jakby ktoś upuścił mokry ręcznik. Potem więcej krzyków i więcej głuchych uderzeń. Przerażony, nosowy głos wołający: "Ambulans! Na Chrystusa, Jeff! Przyrowadź ambulans!" Wreszcie ostry trzask i program się urwał.

Martin usiadł na łóżku, obok radia, czekając na dalszy ciąg programu albo na jakąś zapowiedź ze studia. Ale słyhać było tylko szum, który trwał i trwał, jak podróż autobusem podczas mgły po nie kończącej się, nieznanej autostradzie.

Próbował przestrajać radio, ale znów łapał te same trzaski albo odległe głosy śpiewających Murzynów. "Zobaczyłem... jak obracają się koła karawanu... który zabierał... moją matkę..."

Czy oni śpiewają tylko pieśni pogrzebowe?

Krótko po jedenastej wyłączył radio, umył zęby i położył się do łóżka. Nie mógł zasnąć, więc słuchał deszczu i myślał o Sercu Helen Day. Doszedł do wniosku, że jeśli aktorka rzeczywiście została zaatakowana w studiu radiowym, to doniosą o tym w porannych wiadomościach. A może wszystko razem było częścią serialu? Ale przecież - aż do tego momentu - audycja toczyła się normalnie, chociaż była śmiesznie staromodna. Być może chodziło o żart w rodzaju tricków z Wojny światów, by przestraszyć słuchaczy.

A może to zdarzyło się naprawdę i Helen Day rzeczywiście wycięto serce.

Vernon zbudził go o siódmej rano, pukając do drzwi. Padało, chociaż już nie tak rzeświście. Vernon przyniósł naleśniki z syropem i gorącą kawę. Postawił je na biurku i pociągnął nosem.

- Dziękuję - powiedział Martin, przecierając twarz rękami.

- Nie ma o czym mówić.

- Hej... Zanim pan pójdzie... Oglądał pan poranne wiadomości?

- Wiadomości?

- Dziennik telewizyjny... No wie pan, co się dzieje w świecie.

Vernon, patrząc podejrzliwie, potrząsnął przecząco głową.

- Nie słyszał pan o zamordowaniu aktorki radiowej podczas audycji?

- Nie... O niczym takim nie słyszałem. Słyszałem natomiast, że autostrada stąd aż do Eufaula jest zalana, a tak samo autostrada 54, między Lawrenceville i Edwin. Musi pan cofnąć się do Graball i pojechać autostradą 51 przez Clio. Jeśli, oczywiście, ciągle ma pan zamiar pojechać do Eufaula. Nie cierpię tej miejscowości.

- Nie... - odparł Martin, popijając kawę. - Ja też jej nie lubię.

Po śniadaniu spakował walizkę i rozejrzał się po pokoju, żeby się upewnić, czy czegoś nie zostawił. Zatrzymał się w otwartych drzwiach, słuchając jak deszcz kapie z rynien, i spojrzał na radio. Czy mu się śniło? Pewnie nigdy się nie dowie.

Postawił walizkę, podszedł do radia i włączył je. Kiedy się rozgrzało, usłyszał ciąg trzasków... Nagle aż podskoczył: odezwał się głos anonsującego spikera: "...Helen Day nadaje dla was Song O' The South Soda..."

Słuchał w napięciu, stojąc na środku pokoju; drzwi były otwarte. Nadawano ten sam epizod co ostatniej nocy: historia dyrygenta, który nie stukał w pulpit. Później te same słowa: "Był taki przystojny, wiedziałam jednak, że w rzeczywistości był nikczemny".

Potem znów usłyszał otwieranie drzwi, krzyki, uderzony mikrofon, bójkę... I ten straszliwy krzyk mordowanej kobiety.

O Boże! O Boże! John! John! Boże, pomóż mi! Rozsiął mi brzuch! O Boże! Żołądek mi wychodzi!"

I koniec. Dalej tylko trzaski i syki, a czasem skwierczenie na skutek wyładowań atmosferycznych.

Czuł suchość w gardle. Czy to była powtórka? Czy to były wiadomości? Jeżeli to były wiadomości, to dlaczego bez komentarza? Stał z ręką na ustach, zastanawiając się, co powinien zrobić.

Przyjechał do Mobile późnym wieczorem. Niebo było purpurowe, a w powietrzu czuło się jeszcze wyraźnie ozon.

Podróżował przez całą północną Florydę autostradą nr 10, kiedy dojechał do ostatniego skrzyżowania w Polecat Bay i skręcił w stronę odbijających się w wodzie światel doków, był już sztywny i zdrętwiały i potrzebował tylko mocnego drinka i całej nocy niezakłóconego snu. Przedtem jednak postanowił odszukać studio radiowe Dauphin Street.

Zajął mu to ponad godzinę. Dauphin Street Studios nie figurowały w książce telefonicznej. Dwaj policjanci też o nich nie słyszeli, za to poprosili go podejrzanie przymilnymi głosami, żeby

im pokazał prawo jazdy i dowód ubezpieczenia. W końcu zaparkował w pobliżu skrzyżowania z Florida Street i wszedł do hałaśliwego, zatłoczonego baru o nazwie Cat's Pyjamas. Zagadnął barmana, którego łysa głowa w świetle padającym z półek miała niesamowity niebieski odcień.

- Dauphin Street Studios zamknięto przed wojną, w czterdziestym pierwszym lub w czterdziestym drugim. Niech pan spyta Harry'ego. Pracował tam, kiedy był młody. Był technikiem w studiu albo czymś takim. Jest tutaj, siedzi w drugiej wnęce.

Harry okazał się przyzwoitym, emerytowanym facetem o krótko ostrzyżonej siwej czuprynie i ziemistej cerze. Mówił cichym, szemrzącym głosem. Martin usiadł naprzeciw niego i Powiedział:

- Podobno pracował pan w Dauphin Street Studios?

Harry spojrzał na niego ze zdziwieniem.

- Co to za pytanie?

- Interesuje mnie coś, co tam się wydarzyło.

- Ostatnią audycję nadano z Dauphin Street Studios siódmego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, kiedy to WMOB zostało zrujnowane. To było wieki temu.

- Napije się pan? - spytał Martin.

- Jeśli pan stawia. Dziki Indyk z lodem.

- Pamięta pan serial reklamowy pod tytułem

Helen Day?

Zaległa długa cisza. Przerwał ją Harry.

- Oczywiście, że pamiętam. Wszyscy pamiętają Helen Day. Ten program przyczynił się do upadku WMOB.

- Niech pan mi o tym opowie.

Harry wzruszył ramionami.

- Niewiele jest do opowiadania. Dziewczyna, która grała rolę Helen Day, była rzeczywiście piękna... Nigdy, nawet do tej pory, nie widziałem piękniejszej. Nazywała się Andrea Lawrence. Blondynka, inteligentna. Kochałem się w niej, zresztą wszyscy inni także. Dostawała masę najrozmaitszych telefonów i listów. W tamtych czasach wystarczyło być tylko radiową gwiazdą, żeby mieć do czynienia z całym tym zwariowanym kramem, który towarzyszy wszystkim innym gwiazdom. Pewnego dnia Andrea zaczęła otrzymywać pogróżki. Obrzydliwe telefony, grożące: "Wypruję ci flaki podczas transmisji" i inne, podobne.

- I tak się rzeczywiście stało? Zamordowano ją w studiu?

- To była najstraszniejsza rzecz, jaką widziałem w życiu. Byłem młodym chłopakiem, miałem zaledwie dziewiętnaście lat. Od tamtego zdarzenia przez wiele lat dręczyły mnie koszmary. Jakiś

facet wdarł się do studia. Nawet nie zobaczyłem noża, ale policjanci powiedzieli, że był potężny... Był to nóż do zarzynania świń. Wbił go w dolną część jej brzucha i pociągnął do góry. Stało się to tak szybko, że wydało mi się, iż zadaje jej cios pięścią. Potem wszystkie jej wnętrzności wypłynęły na podłogę studia. Całe lata śniły mi się koszmary.

Martin oblizwał wargi. Brakowało mu śliny w ustach.

- Złapali go? Tego faceta, który ją zabił?

Harry zaprzeczył ruchem głowy.

- Było za dużo zamieszania. Wszyscy byli zbyt wstrząśnięci. Nim zorientowaliśmy się, co się stało, już gdzieś prysnął.

Policjanci przeczesali miasto, ale go nie znaleźli. Serce Hellen Day zeszło oczywiście z programu, a niewiele później WMOB rozpadło się i zaprzestało działalności. Trzeba dodać, że i tak stopniowo zabijała je już telewizja.

- Czy ten program zarejestrowano?

- Naturalnie. Nagrywaliśmy wszystko.

- Czy to możliwe, żeby ktoś go znowu nadawał?

- Co?

- Słyszałem go. Złapałem epizod, w czasie którego została zamordowana. Słyszałem wszystko... Nawet jak mówi: "O Boże, rozciął mi brzuch".

- To niemożliwe.

- Słyszałem to. Słyszałem to dwa razy. Harry patrzył na Martina jak na wariata.

- To absolutnie niemożliwe. Po pierwsze, była tylko jedna taśma, moja taśma-matka, którą spalono, wraz ze wszystkimi innymi taśmami WMOB, w styczniu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Widziałem na własne oczy spaloną szpulę. Po drugie, kiedy facet wtargnął do studia, wyłączył przypadkowo magnetofon. Samo morderstwo nie zostało nagrane.

Jeśli pan to słyszał, to znaczy, że usłyszał pan duchy.

- Duchy? Nie sądzę. Słyszałem to bardzo wyraźnie.

- No cóż... Nie jest pan jedynym, który słyszał głosy z przeszłości. Czytałem kiedyś, że jakiś gość z Montany słyszał w radiu samochodowym, jak jego zmarła matka kłóci się z jego zmarłym ojcem, kiedy tylko bije piorun.

Martin był już gotów do wyjścia, ale pochylił się w stronę Harry'ego i zapytał:

- Kiedy tylko bije piorun? Jak to możliwe?

- Nie wiem. Pozornie nie ma żadnego związku. Ale teoria głosi, że mózg ludzki rejestruje zdarzenia w postaci impulsów elektrycznych, prawda? W normalnych warunkach przechowuje je w swojej pamięci. Ale przy pewnych warunkach atmosferycznych następują wyładowania tych impulsów,

i to tak silne, że mogą zostać złapane przez odbiornik radiowy. W tamtym wypadku przez odbiornik tego faceta. Oczywiście działa to na niewielką odległość. Dwudziestu pięciu metrów, nie więcej.

Do dwudziestu pięciu metrów. Kto przebywał w odległości dwudziestu pięciu metrów od starego radia Zenith, kiedy były pioruny? Kto był wystarczająco stary i wystarczająco zwariowany, żeby zaatakować Andreę Lawrence, lata temu, w Dauphin Street Studios? Kogo nie mogła znaleźć w mieście policja - może dlatego, że tam nie mieszkał?

Nie było dowodu. Absolutnie żadnego dowodu. Ale tylko morderca - oprócz aktorów i techników - słyszał ostatnie słowa Andrei... Tylko on mógł je zapamiętać. Tak więc pewnej burzowej nocy, blisko czterdzieści lat później, jego pamięć wysłała sygnał odebrany przez stare radio.

Późnym popołudniem Martin wrócił swoim zabłoconym pontiakiem do Sweet Gum Motor Court. Było nieznośnie parno, prócz tego wokół roznosił się zapach schnącego szlamu i karmy dla kurcząt. Zaparkował i znużony wysiadł z samochodu.

Zapukał do siatkowych drzwi. Musiał długo czekać, nim ktoś odpowiedział. Kudłaty brązowy pies siedział opodal i ciężko dysząc obserwował go. W końcu pojawił się Vernon i otworzył drzwi.

- Znowu pan - stwierdził podejrzliwie.

- Jest tu gdzieś Denise?

- Czego pan od niej chce?

- Prawdę mówiąc, chciałbym porozmawiać z panem.

- O czym?

- Chciałbym zadać panu parę pytań w związku z Andreą Lawrence. Słyszał pan o niej? Grała rolę Helen Day w serialu Serce Helen Day.

Nastała długa cisza. Jego oczy błyszczały za szybą. Potem klucz obrócił się w zamku.

- Niech pan wejdzie. Proszę pójść do biura. Za parę minut tam przyjdę.

Kobieta o zmęczonej twarzy wyjęła spinki z włosów i potrząsnęła głową, żeby się rozsypały. Resztki jej kolacji, stojące na stole, zwabiły dwie natrętne muchy. Sięgnęła po szklankę z whisky, wypła łyk i zakaszła.

Nie mogła uwierzyć, że w pokoju nie ma telewizora. Gdyby nie ta nocna burza, to pojechałaby dalej, do jakiegoś przyzwoitszego motelu. Ale połowa dróg była zalana, a poza tym bała się błyskawic.

Włączyła radio. Usłyszała zniekształcony dżez, muzykę taneczną, jakąś murzyńską pieśń pogrzebową. Potem dwa głosy, które wydawały się epizodem ze sztuki radiowej. Położyła się na łóżku, zamknęła oczy i słuchała. Gdyby tylko jej mąż mógł ją teraz widzieć.

"Znowu pan".

"Jest tu gdzieś Denise?"

"Czego pan od niej chce?"

"Prawdę mówiąc, chciałbym porozmawiać z panem".

Kobieta wypła łyk whisky. Gdzieś blisko uderzył piorun. Deszcz zaczął padać mocniej.

"Wczoraj w nocy usłyszałem przez radio coś niezwykłego".

"Cóż to było takiego?"

"Usłyszałem... hej, co pan robi? Co, do diabła, ma pan zamiar zrobić? Idź precz... aach! Jezu Chryste! Aaaachhhh! Jezu Chryste! Rozciąłeś mnie! O Jezu Chryste, rozprułeś mi brzuch!"

Słumione uderzenia. Odgłos przewracanego krzesła. Ochryply bełkot, niemożliwy do odczytania.

Potem okropne sapanie:

"Pomóż mi, na Chrystusa Pomóż mi!"

"W czym ci pomóc? Pomóc ci, żeby mnie i Denise posadzili za morderstwo? Albo zabrali do domu wariatów?"

"Pomóż mi, Jezu, tak strasznie cierpię!"

"A Denise nie cierpiała, kiedy słuchała co tydzień o Helen Day i o tym, jak zdobywa mężczyzn jednym mrugnięciem oka, podczas gdy jedyny narzeczony Denise rzucił ją dla podobnej do Helen dziewczyny? Czy wyobrażasz sobie, jak ona cierpiała?"

"Pomóż mi, Vernon."

"W niczym ci nie pomogę. Jesteście wszyscy tacy sami. Zostawiacie Denise dla waszych kochanek..."

Rozległ się krzyk, jakby krzyk sowy rozdieranej żywcem przez kojota. Potem nie było już nic prócz białego szumu, który trwał i trwał... Bez końca.

Kobieta spała. Biały szum trwał i trwał, jak podróż autobusem, w gęstej mgłę, po nie kończącej się autostradzie. Parę minut po trzeciej nad ranem drzwi pokoju otwarły się cicho i jakiś cień wśliznął się do środka, ale kobieta tylko mruknęła i przewróciła się na drugi bok.

## SKARABEUSZ Z JAJOUKI

Fez, Maroko

Poznałem Maroko dzięki nie żyjącemu już Brionowi Gysinowi, którego mistyczna powieść *Proces* jest niezwykle przegładem reakcji psychicznych i wierzeń mieszkańców północnego obrzeża Sahary. Rozmawialiśmy o tej sprawie w marcu 1970 roku, w pewnej restauracji w Covent Garden. Do tej pory przechowuję zapiski, które porobiłem wówczas na serwetkach stołowych.

Opowiadanie to dedykuję Brionowi - zdumiewającemu malarzowi i błyskotliwemu pisarzowi, jednemu z największych, choć niedocenionych talentów XX wieku.

"Maroko jest gościnne aż do przesady, ale stanowi kraj pełen tajemnic, a co więcej - kraj rozkoszujący się swoimi sekretami. Jajoukański skarabeusz jest jedną z jego największych tajemnic i trzeba by człowieka znacznie bogatszego ode mnie, żeby ją zbadać.

Fez jest świętym miastem islamu, położonym malowniczo w dolinie Sebu, otoczonym sadami owocowymi, plantacjami oliwek i gajami pomarańczowymi. Meczet Mulai Idris, wzniesiony ponad tysiąc lat temu przez założycieli Fezu, jest tak święty, że żadnemu chrześcijaninowi ani Żydowi nie wolno nawet zbliżyć się do niego. Karueen jest największym meczetem w Afryce: uczęszcza do niego regularnie ponad tysiąc uczniów studiujących klasyczne prawo arabskie i teologię islamską.

Zwiedzanie Fezu przynosi niesamowite, niezapomniane przeżycia. A daleko od Fezu, wysoko w górach Rif można przeżyć coś szczególnie porywającego.

Dwadzieścia siedem lat później w foyer hotelu Splendid w Port-au-Prince podszedł do niego niski, czarny mężczyzna o ptasiej urodzie, w okularach mających złotą oprawę, ubrany w nieskazitelnie biały garnitur.

Mężczyzna zdjął kapelusz, odsłaniając łysą głowę, przypominającą wypolerowany orzech brazylijski. Jego przednie zęby były ze szczerzego złota.

- Czy mam zaszczyt z doktorem Donnellym? – Jego akcent wskazywał raczej na pochodzenie algierskie lub marokańskie niż na haitańskie.
- Tak. Nazywam się Grant Donnelly.
- Od wielu lat pragnąłem pana poznać. Podziwiam pańskie osiągnięcia.
- To bardzo miło z pańskiej strony. A teraz, jeśli pan pozwoli...

Petra, żona Granta, czekała na niego przy oszklonych drzwiach, wiodących do ogrodu. Złapała jego wzrok i podniosła rękę.

Grant chciał odejść, ale mężczyzna dotknął jego rękawa.

- Doktorze, proszę... Zanim pan pójdzie. Przestudiowałem wszystkie pańskie prace naukowe i wszystkie pańskie książki. Są drobiazgowe i wszechstronne. Brakuje w nich jednak pewnego ważnego szczegółu.

- Rzeczywiście?

- Jak to się stało, że wielki ekspert napisał Owady Afryki Północnej bez wzmianki o jajoukańskim skarabeuszu? - Mężczyzna puścił rękaw marynarki Granta. Uśmiechał się bez przekonania. Słońce odbijało się w jego okularach, tak że chwilami wyglądał jak niewidomy. - Jestem bogatym człowiekiem, doktorze Donnelly. Oferuję dużą sumę pieniędzy za informację, dzięki której mógłbym znaleźć jajoukańskiego skarabeusza.

Grant ledwo dostrzegalnie pokręcił głową: Słowa mężczyzny przywiodły mu na myśl muzykę fletową, aromat kifu i jedwabiste szmery rozmów - to wszystko, co zapada na zawsze w serca ludzi, którzy kiedykolwiek podróżowali do granic Sahary.

- Zrobię z pana bogatego człowieka, doktorze Donnelly, jeśli wskaże mi pan miejsce, gdzie można znaleźć tego skarabeusza.

- Nie ma takiego chrząszcza - powiedział nieco niepewnie Grant.

Mężczyzna przechylił na bok głowę i spojrzał na niego z pogardliwą nieufnością.

- Nie ma takiego chrząszcza, doktorze Donnelly? Naprawdę?

- Niech pan mi uwierzy - upierał się Grant - to jest mit. To jest opowiadanie, wymyślone przez marokańskich bouhanis, żeby naciągać ludzi z Zachodu. Nie ma takiego chrząszcza. Jeśli ktokolwiek twierdzi inaczej, to znaczy, że chce z pana zakpić.

- Nie ma takiego chrząszcza, panie - zakończył temat

Hakim. - Opowiedziano panu same kłamstwa.

Grant wytrząsnął następnego papierosa Casa Spoft z pogniecionej, papierowej paczki.

- Hakim, rozmawiałem z profesorem Hemmerem z Instytutu Historii Naturalnej w Tangerze. On wie wszystko o tym skarabeuszu.

- Więc jemu też naopowiadano kłamstw.

Roanowa odbywała się na Starym Mieście, wczesnym latem 1967 roku, w kawiarni Fuentes na Socco – małym placyku, gęsto usianym kafejkami, straganami Hindusów i sklepami z biżuterią, oferującymi szwedzkim turystom szwajcarskie zegarki o podejrzanej proveniencji. Pili miętową herbatę i jedli pączki gęsto obsypane cukrem, a Hakim palił kif. Osobliwy, aromatyczny dym



unosił się nad placikiem i niknął w bladofioletowym powietrzu. Wewnątrz jasno oświetlonej kawiarni starzy mężczyźni w pasiastych dżelabijach słuchali kairskiego radia na falach krótkich.

- Profesor Hemmer był pewien, że to jest bardzo mały chrząszcz z rodziny skarabeuszów - powiedziała Suzanna.

Hakim popatrzył na nią ciemnymi, nieprzeniknionymi oczami.

- Profesor Hemmer jest Niemcem. Nie wie, co istnieje, a co nie istnieje.

Grant zapalił papierosa, wciągnął dym i zaniósł się kaszlem.

Dym smakował tak, jakby tytoń był nasiąknięty miodem, cynamonem i roztopionym na słońcu asfaltem.

- Zdaje się więc, że odbyliśmy taki kawał drogi na próżno. Wielka szkoda. Uniwersytet przeznaczył na nasz projekt sumę znacznie przewyższającą potrzeby, więc zostało jeszcze mnóstwo pieniędzy.

- Całe bogactwo Ameryki nie jest w stanie zmienić rzeczywistości - odparł Hakim.

Grant poprawił się na swoim niewygodnym krześle z giętego drzewa. Oboje z Suzanną pracowali w Maroku już od siedmiu i pół miesiąca, więc zdążył się przyzwyczaić do niejasności i wymijającego charakteru rozmów towarzyszących wszystkim zawierany tu interesom. Ale przebyli tego dnia szmat drogi, był zmęczony, tak że powtarzające się ze strony Hakima zaprzeczenia zaczynały go denerwować.

Skończyli przewidziane programem prace, obejmujące między innymi gruntowne badania nad cyklem życia chrząszcza gnojaka i rozwiązanie problemu plagi wołka zbożowego, które miało pomóc władzom marokańskim w zmniejszeniu strat w magazynach zbożowych i składach.

Tymczasem dwa tygodnie wcześniej, przy okazji wydanego na ich cześć obiadu pożegnalnego w domu generalnego dyrektora studiów etnicznych w Kebirze, siedzieli obok palącego bezustannie papierosy starego Francuza o nazwisku Duvic, który spędził w hotelu czterdzieści pięć lat. Kiedy dowiedział się, że są badaczami owadów, zaczął się ochryple śmiać i powiedział im, że jego zdaniem tylko jeden chrząszcz wart jest badań, a mianowicie skarabeusz jajoukański, Scarabaeidae jajoukae, tak zwany chrząszcz penisowy.

- Dlaczego, u licha, tak go nazywają? - spytała go Suzanna. Jej zielone oczy lśniły jak potłuczone szkło.

Duvic zakaszlał i wypluł gęstą plwocinę do chusteczki. Miał białe wąsy, zabarwione z jednej strony nikotyną na kolor musztardy.

- Nie powinna była pani o to pytać. W Little Hills używają go podczas obrzędów ślubnych... Zastępuje kif. Kiedy pali się kif, wchodzi się w inny świat i osiąga się taki sam stan, w jakim są bouhani, święci obłąkańcy, którzy potrafią przenikać przez ściany i dyskutować o problemach

politycznych z umarłymi. Natomiast kiedy użyje się penisowego chrząszcza, odkrywa się samego siebie: widzi się siebie z taką wyrazistością, że aż trudno to wytrzymać. Aimez-vous l'agonie? – Przez moment zawahał się, zakaszłał, a potem ciągnął: - Dwanaście, trzynaście lat temu, w pewnym burdelu w Mascarze zaproponowano mi skarabeusza. Odmówiłem. Muszę wyznać, że byłem zbyt przestraszany. Mimo że byłem wtedy bogaty, żądano za niego więcej, niż mogłem zapłacić: ponad piętnaście tysięcy franków. Teraz żałuję... No cóż, trudno, żałowanie niczego nie odmieni. Niedługo umrę...

- Czy ten skarabeusz rzeczywiście istnieje? - spytał Grant z szybko narastającym entuzjazmem. Miał już wizję przyszłych artykułów, książek, podróży z odczytami. Staje przed trzystoma uczonymi, chrząka i mówi: "Nikt z państwa nie słyszał o Scarabaeidae jajoukae, znanym w Little Hills w Maroku pod bardziej powszechną nazwą jako >>jajoukański chrząszcz penisowy<<". Co za otwarcie!

Francuz był już pod dobrą datą; wypił za dużo algierskiej brandy i nagle zrobił się cnotliwy. Zaczął powtarzać w kółko: "Przepraszam, że wam to opowiedziałem".

Grant i Suzanna mieli odlecieć następnego dnia do Stanów, ale wczesnym rankiem Grant porozmawiał przez trzeszczący telefon z profesorem Hemmerem z Tangeru.

- Znam oczywiście skarabeusza z Jajouki – wyznał profesor. - Bardzo rzadki chrząszcz, żywiący się nektarem, jaki wydziela kwiat kif, nektarem, który my nazywamy haszyszem. Widziałem tego skarabeusza na rysunkach i czytałem opisy. Jest wzmiankowany, zdaje mi się, w Owadach afrykańskich Quintiniego. O ile wiem, żyje tylko na łąkach, gdzie kwitnie kif, w Ketamie, w wysokich górach Rif.

- Czemu nazywają go "penisowym chrząszczem"?

- To bardzo proste. Kiedy chrząszcz zostaje zaniepokojony, wydziela z siebie środek chemiczny, silnie drażniący; podobno niektórzy górale wprowadzali go przed stosunkiem do męskiej cewki moczowej, w celu zintensyfikowania doznania seksualnego. Nie wiem, czy można je jeszcze znaleźć. Prawdopodobnie wyginęły skutkiem stosowania środków owadobójczych. Słyszałem o milionerach, którzy oferowali królewskie sumy za pojedynczego chrząszcza. Ale, naturalnie, problem polega na znalezieniu go. Prócz tego używanie go jest surowo zakazane z powodów religijnych, ponieważ muzułmanie wierzą w absolutną świętość ciała. Istnieje też zakaz prawny, gdyż rząd uważa, że byłoby to niepożądane ze względu na turystykę. Ostatnią rzeczą, której by pragnęli, to zrobienie z gór Rif drugiego Bangkoku, rojącego się od ludzi z Zachodu, przybywających w poszukiwaniu nowych doznań seksualnych. I tak jest już wystarczająco źle, biorąc pod uwagę moich rodaków oferujących błyszczące rowery wyścigowe młodym chłopcom na plażach.

Profesor Hemmer wybuchnął śmiechem. Grant położył słuchawkę staromodnego telefonu na widelkach. Skórzane walizki były już spakowane i czekały w turkusowym hallu hotelu Africanus. Dziewięć skrzynek z materiałem do badań i trzy skrzynki z okazami wysłano już wcześniej do Paryża.

Suzanna chciała odłożyć poszukiwania *Scarabaeidae* i wracać do Bostonu. "Możemy poszukać go w przyszłym roku". Ale Grant wiedział, że jeśli nie spróbują teraz, to nie znajdą go już nigdy. Jeśli się stąd wyjedzie, nie uda się tu wrócić. Przynajmniej nie do takiego samego układu stosunków. Można będzie do końca życia przypominać sobie radio Kair na falach krótkich i tubalne, przyprawiające o ciarki tony raitas, podobne do dźwięku obojów słyszanych w narkotycznym, nie kończącym się śnie. Ale kiedy się wróci, wtedy drzwi hotelu okażą się szczelnie zamknięte, medyna będzie opuszczona, a wszystkie sekrety Starego Miasta na zawsze stracone. Można będzie pić miętową herbatę już tylko w charakterze turysty, a nie brata, który zna Tajemnicę.

Profesor Hemmer dał mu adres Hakima, który pracował kiedyś jako asystent u doktora Timothy'ego Soodamora, angielskiego botanika. Soodamor spędził pięć lat na wysokim płaskowyżu w górach Atlas. Badał najpierw tamtejszą florę, potem muzykę ludową, a jeszcze później szukał ukrytych skarbów, o których wiedzieli tylko czarodzieje Soussi, mający tajne rejestry wszystkich skarbów, ukrytych kiedykolwiek na tym terenie. Jeśli w ogóle istnieli ludzie, którzy wiedzieli, gdzie należy szukać *Scarabaeidae*, to z pewnością należał do nich Hakim.

A jednak nie wiedział, a przynajmniej tak twierdził, siedząc nad miętową herbatą i paląc kif w cienkiej fajeczce z sebsi szczupły i szorstki, ubrany w biały, lniany burnus i także spodnie oraz czerwone, jedwabne pantofle. Na starannie ogolonej głowie nosił czerwony tarboosh; chuda twarz miała mnóstwo zmarszczek układających się pod różnymi kątami, jak na obrazach kubistów, i nigdy nie wyglądała tak samo. Tylko oczy patrzyły spokojnie i nieruchomo. Cała reszta jego ciała mogła wstać i pójść, a one zostałyby, zawieszony w powietrzu jak fatamorgana, wpatrzone w rozmówcę.

Grant był jego przeciwieństwem; przed dwoma tygodniami skończył trzydzieści jeden lat, był mocno zbudowany, miał lekką nadwagę, włosy wybielone słońcem, takie jakie mają surfiści, i twarz typowego quarterbacka: niebieskie oczy, złamany nos i szczerzy, szeroki uśmiech. W najmniejszym stopniu nie przypominał czołowego amerykańskiego eksperta w dziedzinie badań wpływu owadów na środowisko człowieka - póki przynajmniej nie założył okrągłych, szylkretowych okularów, w których był niesłychanie podobny do swojego zmarłego ojca, autora dzieła *Owady Ameryki*.

Z Suzanną Morrison zaczął pracować już na ostatnim roku studiów. Ich przyjaźń była intymna, chociaż czasem ledwie się tolerowali. Suzanna była wysoka, miała energiczny wyraz twarzy, wysoko osadzone kości policzkowe, głębokie oczy i lśniące, brązowe włosy, sięgające jej do piersi, ale odkąd przybyli do Maroka, ukrywała je pod szarfą, którą często owijała sobie całą twarz, tak że widać było tylko oczy. Nadawało jej to pewną godność, a wspólnota męska doceniała jej styl i miała dla niej szacunek. Nie była jedną z tych turystek czy studentek, kręcących się wszędzie z nagimi twarzami, ani też jedną z ich własnych kobiet, które wybiegały z domów po groszowe zakupy, zakrywszy twarz byle czym.

Miała znacznie silniejsze poczucie wewnętrznej wolności, niż sądziła męska wspólnota. Przerwała na rok studia na uniwersytecie SUNY i pojechała autostopem do La Jolla w Kalifornii, gdzie żyła w komunie o nazwie "Błyszczące Oko", w której natychmiastowe, jawne zaspokajanie dowolnej zachcianki seksualnej było podstawą filozofii zwanej "Otwarcie". "Otwórz przed każdym swój umysł, otwórz dla każdego swoje ciało". Teraz trzymała się w ryzach, ale mimo to ciągle onieśmielała Granta. Jej seksualność była niemal słyszalna: ocierające się uda, rozchylone wargi, trzepoczące powieki i jedwabisty szelest włosów, podobny do szelestu piasku przesypującego się w świetle księżyca przez krawędź Grand Erg na Saharze.

Kiedy po raz pierwszy poszli ze sobą do łóżka (w Paryżu, przy ulicy Chalgrin, w sypialni hotelu La Residence du Bois), opowiedziała mu bez skrępowania, że kiedyś uprawiała seks z pięcioma mężczyznami jednocześnie. Myślał, że żartuje, ponieważ nie mógł sobie tego wyobrazić. Ale kiedy mu to dokładnie i poważnie wyjaśniła, zamilkł na resztę dnia, podniecony i zarazem głęboko wstrząśnięty.

Tego wieczoru Suzanna owinęła głowę szarfą koloru indyga i włożyła bawełnianą, nieskazitelnie białą suknię, skrojoną na wzór dżelabiji. Grant wiedział, że pod suknią jest naga; kiedy pochylał się nad stołem, rozmawiając z Hakimem, widział, jak kołyszą się jej ciężkie piersi.

W owych dniach nie zawsze się z sobą zgadzali, a nawet w okresach zgody nie zawsze z sobą sypiali. W ciągu ostatnich siedmiu i pół miesięcy bywało, że kłócili się dość gwałtownie. Kłócili się w kwestii skarabeusza z Jajouki: czy powinni wrócić do Bostonu i dać sobie z nim spokój? Ale teraz znów byli pogodzeni, bliscy sobie, wyczuleni na to, co drugie mówi albo ma zamiar powiedzieć, a nawet myśli. Grant uwielbiał takie okresy. Dawało mu to poczucie własnego "ja": do jego świadomości docierało to, gdzie się znajduje i w jakiej roli występuje. Czuł wyraźnie, że jest zarówno opiekującym się, jak i tym, którym się ktoś opiekuje w miejscu położonym 35,4 stopnia na północ od równika i 1,1 stopnia na wschód od Greenwich.

Suzanna odezwała się do Hakima:

- A jeśli obiecamy, że nikomu nie powiemy, co znaleźliśmy. Czy wtedy zaprowadzi nas pan do chrząszcza?

Hakim popatrzył na Granta.

- Czy ta kobieta mówi w twoim imieniu, panie?

Grant z niecierpliwością wypuścił kłęb dymu.

- Tak, mówi w moim imieniu. A czasem nawet w swoim.

- Nie ma chrząszcza - odparł Hakim.

- Czy to znaczy, że wyginęły? - spytała Suzanna.

Hakim opuścił głowę.

- Nie będzie chrząszcza, póki nie podejmę decyzji.

- Więc chrząszcze istnieją, tylko pan nie chce nam wskazać miejsca?

- Póki nie podejmę decyzji.

- Co może pana skłonić do zgody?

Hakim milczał, paląc kif. Pobrząkiwały kubki z kawą.

W ciepłym wieczornym powietrzu słychać było na przemian cichnący i rozbrzmiewający głos z radia. Wyglądało to na transmisję z meczu piłkarskiego. Osiris United kontra White Nile Wanderers? W końcu Hakim powiedział:

- Chcę mieć zieloną kartę. Wtedy się zgodzę.

Suzanna popatrzyła na niego i wybuchnęła śmiechem.

- Chce pan mieć zieloną kartę? Chce pan nas nabrać?

- Żądam zielonej karty - powiedział ze złością Hakim. - Doktor Soodamor obiecywał mi, że będę u niego pracował w Stanach Zjednoczonych. Potem pojechał szukać czarodziejów Soussi i nigdy nie wrócił. Po tylu latach pracy dla niego zostałem z niczym, panie. Z bardzo małą sumą pieniędzy. Doktor Soodamor był pełen obietnic, a kiedy przychodziło do płacenia, to dawał mi papier.

- Ale w końcu płacił - powiedział Grant.

- Co za korzyść z papieru? - odparował Hakim. - Nie wolno nam wkładać naszych pieniędzy do banków, ponieważ banki są grzeszne, a kiedy trzymamy je w domu, zjadają je myszy. Wszystkie pieniądze od doktora Soodamora ukryłem na poddaszu, a kiedy po nie wróciłem, znalazłem tylko kolorowe konfetti i ślady myszy.

Suzanna rzuciła Grantowi szybkie spojrzenie i dotknęła jego ręki, spoczywającej na niebieskim, metalowym stoliku.

- Możemy poręczyć za Hakima, prawda, Grant? Powiemy urzędowi imigracyjnemu, że był niezbędny w naszej pracy nad skarabeuszem.

Grant uśmiechnął się i przytaknął. Pomyślał: Chryste, Suzanna, nie masz skrupułów.

- Więc poręczycie za mnie? - spytał Hakim.

- Nie wiemy jeszcze - odparł Grant. - Jeżeli chrząszcz jest oszustwem, to nie. Ale jeśli istnieje...

Hakim nabił swoją smukłą fajeczkę. Nad Afryką rozpinała się noc.

- Chrząszcz istnieje - oznajmił.

Następnego ranka odjechali pociągiem z pomalowanego białą farbą dworca kolejowego w Fezie. Było pół do dwunastej i słońce wysysało wszystkie kolory, z wyjątkiem karmazynu, przesadnie wybujałych kwiatów bugenwilli i błękitu nieba.

Pociąg wspinał się mozolnie pod górę. Wiosenne kwiaty malowały każde kolejne wzgórze na inny kolor: na żółto, czerwono, niebiesko. Doliny pełne były białego nawodnika okółkowego, tworzącego spienione fale omdlewająco pachnącego kwiecia. Zapach był tak silny i tak słodki, że Grant zaczął się zastanawiać, czy nie ulegnie zatruciu i nie zapadnie w sen, śniąc o bouhanis, którzy potrafią dyskutować o polityce z umarłymi.

Zapał w drzemkę, ale cały czas miał świadomość kołysania się i zgrzytania wagonu, i hałasu diesla lokomotywy.

Kiedy otworzył oczy, zobaczył siedzącego naprzeciw Hakima, obierającego długimi, niezbyt czystymi paznokciami skórkę z pomarańczy.

- Niby mieszkam na Starym Mieście, ale sercem jestem zawsze tu, na Little Hills.

Grant kiwnął głową na znak, że przyjął to do wiadomości, ale zorientował się, że Hakim mówi do siebie.

- Są na świecie miejsca, gdzie tajemnice same się odkrywają. To jest jedno z takich miejsc - ciągnął Hakim.

- Tu jest przepięknie - odezwała się Suzanna. Wzgórza dookoła były szmaragdowozielone, połyskujące drobnymi, białymi kwiatkami. Na niektórych zboczach pasły się stada owiec. - To jest jak sen.

Hakim poczęstował ją pomarańczą, obraną na kształt kwiatu, ale odmówiła. Podał pomarańczę Grantowi, który z uprzejmości wziął kawałek.

- Opowiedz mi o skarabeuszu - poprosił.

- To prawda, panie. On istnieje.

- Ale czy go znajdziemy?

- Wszystko to, co istnieje, może zostać odnalezione. Może będziemy musieli udać się do czarodzieja, ale znajdziemy go na pewno.

Jajouka była malownicza, a zarazem miała w sobie pewną tajemniczość. Stanowiła pogmatwany układ osłepiająco białych domków, usytuowanych na stromym wzgórzu, otoczonych drzewami oliwkowymi i żywopłotami z ciernistych grusz.

Kiedy dudnienie pociągu motorowego zamarło w dali, znaleźli się w rozpalonej ciszy. Hakim powiódł ich przez wieś, w której spętane kozy skubały trawę, pobrzękując maleńkimi dzwoneczkami. Przekroczyli białe, sklepione wejście i znaleźli się na zacienionym podwórzu, gdzie młoda kobieta w ciemnoczerwonej sukni wydmuchiwała popiół z osmolonego, glinianego pieca. Koło niej chodził kogut o piórach jakby z wypolerowanego mosiądzu.

- Szukam twojego wuja Hassana - powiedział Hakim.

Słońce przebijało się ukośnie poprzez dym.

Kobieta w błyszczących kolczykach ruchem głowy wskazała cieniste wnętrze domu. Hakim skinął na Granta i Suzannę, żeby szli za nim. Znaleźli się w chłodnym, ogołoconym pokoju, gdzie dwaj starcy w śnieżnobiałych turbanach i w grubych, wełnianych dżelabijach rozpierali się na poduszkach, popijając herbatę i paląc kif.

Nastąpił rytuał przedstawiania się. Hakim pytał o zdrowie braci wuja Hassana, jego kuzynów, jego kóz, o urodzaj i wreszcie o zdrowie żon. Hassan miał długi zakrzywiony nos i głęboko osadzone oczy, i przez cały czas rozmowy obracał w palcach małą kulkę szarego wosku. Drugi mężczyzna był pełniejszy i krępy. Był już po takiej dawce narkotyku, że Grant nie mógł zrozumieć, co mówi.

- Mój pan poszukuje skarabeusza - oznajmił w końcu Hakim. - To jest człowiek wysokiego szacunku i wielkiej nauki i chciałby uzupełnić swoją wiedzę o owadach. Może cię hojnie wynagrodzić.

Hassan przez chwilę myślał, a potem odrzekł bardzo szybko i cicho, ale dość wyczerpująco. Ze swoim kuchennym arabskim Grant nie mógł za nim nadążyć; zdołał wyłapać słowa "dżip" i "kuzyn".

- Co powiedział? - zapytał Hakima, kiedy Hassan skończył.

- Powiedział, że wie, gdzie można znaleźć skarabeusze. Zbierane są tam, gdzie kwitnie kif, niedaleko stąd, przez góralski, wędrowny szczepek Nazareńczyków, którzy potem sprzedają je właścicielom burdeli w Tangerze i w Marrakeszu. On przedstawi pana tym góralom i pomoże w nabyciu dwóch, a może nawet trzech chrząszczy. Nie chce zapłaty, bo niczego nie potrzebuje. Tu nie ma elektryczności ani bieżącej wody, ponieważ zaniepokoiłyby Bou Jelouda, Ojca Strachu, który ochrania nasze owce. Hassanowi wystarcza dziesięcina, którą dostaje za swoje pola, za kif i muzykę. Ale ma w Kebirze kuzyna Ahmeda - ciągnął Hakim który bardzo chciałby mieć nowego

dżipa. Jeśli to by się dało załatwić, Hassan zabierze pana do Nazareńczyków, którzy żyją z tych chrzászczy.

- Ile kosztuje dżip? - szepnęła Suzanna.

- Nic, w porównaniu z chrzászczem.

- Więc zdecydujemy się. Nie mogę tu dłużej wytrzymać. Ten dym! Zaczynam doznawać halucynacji.

Hassan coś szybko powiedział. Grant nie zrozumiał wszystkiego, ale pojął znaczenie słów.

- Czy to ten mężczyzna, który słucha kobiety?

Odrzekł po arabsku:

- W naszym kraju zdanie kobiety jest traktowane z takim samym szacunkiem jak zdanie mężczyzny.

Hassan przytaknął, uśmiechnął się i odparł po angielsku:

- Ci, którzy używają jajoukańskiego skarabeusza, nie mają szacunku ani dla mężczyzn, ani dla kobiet; nie mają też zdania.

- Co on ma na myśli?

- On mówi, panie, że ci, którzy chociaż raz użyli skarabeusza, nie mają już poglądów. Interesuje ich tylko jedno: kiedy będą mogli użyć go po raz wtóry.

Było już po północy, gdy szli z szelestem przez pola, których rósł kif, do prowizorycznego obozowiska górali. Niebo miało kolor purpury, taki sam jak taśmy w staroświeckich maszynach do pisania. Księżyc wisiał nad nimi jak lustro. Wędrowny lud Ahl-el-beit wierzył, że w księżycu odbija się Sahara, że stanowi on zawieszoną na niebie mapę.

Nad namiotami unosił się dym. Usłyszeli głosy i dźwięki piszczałek. Grant uściskał rękę Suzanny, żeby ją uspokoić, a może by uspokoić siebie. Hakim i Hassan szli przed nimi, owinięci swoimi turbanami i dżelabijami. Za każdym krokiem rozgniatali sandałami płatki kwiatów. Grant czuł ich słodko-zgniłą woń, mieszającą się z zapachem rosy.

To było jak sen.

Weszli do największego z namiotów. Wewnątrz, dokoła głośno syczącej lampy ciśnieniowej, siedziało sześciu czy siedmiu mężczyzn, ubranych w zniszczone dżelabije i koszule.

Siwiejący mężczyzna z oczami jak dwa kamienie, w wieku około pięćdziesięciu lat; trzej lub czterej posępni młodzi mężczyźni o brudnych twarzach; sudański chłopak szesnasto lub siedemnastoletni, mający na sobie tylko przepasaną koszulę, tak że widać było, jak jego długi, goły penis opiera mu się o udo. Starsza kobieta z zasłoniętą twarzą. Dwie młode, w cienkich muślinowych sukienkach, z twarzami odsłoniętymi.



Wuj Hassan usiadł przy siwiejącym mężczyźnie i zaczął mu coś szeptać do ucha, wzmacniając od czasu do czasu argumentację stukaniem dwoma palcami w swoją otwartą dłoń. Mężczyzna przytakiwał i przytakiwał. Hakim, pachnący pomarańczą, szepnął Grantowi do ucha:

- Hassan prosi o rewanż za uczynioną przysługę. Rok temu Nazareńczycy zostali przyłapani na naruszeniu pól Adeptów, a Hassan uratował ich przed karą.

Po dwudziestu minutach mruczenia i przytakiwania siwiejący mężczyzna skinął na jednego z ponurych młodych ludzi.

Ów zniknął, ale po dwóch minutach wrócił, wręczając siwiejącemu dwa małe pudełeczka, wyrzeźbione w drewnie oliwkowym, inkrustowane matowym srebrem. Hassan trącił Granta w łokieć i powiedział:

- W tych dwóch pudełkach Nazareńczyk ma dwa skarabeusze. W Tangerze dostanie za to dziesięć tysięcy dolarów, które wystarczą jego ludowi na rok życia.

Siwiejący mężczyzna otworzył jedno z pudełek i podał Grantowi do obejrzenia. Dno pudełka było wypełnione haszyszem, nektarem pochodzącym z kwiatów kifu, który wydzieliał silny, charakterystyczny zapach. Po powierzchni biegał szybko, od jednej ścianki pudełka do drugiej, maleńki, czarny chrząszcz o okrągłym grzbiecie, bardzo podobny do gnojaka, tylko znacznie mniejszy.

Grant i Suzanna oglądali go zafascynowani.

- Wiesz, jakie to ma znaczenie? - powiedział Grant do Hassana. - To jest jak odkrycie źródeł Nilu, lecz jeszcze donioślejsze.

Siwiejący mężczyzna pochylił się w stronę wuja Hassana i półgłosem powiedział mu coś do ucha. Tym razem Hassan pokiwał głową.

- On pyta, czy zademonstrować wam sposób, w jaki używa się chrząszcza.

- Nie rozumiem.

Hassan wskazał na jedną z dziewcząt, a potem na jednego spośród posępnych młodych mężczyzn.

- Oni wam pokażą, jeśli chcecie.

- Co o tym myślisz? - zwrócił się Grant do Suzanny. - Chcesz zobaczyć, co oni z tym robią?

Suzanna złapała go za ramię.

- Przecież w tym celu przyjechaliśmy, prawda?

Grant myślał przez chwilę, potem odwrócił się i skinął głową. Lampa syczała i syczała, a ómy rozbijały się o nią i wirując, spadały na rozpostarte na ziemi koce.

Siwiejący mężczyzna coś mówił. Jedna z dziewczyn próbowała dyskutować, ale warknęła na nią ostro:

- Tais-toi!

Wstała i zdjęła przez głowę dżelabiję, która spadła obok niej na poduszki. Włosy miała czarne, skórę barwy świeżych daktyli, oczy skośne i prowokujące. Była niska, miała zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Jej skóra lśniła od dobrego odżywiania. Piersi miała imponujące: dwie ogromne kule z otoczkami wielkimi jak podstawki kieliszków do wina, poznaczonymi błękitnymi żyłkami. Pępek ukrywał się głęboko w zaokrągleniu brzucha i był przekłuty złotym kółkiem. Miała pełne uda, między którymi jej nagi srom nabrzmiewał jak dojrzewający owoc. Mimo że byli Nazareńczykami - powód, dla którego Hassan nazywał ich urągliwie chrześcijanami - przestrzegali muzułmańskiego zwyczaju golenia włosów na ciele, tak że wyglądali gładko i czysto.

Dziewczyna uklękła na kocach i odrzuciła rękami włosy. Piersi jej się zakołysały, a srom rozchylił się jak lepki kwiat.

Grant widział jej lechtaczkę i wewnętrzne wargi sromowe tak dokładnie, że poczuł się, jakby oglądał księżyc.

Siwiejący mężczyzna znów coś powiedział i skinął ręką na jednego z młodych mężczyzn, który wstał i rozebrał się. O też był dokładnie ogolony, tak że jego penis wydawał się jeszcze dłuższy. Powoli penis zaczął się podnosić, jego klinowata, obrzezana główka pęczniała z każdym uderzeniem serca, nagie jądra zaciskały się. Mężczyzna ukląkł naprzeciw dziewczyny i wówczas penis osiągnął pełną erekcję. Wyglądał jak rzeźba utworzona z żył i z jedwabistej, błyszczącej skóry.

Z jego otworu wypłynęła pojedyncza kropla czystego płynu i zalśniła jak diament pojawiający się w ręku magika.

Siwiejący mężczyzna podał nagiej dziewczynie pudełko. Potem strzelił palcami i jeden z asystujących dał mu cienką, polakierowaną rurkę, jeszcze cieńszą niż rurka z sebi. Tę też podał dziewczynie.

Nagi chłopak odrzucił głowę do tyłu i zamknął oczy. Złapał ręką swoje jądra, ściskając je, żeby się napięły. Dziewczyna wsunęła koniec rurki do swoich ust i zaczęła delikatnie ssać.

Drugi koniec włożyła do pudełeczka z oliwkowego drewna i ssała dopóty, dopóki nie uwięziła małego chrząszcza w końcu rurki.

- Uważajcie teraz - powiedział Hakim do Granta i Suzanny. - Zobaczycie, co robi się ze skarabeuszem, żeby osiągnąć ekstazę.

Dziewczyna wyjęła z ust rurkę i zatkała ją kciukiem, tak że chrząszcz był w niej uwięziony skutkiem podciśnienia. Potem ujęła lewą ręką sterczący penis chłopaka, rozciągając palcem i kciukiem otwór moczowy, a następnie wsunęła rurkę w jego głąb. Chłopak zazgrzytał zębami i zacisnął pięści na kocach, ale nie krzyknął. Dziewczyna wsuwała rurkę dalej, aż wystawała

zaledwie na pół centymetra i wtedy odjęła kciuk, tak że chrząszcz został uwolniony w samym pęcherzyku cewki moczowej, tam gdzie zbiera się nasienie na kilka sekund przed ejakulacją.

Wyjęła rurkę; wraz z nią wypłynęło kilka kropel krwi.

Pochyliła się, jej sterczące sutki musnęły koce, i czubkiem języka zlizwała krew.

Siwiejący mężczyzna wdał się w długie, uzupełniane gestami rąk wyjaśnianie, które Hakim tłumaczył.

- Skarabeusz jest w ciele chłopaka. Zostanie tam aż do chwili wytrysku. W tym momencie przepłynie razem z nasieniem do samego końca penisa, ale tam zareaguje obronnie na soki kobiety. Przywrze do otworu penisa i natychmiast wypuści drażniący środek, który sprawi zarówno chłopcu, jak i dziewczynie najwyższą rozkosz, a zarazem rozdzierający ból.

- Nigdy sam tego nie spróbowałem, panie – ciągnął Hakim. – Może jestem tchórzem. Ale znam wielu, którzy to zrobili: mówią, że to jest jak niebo pomieszane z piekłem.

Siwiejący mężczyzna klasnął niecierpliwie w dłonie. Nagi chłopak położył się na plecach, trzymając sztywny penis w dłoni. Dziewczyna uklękła nad nim okrakiem, rozwierając szeroko uda.

- Już, już - rzekł siwiejący. Pochylił się i rozszerzył palcami srom dziewczyny. Grant ujrzał wilgotne, różowe ciało, o barwie świeżo przeciętego granatu. Siwiejący mężczyzna ujął penis chłopaka i pogłaskał go lubieżnie. Potem włożył go między wewnętrzne wargi sromowe dziewczyny.

Dziewczyna usiadła na nim tak, że śliwkowata główka wsunęła się w nią głęboko, aż gładki, nagi, nabrzmiały srom oparł się o gładką, ogoloną nasadę penisa chłopaka.

Suzanna sięgnęła po dłoń Granta i uścisnęła ją. Zobaczył w jej oczach lęk, a przy tym podniecenie. Uczestniczyli w pokazie seksualnym, który prowokował oglądających do natychmiastowego znalezienia jakiegoś ukrytego miejsca i odbycia orgii seksualnej.

Obozowisko w Little Hills było zwykle pełne muzyki. Piszczalki, bębny, raitas. Teraz panowała cisza. Słyszać było tylko mokre pocałunki pulchnego sromu, składane na sztywnej jak kość erekcji, i konspiracyjne syczenie lampy ciśnieniowej. Wszyscy siedzieli niczym sparaliżowani, patrząc jak dziewczyna i chłopak przyspieszają. Dziewczyna wyprostowała się, ujęła w dłonie swoje spocone, miękkie piersi i ścisnęła je, tak że ciemne sutki sterczały sztywno między palcami. Każdy widział, jak moszna chłopaka zaczyna marszczyć się i zaciskać, a soki dziewczyny spływają wzdłuż ciemnej fałdy dzielącej jego jądra, a potem po bezwłosym rowku odbytnicy. Każdy siedział wstrzymując oddech, zahipnotyzowany miarowym szluk, szluk, szluk penisa wsuwającego się głęboko w śliską pochwę; myśli stawały się coraz bardziej lubieżne; fantazje coraz bardziej wybujałe; a przez cały ten czas chrząszcz siedział głęboko wewnątrz

członka, w miejscu gdzie zbiera się sperma; w miejscu, które potem kurczy się, napina i przepompowuje niepohamowanie swoją zawartość w głąb ciała dziewczyny.

Grant nie wiedział, że od dłuższego czasu ścisła kurczowo palce Suzanny. Ona też tego nie czuła. Chłopak napinał się coraz bardziej, aż krzyknął. Dziewczyna też krzyknęła, zapewne w oczekiwaniu na to, co miało nadejść. Potem zwarli się w ciasnym uścisku, tarzając się po kocach, krzycząc, wywijając nogami - ale nawet na sekundę nie zwalniając uścisku - z napiętymi pośladkami, robiąc krótkie, kurczowe ruchy biodrami. Oczy mieli wywrócone, zęby mocno zaciśnięte.

Byli jak bouhanis; byli jak psy wyjące do księżyca. Byli jak lamentujące kobiety; jak tancerze Aissaoua, którzy w transie całują węże albo rzucają żywe owce wysoko w powietrze pożerając je, nim zdążą spaść na ziemię. Przez dłuższą chwilę Grantowi wydawało się, że chcą umrzeć.

- Jezu - wyszeptała Suzanna. - Martw się, doktorze Ruth.

Upłynęło przeszło pięć minut, nim chłopak i dziewczyna przestali drzeć, tarzać się i przeżywać swój orgazm. W końcu, chwytając łączywie powietrze, spoczęli na wznak na kocach. Mieli zamknięte oczy, ich nagie ciała spływały potem. Z rozchylonej pochwy dziewczyny kapłała sperma, ale mężczyźni w namiocie patrzyli na to z całkowitą obojętnością, jakby dziewczyna była kozą, którą trzeba było wydoić i trochę się przy tym wylało. Siwiejący Nazareńczyk ukląkł przy chłopaku, podniósł jego mokry, wiotczący penis i włożył do jego otworu koniec cienkiej rurki. Uśmiechnął się z zadowoleniem, wyjmując skarabeusza, którego troskliwie schował do pudełeczka z oliwkowego drzewa.

Powiedział coś do Hakima, który przetłumaczył:

- Ci dwoje będą teraz spali przez trzy albo cztery godziny. Kiedy się zbudzą, będą to chcieli natychmiast powtórzyć, tym razem ze znacznie silniejszą potrzebą wewnętrzną. Skarabeusz, kiedy staje się nałogiem, jest gorszy niż kif. Wystarczy raz go spróbować i człowiek staje się niewolnikiem. Może to jest ta prawda, po którą przybyliście tutaj. - Uśmiechnął się. - Możecie zabrać dwa skarabeusze. Oba są samcami, więc nie będą się rozmnażały, a poza tym te chrząszcze mnożą się tylko tutaj, na polach, gdzie rośnie kif.

Wręczył dwa drewniane pudełeczka wujowi Hassanowi, który ukrył je gdzieś głęboko w fałdach swojej wełnianej dżelabiji.

- Jedna przestroga - powiedział. - Nigdy nie przechowujcie dwóch samców skarabeuszy w tym samym pudełku i nigdy nie umieszczajcie w penisie więcej niż jednego. Samce skarabeusza są maleńkie, ale bardziej agresywne od skorpionów. Będą walczyły z sobą na śmierć i życie.

Wuj Hassan położył dłoń na ramieniu Nazareńczyka.

- Mektoub - rzekł. - Jesteśmy kwita.

Wrócili do Fezu tym samym pociągami, tą samą drogą, wijącą się między wzgórzami. Ranek był pochmurny, ale kwiaty pachniały jeszcze bardziej omdlewająco niż przedtem.

Grant był ożywiony i podekscytowany, robiąc nie kończące się zapiski na temat Scarabaeidae jajoucae w notatniku trzymanym na kolanie. Suzanna wydawała się dziwnie apatyczna i zmęczona. Patrzyła na wzgórza przesuwane się w poprzek okien, nie wiedząc czy to jawa, czy sen. Hakim poprzedniego dnia palił kif w dużych ilościach i teraz spał z podbródkiem na ramieniu. Kiedy wrócili do hotelu, Suzanna powiedziała:

- Myślę, że powinniśmy sami spróbować.

- Czego? - spytał Grant. Właśnie otwierał butelkę wody Oasis Gazeuse.

Podeszła do niego i stanęła bardzo blisko, nie dotykając go jednak.

- Myślę, że powinniśmy spróbować. Mam na myśli skarabeusza. Nie można prowadzić wykładów na jego temat, nie wiedząc jak działa.

- Mówisz o sobie i o mnie?

Przytaknęła. Miała taki sam wyraz oczu jak wówczas, gdy opowiadała mu, w jaki sposób uprawiała seks z pięcioma mężczyznami równocześnie. Taki wyraz pojawiał się w oczach Suzanny bardzo rzadko. Nagle uświadomił sobie, że jej biała dzelabija jest rozpięta, ukazując zaokrąglenia piersi, i poczuł ciepło promieniujące z jej ciała.

Napił się słonawej wody mineralnej prosto z butelki.

- Nie boisz się? - zadał pytanie.

Potrząsnęła przecząco głową.

- Nigdy nie bałam się żądy. A ty?

- Czasem tak. Ale tu mamy do czynienia z żądzą wywołaną specjalnym środkiem, a nie naturalną. Domyślam się, że skarabeusz reaguje na proteiny zawarte w nasieniu mężczyzny i wydziela pewną substancję, tak jak Cantharides albo hiszpańska mucha.

- Możemy pobrać próbki - poddała Suzanna, ale jej uśmiech był daleko mniej naukowy.

Grant poszedł po wykładanej kafelkami podłodze do okna i stanął przy falujących, siatkowych firankach, patrząc w dół na dziedziniec i na wodę tryskającą z pomalowanej na niebiesko fontanny. Na rogu dziedzińca stał jednooki mężczyzna, trzymając w każdej ręce wielką, żywą ropuchę.

- Nie wiem - powiedział Grant. - Wszystkie nasze rzeczy są już spakowane.

Podeszła i znów stanęła blisko niego, ale tym razem pogłaskała spłowiały kosmyk włosów za jego uchem.

- Boisz się - stwierdziła.

Odwrócił się i spojrzął jej prosto w oczy. Tak, bał się. Ale nie wiedział, kogo boi się bardziej: malutkiego skarabeusza w pudełku z oliwkowego drewna, czy Suzanny.

Poszli pod prysznic i namydlali się wzajemnie w rozbrzmiewającej echem łazience, wyposażonej w staroświecką armaturę. Potem ogolili włosy łonowe maszynką Gillette Granta. Kiedy Grant wycierał się ręcznikiem, Suzanna namaściła się olejkiem jaśminowym, kupionym w Socco. Włosy zawinęła w sporządzony z ręcznika turban. Z jej wysokich, okrągłych piersi sterczały stwardniałe sutki. Była bardzo szczupła, miała wąskie biodra i bardzo długie nogi. Kształtne wargi jej sromu były zamknięte, jakby ukrywały tajemnicę.

Grant wyszedł z łazienki. Jego serce biło w wolnym, wyraźnym rytmie, podobnym do rytmu bębnów tancerzy, którzy w ekstazie tańczą, wirują i tłuką na własnych głowach gliniane garnki, aż ich twarze ociekają krwią.

- Nie sądzisz, że powinniśmy włączyć muzykę? – spytała Suzanna.

Podszedł do radia i nastawił jakąś algierską stację, nadając muzykę. Suzanna wspięła się na przykrywające łóżko durry w zielone i czerwone pasy, i usiadła na nim ze skrzyżowanymi nogami, opierając na kolanach przeguby rąk. Grant podszedł do biurka i wyjął z niego jedno z drewnianych pudełek oraz cienką, lakierowaną rurkę. Miał na pół wzwiedziony członek.

Suzanna roześmiała się tym swoim mało naukowym śmiechem.

- Wyglądasz jak Dawid Michała Anioła.

Wspiał się na łóżko i usiadł naprzeciw niej. Podał jej rurkę, a potem ostrożnie otworzył pudełko. Skarabeusz tkwił bez ruchu w jego rogu.

- Chyba nie jest martwy? - spytała z troską.

- Raczej znajduje się w transie. W tym pudełku jest tyle haszyszu, że mogłabyś fruwać przez miesiąc.

Suzanna pochyliła się do przodu i końcem rurki popchnęła skarabeusza. Grant patrzył, jak kołyszą się jej piersi i jak rozchyła się srom, przygotowujący się do odsłonięcia swojej tajemnicy. Czuł się rozgorączkowany. Radio nadawało płaczliwą, nie kończącą się muzykę. Siatkowe firanki falowały, a ich cienie tańczyły po twarzy Suzanny. Tańczyły po jej sutkach, o barwie więdnących w upale płatków róży, i czesały jej opalone uda. Ujrzał lechtaczkę wysuwającą się z jej warg sromowych, podobną do różowego, błyszczącego dzioba kanarka.

Wzięła rurkę do ust i zaczęła delikatnie ssać. Skarabeusz przylgnął do nektaru, opierając się wciągającemu go ssaniu. Po chwili jednak przywarł do otworu rurki i Suzanna mogła wydostać go z pudełka dzięki maleńkiej próżni, którą stworzyła. Podniosła oczy i powiedziała:

- Wiesz, że nie musisz tego robić.

- Wiem... Ale jak słusznie powiedziałaś, nie możemy udawać, że wiemy, o czym mówimy, jeśli sami go nie wypróbujemy.

Suzanna ujęła lewą ręką jego na pół stojący członek i powoli pieściła go, aż nabrzmiał i zeszywniał. Nigdy przedtem nie kochali się w ten sposób, przynajmniej nie tak rytualnie. Najczęściej byli wstawieni, radośni, zmęczeni albo po prostu napaleni na siebie. Tego ranka wszystko toczyło się powoli, jakby sami byli zanurzeni w nektarze.

Grant patrzył z zainteresowaniem postronnego obserwatora jak Suzanna ścisnęła pulchną, purpurową główkę penisa, żeby rozszerzyć jego otwór. Nie podnosząc głowy, wsunęła głęboko do cewki moczowej polakierowaną rurkę - z precyzją szwaczki lub chirurga. Poczł pieczenie; wydawało mu się, że Suzanna napełnia jego cewkę moczową rozpalonym tłuszczem. Cofnął się, ale Suzanna objęła jego ramię, żeby go uspokoić, i wsunęła ostatnie centymetry rurki do cewki. Potem odjęła kciuk od końca rurki i wysunęła ją z powrotem. Z penisa trysnęła krew i spłynęła w dół między nogami Granta.

- Chryste, to boli.

Pocałowała go i czule popieściła.

- To boli, ale chrząszcz jest już w środku. Zobaczmy teraz, jak smakuje.

Popchnęła go na durry. Poczł na plecach dotyk szorstkiej tkaniny. Wspięła się na niego jak bezwłose zwierzę. Całowała go po twarzy, wsuwała mu nos do ust, delikatnie gryzła w uszy. Człł palenie w członku, podrażniła bowiem delikatną cewkę moczową. Człł też jakieś swędzenie, wysoko między nogami, dokuczające jak popiół w oku. Penis przestał krwawić i zaczął z mego wyciekać czysty śluz, znacznie obficie niż zwykle. Masowała jego jądra, bawiła się członkiem, a on nagle zaczął mieć przeczucie, że wkrótce spotka go coś strasznego.

W końcu siadła na nim okrakiem, rozchylając szeroko uda. Zobaczył połyskującą szparę. Ujęła obiema rękami jego nabrzmiałą erekcję i wprowadziła ją między swoje ogolone wargi sromowe. Zamknął oczy. Słyszł przeciągłą, zawodzącą muzykę. Słyszł modlitwy i klóttnie. Człł się tak, jakby jego penis był ssany przez połykacza ognia z Socco Chico. Potem Suzanna powoli usiadła i wtedy wśliznęła się głęboko w jej chłodną, ciepłą wilgotność.

Z początku kochali się powoli. Grant w dalszym ciągu miał zamknięte oczy. Wciąż odczuwał między nogami to swędzenie. Potem ona przyśpieszyła, poruszając biodrami coraz szybciej i szybciej; uda miała szeroko rozwarte, a jej piersi kołysały się z boku na bok. Ich soki wydawały na ogolonej skórze zmysłowe odgłosy mlaskania. Przywarli do siebie, obejmując się rękami. Byli na pustyni, gdzie przesypujący się piasek dźwięczy nie kończącym się glissandem. Byli na pustyni, sami, na Wielkim Ergu północnej Sahary, u stóp bezcienistej wydmy. Niebo wisiało nad nimi jak baldachim z lazurwego jedwabiu.

Grant poczuł, jak napinają mu się mięśnie i nadchodzi kulminacja. Ale tym razem dochodzenie do kulminacji odbywało się inaczej. Krew w jego głowie waliła jak bębny Czarnych Braci. Zaczął ciężko oddychać. Świerzbienie stało się nie do zniesienia. Miał uczucie, jakby ktoś umieścił w jego cewce moczowej drut kolczasty i teraz powoli go wyciągał.

Potem doznał nagłego wstrząsu. Krzyknął, a może mu się wydało, że krzyknął. Poczucił w członku rozżarzony do białości ból, a zarazem niewysłowioną rozkosz. Miał wrażenie, że zanurza go w płynnej stali. Uniósł biodra, żeby soki Suzanny ugasiły ogień, ale nie poczuł ulgi. Ona też krzyczała. Oboje przeżywali orgazm za orgazmem.

To było nie do wytrzymania. Czucił, że ucieka z niego życie. Pędził, przebijając drzwi i ściany, przez wąskie uliczki i obskurne bazy. Pędził przez podwórka i labirynty korytarzy. Rycząc rozwalil mur świątyni Sidi Bou Galeb, w której siedzą powiązani łańcuchami szaleńcy. Szybował w rozedrganym powietrzu nad pustynią, słysząc głosy wołające: Houwa! Houwa!

W końcu wybuchnął jak francuska bomba wodorowa, dwadzieścia pięć kilometrów nad Sidi Ben Hassid, oślepiając wszystkich, którzy na niego patrzyli.

Suzanna dotknęła jego policzka. Otworzył oczy i zobaczył, że był już zmierzch. Z podwórza wiał ciepły wiatr, przynoszący zapach wody tryskającej z fontanny.

- Co się stało? - zapytał. - Czy umarłem?

Jej głos był niski, drżący i pełen żądz, podobny do dźwięku piszczałek w Little Hills.

- Scarabaeidae jajoukae - wydyszała.

Na kolację poszli do małej restauracji naprzeciw hotelu i jedli ostro przyprawiony barani kebab. Ćmy uderzały z trzaskiem o żarówki. Oboje ledwie mogli mówić. Czuli się, jakby uleciały z nich dusze. Nie patrzyli na siebie, ale trzymali się za palce i myśleli o chrząszczu spoczywającym w pudełku z oliwkowego drewna. Siwiejący mężczyzna miał rację: "Wystarczy raz go spróbować i człowiek staje się jego niewolnikiem".

Kończyli jeść, kiedy z mroku wyszła jakaś postać.

- Hakim - powiedział Grant. - Co cię sprowadza do Kebiru?

Hakim przyciągnął sobie krzesło i zamówił herbatę.

- Myślałem, że mogę mu się oprzeć - rzekł.

Grant poczęstował go easa sportem, z którego tamten zrećnie wytrząsnął tytoń, napelniając pustą gilzę włochatą zieloną marihuaną.

- Myślałeś, że czemu możesz się oprzeć? - spytała Suzanna, czując, że tym razem ona ma przewagę.

- Wiele lat temu użyłem skarabeusza, panie. Nie mogę o tym zapomnieć.



- A zatem... Co proponujesz?

Oczy Hakima rozbłysły.

- Użyliście go już, prawda? Ja po prostu musiałem wrócić.

Ludzie mogą nie wrócić do haszyszu, mogą nie wrócić do żadnego innego narkotyku, ale pójdą na koniec świata za chrząszczem z Jajouki. Mam rację, panie? Pójdiesz po niego na koniec świata.

Grant i Suzanna milczeli, ale ich palce splatały się i rozplatały. Hakim obserwował ich i wiedział, że ma rację.

- Macie mnie pewnie za godnego pogardy – ciągnął Hakim. - Ale mój ojciec i matka mieli dobre pochodzenie, a ja zawsze przestrzegałem właściwych dróg postępowania.

Wyjął zapalną, zwitek brązowego papieru o główce z turkusowej siarki, i potarł ją o pył kamienny, przyklejony do jednej strony pudełka. Zapalił swojego papierosa z marihuany.

Ciepła, północnoafrykańska noc pachniała grochówką.

- Masz rację - przyznał Grant. – Wypróbowaliśmy skarabeusza.

- Chcecie to powtórzyć?

Oboje przytaknęli.

- Wobec tego, czy mogę się do was przyłączyć?

- Masz na myśli trójkąt? - spytał napastliwie Grant.

Suzanna ścisnęła mu rękę.

- Dlaczego nie? To nasza ostatnia noc w Maroku. Jutro odlatujemy samolotem Air France, pijemy szampana i wracamy, odświeżeni, do naszego zawodu. Dzień później jemy lunch w The Commonwealth Brewery. Ale dzisiaj... Czemu nie?

- Nie mam żadnych chorób, panie - przekonywał Hakim. - Zawsze byłem bardzo skrupulatny.

Grant popatrzył na jego poliniowaną, kubistyczną twarz i na oczy, które zdawały się unosić w powietrzu. Czuł zazdrość i urazę. Pamiętał jednak, że w ich pokoju hotelowym skarabeusz z Jajouki intensywnie odżywia się nektarem. Pamiętał też uczucie rozrywania się na atomy.

Hakim wszedł do sypialni już rozebrany. W pokoju panował mrok rozświetlony tylko małą lampką oliwną, której pływający knot palił się migotliwym płomieniem. Hakim był chudy i muskularny, jego sutki wyglądały jak dwa migdały. Całe ciało było starannie ogolone. Miał obrzezany i bardzo długi penis, z główką na kształt łba kobry.

Grant i Suzanna, też rozebrani, czekali na niego, leżąc na wymiętoszonym łóżku. Dwa pudełka z oliwkowego drewna spoczywały między nimi. Ku własnemu zdumieniu Grant poczuł erekcję, kiedy tylko Hakim zjawił się na progu; kiedy zaś wspiął się na durrey i spoczął obok nich,

a Suzanna ujęła jego członek i z ekscytującym uśmiechem wodziła po nim ręką w górę i w dół, erekcja Granta była już silniejsza niż kiedykolwiek.

- Teraz ty... - powiedziała Suzanna, biorąc rękę Granta i wkładając ją między nogi Hakima. Grant zorientował się, że ściska i pieści gładki, kawowego koloru penis Hakima, i toczy palcami jego bezwłose jądra. Nigdy jeszcze nie dotykał w ten sposób żadnego mężczyzny, a teraz był tak podniecony, że zaczął ciężko dyszeć.

Suzanna otworzyła pierwsze pudełeczko i wysssała lakierowaną rurką pierwszego chrząszcza.

- Ten będzie dla ciebie, Hakimie - wyjaśniła i mocno ujęła jego sztywny członek. Grant ujrzał, jak chudy brzuch Hakima cofa się, kiedy Suzanna wsuwała rurkę wewnątrz jego penisa. Suzanna zwolniła kciuk i skarabeusz został głęboko w środku. Z czubka członka Hakima pociekła krew, a Suzanna pochylała się i zlizwała ją. Grant śledził jej ruchy z zazdrością i wzrastającym podnieceniem.

Teraz Suzanna umieściła drugiego chrząszcza w penisie Granta. Przechodził to już po raz drugi, więc czuł straszliwy ból. Kurczowo złapał się durry i już chciał krzyknąć, ale się opanował. Nie chciał okazywać słabości przy Hakimie.

W pokoju szemrała muzyka z Radio Cairo. Oliwna lampka rzucała na sufit koronkowe cienie. Suzanna położyła Hakima na wznak, a sama ułożyła się na nim, opierając się plecami o jego piersi.

Sięgnęła w dół, chwyciła jego klinowaty penis i umieściła go między swoimi pośladkami. Potem z najniezwykłym popychaniem, kręceniem się i dyszeniem, jakie Grant kiedykolwiek w życiu widział, nadziewała się na niego coraz bardziej i bardziej, tak że w końcu członek Hakima był w niej zagłębiany aż po kawowego koloru mosznę.

Z pochwy Suzanny ciekły soki jak miód z odłamanego plastra. Nie musiała dawać znaku Grantowi, że teraz jego kolej wspiąć się na nią - na nich oboje. Znalazł miejsce, żeby uklęknąć wśród płataniny czterech nóg i wsunął swoją swędzącą erekcję w jej pochwę. Jego jądra zderzyły się zjądrami Hakima, a Suzanna nie mogła oprzeć się pokusie mieszania ich razem, jakby była gwałcona przez dwupenisowego, czterojądrowego potwora.

Obaj zaczęli wbijać się w nią coraz mocniej i mocniej. Pocili się i oddychali ciężko, przy zawodzącej muzyce z radia. Grant czuł pod sobą śliskie piersi i przynaglające uda, a jego jądra uderzały w jądra Hakima w takt: Nadchodzą Anglicy! Nadchodzą Anglicy! Wyczuwał Hakima przez cienką, śliską przeponę, dzielącą pochwę od odbytnicy. Ich penisy walczyły z sobą: penis chrześcijanina z penisem mahometanina, oddzielone od siebie tylko najdelikatniejszą, rozciągliwą skórą.

W pewnym momencie Suzanna osiągnęła orgazm i zadrżała jak ziemia w Agadirze podczas trzęsienia. Jądra obu mężczyzn zostały zalane jej sokami, ale nie przestali wbijać się w nią, aż Hakim wytrysnął i Grant wytrysnął, i cała trójka została zamknięta w kokonie najwyższego uniesienia, wywołanego chemicznie. Znajdowali się w przestrzeni, zawieszona w innej przestrzeni, która była zawieszona w jeszcze innej przestrzeni.

Oba skarabeusze były jednak samcami. I ten, który przylgnął do wylotu penisa Granta, i ten, który przylgnął do wylotu penisa Hakima. Odległość między nimi wynosiła zaledwie centymetr. Odkryły wzajemną obecność nie poprzez zapach czy dźwięk, ale wyczuwając wibrację osłon ich skrzydełek, które drgały przy wydzielaniu podniecających chemikaliów. Oba były ślepo zawziętymi, wzajemnymi wrogami.

Grant zagłębiał penis raz po raz, mając wrażenie, że jest w niebie. Hakim robił to samo, śniąc o tańcach i fujarkach, i słońcach wybuchających nad pustynią. Przeżywali orgazm za orgazmem. A przez cały ten czas skarabeusze przedzierały się przez ciało Suzanny, oszalałe z wzajemnej nienawiści, wydzielając coraz więcej chemikaliów.

Suzanna osiągnęła jeszcze jeden wstrząsający orgazm. Wtedy właśnie skarabeusze przedarły się przez ściankę jej pochwy i zaczęły walczyć. Z pochwy trysnęła krew i zalała durry, ale ani ona, ani Grant, ani Hakim nie byli świadomi, co się dzieje. Im bardziej zawzięcie walczyły z sobą skarabeusze, tym silniejsze były wydzielane przez nie chemikalia, a trójka ludzi na łóżku trwała i trwała w nie kończącym się spazmie.

Godzina po godzinie skarabeusze ścigały się wzajemnie, przegryzając się przez macicę, nerki i jelito. Przedzierały się przez arterie, rozszarpały błony śluzowe. Przegryzały się przez wątrobę i tkankę płucną. Krew wypełniała wszystkie wydrążenia. Suzanna przeżyła kolejny orgazm, a potem nagle ogarnął ją ból. Żołądek i jelita zaczęły ją piec tak, jak gdyby połknęła kwartę benzyny i podpaliła ją. Krzyczały w niej wszystkie nerwy.

Suzanna też krzyczała, nawet wtedy doznała jeszcze jednego orgazmu. Skarabeusze były maleńkie, ale ich szaleństwo było szaleństwem pustyni, szaleństwem walki o przetrwanie. Łóżko nasiąkało krwią, która chlupotała, podczas gdy Grant i Hakim wybuchali jak bomby wodorowe.

Ręce Suzanny zatrzepotały i opadły, a nogi stopniowo zeszywniały.

Właściciel hotelu Africanus otworzył drzwi i pokazał kapitanowi Hamidowi, co się wydarzyło. Na łóżku było tyle krwi że wyglądało na to, iż ktoś przyniósł pełne jej wiadro z pobliskiej rzeźni i posmarował nią durry i trzy osoby, leżące na nim w tej chwili jak nieżywe. Dziewczyna miała pobladłą twarz i rzeczywiście nie żyła. Mężczyźni byli odrażająco pokrwawieni, ale spali mając na twarzach wyraz szczęścia. Siatkowe firanki falowały w porannym wietrzyku.

Kapitan Hamid dotknął kostki dziewczyny. Skóra była zimna. Krew już wyschła. Podniósł jedno z otwartych pudełek z drewna oliwkowego i powąchał je, a potem podał sierżantowi, który też je powąchał.

- Tak, to haszysz - potwierdził.

Na komisariacie policji kapitan Hamid, siedząc pod bezustannie pracującym wentylatorem, otworzył ostrożnie drewniane pudełeczko i postawił je na stole.

- Tak, to jest jedno z pudełek, w których trzymaliśmy skarabeusze. Scarabaeidae jajoukae. Profesor Hemmer z Tangier Institute opowie panu o nich.

Kapitan Hamid nosił bardzo starannie przystrzyżony wąsik. Jego wąsik przypominał Grantowi mały żywopłot, który oglądał w meczecie Kutubija w Marrakeszu.

- Przykro mi, ale nie ma ani takiego profesora, ani takiego instytutu.

- Nie pojmuję. Pojechaliśmy po nie do Jajouki w Little Hills.

- Jajouka? Przykro mi, ale nie ma takiej miejscowości.

- Ależ myśmy tam byli. Znaleźliśmy tam skarabeusze i przywieźliśmy je z sobą.

- Przykro mi, ale takich skarabeuszy nie ma.

- Przecież widzieliśmy je na własne oczy. Na litość boską, one zabiły Suzannę!

Kapitan Hamid posunął w jego stronę paczkę papierosów Casa Sport i pudełko zapalek z brązowego papieru.

- Pańska przyjaciółka umarła na skutek perforacji jelita, spowodowanej brutalnym stosunkiem analnym. Skarabeusz, przyjacielu? Nie ma takiej rzeczy. Ktoś naopowiadał panu kłamstw.

Mężczyzna w białym ubraniu włożył kapelusz. Zobaczył wyraz smutku, przebiegający po twarzy Granta, jak cień chmury przesuwającej się nad Saharą.

- Doktorze Donnelly, przepraszam za moją niegrzeczność.

- Nie, nie - powiedział Grant. - Nie musi pan przepraszać. Oto, proszę... - dodał, wyjmując swój bilet wizytowy.

Mężczyzna wziął wizytówkę i trzymał ją niepewnie.

- Chce pan, żeby zatelefonować, kiedy wróci pan do Bostonu? - spytał.

- Chciałbym, żeby pan był ze mną w kontakcie. Jeśli zdarzyłoby się, że znalazł pan to, czego szuka. Rzucił mężczyźnie ostatnie, znaczące spojrzenie. Potem poszedł przez błyszczący, wykafelkowany hall hotelu Splendid w stronę swojej żony. Ogarniała go taka żądza, że ledwie mógł mówić.

## KSZTAŁT BESTII

Northwood, Middlesex

Wróciliśmy z lotniska. Pozostało jeszcze ostatnie miejsce gdzie musimy się zatrzymać: Falworth Park w Northwood, w hrabstwie Middlesex. Jest to jedna z tych wiosek, które uległy urbanizacji skutkiem niepohamowanego rozrostu przedmieść. W pamięci współczesnych zachowały się polne drogi, farmy i wiejskie puby; można także znaleźć ślady życia dawnej wsi: przełazy, końskie żłoby opuszczone stodoły.

W wieku dziecięcym czułem się bardzo zadowolony w Northwood i w Hatch End, gdyż odwiedzałem regularnie moich dziadków, mieszkających w pobliskim Pinner. Dziadek, Thomas Thorne Baker, był wynalazcą farby odbłaskowej i techniki przesyłania fotografii prasowych drogą radiową. Przesiadywałem godzinami w jego laboratorium, bawiąc się wagami chemicznymi i przeszkadzając mu. Nigdy nie okazywał niezadowolenia.

Między dziadkami i wnukami istnieje zawsze pewna szczególna więź. Kształt bestii ukazuje przykład takiej więzi, wraz z nieprzyjemnymi jej konsekwencjami.

Robert klęczał na siedzeniu przy oknie, opierając ręce o szybę i patrząc, jak wiatr pędzi liście po trawniku. Chmury przelatowały po niebie z nienaturalną szybkością, a drzewa kołysały się, jakby chciały z przestachu uwolnić się od korzeni.

Wichura trwała całe popołudnie, wyjąc w szczelinach drzwi, atakując kominy i rycząc głucho w przewodach kominków.

Najbardziej jednak niepokoiły Roberta drzewa. Nie z powodu ich bezustannego pochylania się i falowania, ale z powodu niesamowitych kształtów, pojawiających się wśród bezlistnych gałęzi. Każde drzewo wydawało się gęsto otoczone czarownicami, złośliwymi karłami i niemożliwymi do opisanie demonami: splatające się gałązki tworzyły ich pootwierane usta, a oczami były nieliczne drżące listki, nie stracone jeszcze przez październikowe wichry.

W odległym końcu długiej, łukowatej alei wjazdowej rósł olbrzymi dąb. W jego najwyższych gałęziach szalał potwór którego Robert bał się najbardziej. Skomplikowany układ rozwidleń i odgałęzień formował zwierzę w kształcie olbrzymiego dzika, z czterema krzywymi kłami i małym, złośliwym oczkiem, które w rzeczywistości było kałużą, położoną o prawie dwieście metrów dalej. Kiedy wiatr się wzmaczał - oko mrugało, a bestia jeżyła garbaty grzbiet.

W takich chwilach jedynym marzeniem Roberta było móc oderwać od niej wzrok.

Bestia trwała jednak na swoim miejscu i pochłaniała jego uwagę podobnie jak motyw maski weneckiej na gobelinie albo małe, szczerzące zęby pieski na tkaninie poduszek, a nawet szeregi ubranych w purpurowe płaszcze mężczyzn, odwróconych konspiracyjnie plecami w stronę realnego świata - ze wzoru na tapetach ściennych. Robert żył w świecie tajemniczych twarzy, naturalnych wzorów i abstrakcyjnych map.

Kłęczał jeszcze na siedzeniu przy oknie, kiedy wszedł dziadek, niosąc talerz z tostami i szklankę zimnego mleka. Dziadek usiadł koło niego i przyglądał mu się długo. Potem wyciągnął rękę o skórze jak pergamin i dotknął ramienia chłopca, jak gdyby chciał go pocieszyć.

- Telefonowała twoja matka - powiedział. - Obiecała, że przyjedzie jutro po południu.

Spojrzał z ukosa na dziadka. Robert był szczupłym, bladym chłopcem z odstającymi uszami, o delikatnych rysach drobnej twarzy, ostrzyżonym krótko, niemodnie. Oczy świeciły mu jak agaty. Nosił szary, szkolny sweter, szare spodnie i czarne, sznurowane buty.

- Przyniosłem ci parę tostów - mówił dziadek. Był siwy i przygarbiony, ale widać było, że ma klasę. Ktokolwiek by wszedł w tej chwili do biblioteki, zorientowałby się natychmiast, że stanowią parę: dziadek i wnuk. Może po podobieństwie uszu. Może jeszcze po czymś. Empatia czasem przeskakuje jedno pokolenie, w rezultacie czego młodzi i starcy osiągają szczególną bliskość, taką jaka nie zawsze staje się udziałem matek.

Robert wziął tost i zaczął go skubać.

- Zjadłeś niewiele podczas lunchu, więc pomyślałem, że możesz być głodny - dodał dziadek. - Na litość boską, nie czuj się winny. Ja też nie lubię zapiekanki z mięsem i cynaderkami, szczególnie wtedy, kiedy są w niej same cynaderki, a ciasto jest przypalone. To kucharka upierała się, żeby ją zrobić.

Robert zastanowił się. Nigdy przedtem nie słyszał, żeby ktoś dorosły mówił w ten sposób o jedzeniu. Wyobrażał sobie, że dorośli lubią wszystko, niezależnie od tego czy jest obrzydliwe, czy nie. To przecież oni kazali mu jeść ryby, kalafiory, fasolę i tłustą baraninę, chociaż mdliło go na sam widok takiego jedzenia. Matka zawsze kazała mu zjadać wszystko do końca, jeśli nawet siedział godzinami nad talerzem; kiedy inni dawno już skończyli, w pokoju robiło się coraz ciemniej, a zegar wydzwaniał kolejne godziny.

Natomiast dziadek nie tylko potwierdzał, że zapiekanka mięsno - cynaderkowa była okropna, ale w dodatku nie kazał mu jej jeść. Było to coś niezwykłego. Po raz pierwszy od długiego czasu doznał uczucia, że w przyszłości może być lepiej.

Od Bożego Narodzenia, a właściwie od kolacji wigilijnej nie miał się z czego cieszyć. Jego ojciec wpadł w furję, matka płakała, a wszyscy goście wiercili się na krzesłach i mamrotali pod

nosem z zażenowania. Rano następnego dnia matka spakowała walizki i wyjechała, a dziadek zabrał go do siebie.

Robert czekał w pachnącym skórzanymi siedzeniami daimlerze dziadka, patrząc jak krople deszczu spływały wężykami po przedniej szybie, podczas gdy jego ojciec i dziadek rozmawiali z sobą na ganku.

- Pewnie nie zauważyłeś, że już od dłuższego czasu twoi rodzice nie byli z sobą szczęśliwi - mówił dziadek, kiedy jechali w deszczu przez Pinner i Northwood. - Czasem tak się zdarza, że ludzie po prostu przestają się kochać. To bardzo smutne, ale nic nie można na to poradzić.

Robert siedział w milczeniu, patrząc na rzędy podmiejskich domków z mokrymi, pomarańczowymi dachami i małymi, nędznymi ogródkami. Czuł się zbolały do granic wytrzymałości. Kiedy zatrzymali się w pubie The Bell na Pinner Green, żeby dziadek mógł wypić małą whisky i zjeść kanapkę, a on sam napić się coca-coli i zjeść torebkę frytek, nie wiedział, że po policzkach ciekną mu łzy.

Mieszkał w Falworth Parku już od trzech tygodni. Jego pradziadek był kiedyś właścicielem tego majątku: domu, farmy i trzydziestu sześciu akrów ziemi, ale większość z tego pochłonął podatek spadkowy, tak że dziadek zajmował obecnie tylko osiem pokoiów we wschodniej stronie domu, natomiast zachodnie i południowe jego skrzydło zajmowały dwie inne rodziny.

- Nie nudzisz się? - spytał dziadek, kiedy siedzieli obok siebie przy oknie. - Poszukam wyrzynarki do drewna.

Robert potrząsnął głową.

- Siedzisz tu od wielu godzin.

Chłopiec rzucił mu krótkie spojrzenie.

- Lubię patrzeć na drzewa.

- Tak - powiedział dziadek. - Czasem widać w nich twarze.

Robert patrzył na dziadka z otwartymi ustami. Nie wiedział, czy ma się bać, czy cieszyć. Skąd dziadek mógł wiedzieć, że widział w drzewach twarze? Nigdy nikomu o tym nie mówił, bojąc się, że zostanie wyśmiany. Albo dziadek czytał w jego myślach, albo...

- Widzisz to? - mówił dziadek bardzo zwyczajnie, wskazując na młode dęby, rosnące wzdłuż końcowej części alei wjazdowej. - Na tych drzewach, wśród górnych gałęzi, mieszkają dzikie koty; pod nimi żyją skrzaty... Zawsze przygarbione, przebiegłe i skwaszone.

- Przecież tam nic nie ma - odrzekł Robert. - Oprócz gałęzi.

Dziadek uśmiechnął się i poklepał go po ramieniu.

- Nie oszukasz mnie, młodzieńcze. Liczy się to, co widzisz między gałęziami.

- Ależ tam nic nie ma... Nic realnego. Widać tylko niebo.

Dziadek obrócił się i popatrzył na drzewa.

- Świat ma swój zewnętrzny kształt i zarazem wewnętrzny.

Skąd wiem, że siedzisz przy mnie? Ponieważ cię widzę, jesteś bowiem pozytywem swojego kształtu. Ale masz przy tym kształt swojego negatywu, który jest utworzony przez przestrzeń, w której cię nie ma.

- Nie rozumiem - zmartwił się Robert.

- To nic trudnego - odparł dziadek. - Musisz tylko szukać rzeczy, których w danym miejscu nie ma, zamiast rzeczy, które tam są. Popatrz na ten wielki dąb na końcu alei. Mogę na nim zobaczyć bestię. Albo raczej brak bestii. A przecież ta bestia jest w pewien sposób równie rzeczywista jak ty. Ma typowy kształt, ma zęby i pazury. Możesz ją zobaczyć. A jeśli możesz ją zobaczyć, to jak może być mniej realna niż ty?

Robert nie wiedział, co o tym sądzić. Dziadek rozumował tak przekonywająco. Żartował, czy naprawdę tak myślał?

Wiatr stukał deszczem po szybach; wśród młodych dębów dzikie koty huštały się na niepewnych gałązkach, a garbate skrzaty robiły zwody i uniki.

- Coś ci opowiem - rzekł dziadek. - W latach pięćdziesiątych, kiedy szukałem minerałów w Australii, przekraczałem pewnego razu głęboki wąwóz, w pobliżu góry Olga, w którym widać było z daleka coś na kształt złoża miedzi. Chciałem zbadać ten wąwóz, ale mój przewodnik, aborygen, odmówił pójścia ze mną. Kiedy zapytałem go o powód odmowy, powiedział, że mieszka tam straszny stwór o nazwie Woolrabunning, co znaczy - "byłeś tu, ale znowu poszedłeś". Oczywiście, nie uwierzyłem w to. Któż by uwierzył? Tak więc pewnego popołudnia poszedłem sam do wąwozu. Było bardzo cicho, wiał tylko lekki wiatr. Zgubiłem się i dopiero tuż przed zapadnięciem ciemności znalazłem pozostawione przez siebie znaki orientacyjne. Znajdowałem się na samym dnie wąwozu, głęboko w cieniu. Usłyszałem coś, jakby warczenie zwierzęcia. Uniosłem głowę i zobaczyłem tego stwora tak wyraźnie, jak teraz widzę ciebie. Był podobny do olbrzymiego wilka, tylko głowę miał większą niż wilk i masywniejsze barki. Nie miał ciała ani futra. Był uformowany całkowicie z przestrzeni zawartej między drzewami a skalnymi nawisami.

Robert popatrzył przestraszony na dziadka.

- Co wtedy zrobiłeś? - wyszeptał.

- Zrobiłem jedyną możliwą rzecz. Uciekłem. Ale wiesz co? On pogonił za mną. Do dziś dnia nie wiem jak. Kiedy wdzierałem się na ściany wąwozu, słyszałem tuż za sobą zgrzytanie jego pazurów na skałach, słyszałem, jak dyszy i mogę przysiąc, że czułem na karku jego gorący oddech. W pewnym momencie upadłem i rozplątałem sobie nogę... To znaczy, nie wiem, czy rozdarł mi ją Woolrabunning, czy skaleczyłem się sam na skale lub na kolczastym krzaku. Spójrz i oceń.



Podciągnął lewą nogawkę spodni, odsłaniając białą, chudą łydkę. Robert pochylił się i zobaczył głęboką, niebieskawą bliznę, zaczynającą się przy kolanie i znikającą w szkockiej skarpetce.

- Trzeba było trzydziestu szwów, żeby to zeszyć – dodał dziadek. - Miałem szczęście, że nie wykrwawiłem się na śmierć. Możesz tego dotknąć, jeśli chcesz. To nie boli.

Robert nie chciał dotykać blizny, ale patrzył na nią długo ze zgrozą i z zafascynowaniem. Nie bestia - myślał - lecz brak bestii. Szukaj rzeczy, których nie ma, zamiast rzeczy, które są.

- Czy wiesz, co powiedział mój przewodnik? – spytał dziadek. - Powiedział, że powinienem był zostawić za sobą coś do jedzenia, wówczas Woolrabunning przestałby mnie ścigać.

Następnego dnia Robert poszedł po lunchu na spacer. Wichura się uspokoiła. Ogrody różane i trawniki usłane były liśćmi i patykami. Drzewa stały cicho i nieruchomo. Robert słyszał tylko chrzęst żwiru pod własnymi krokami i odległy turkot kół pociągu.

Minął dwie granitowe kolumny u wejścia do alei. Na każdej z nich stał kamienny lew, trzymający tarczę pokrytą herbami. Jeden z lwów nie miał prawego ucha i kawałka szczęki. Oba były gęsto pokryte mchem. Robert uwielbiał je, kiedy był mały. Nazwał je: Duma i Zraniony. Kiedyś spacerowali - matka, ojciec i on - w pobliżu lwów, i wtedy matka powiedziała do ojca: "Troszczysz się tylko o swoją zranioną dumę". Potem dowiedział się w przedszkolu, że stado lwów również jest nazywane "dumą". [W języku angielskim дума to pride. Stado lwów to także pride.] Od tamtej pory słowa matki i lwy połączyły się nierozdzielnie w jego głowie.

Położył rękę na odłamanym uchu Zranionego, jakby chciał go pocieszyć. Potem poszedł do Dumy i pogłaskał ją po zimnym, kamiennym nosie. Gdyby tak lwy ożyły i poszły z nim na spacer po parku, wypuszczając przy każdym oddechu małe kłębki pary. Może nauczyłyby je aportować patyki.

Szedł sam wzdłuż alei. Dzikie koty siedziały na górnych gałęziach drzew, przyglądając mu się złośliwie oczkami w kształcie liści. Skrzaty poukrywały się w zagięciach i rozwidleniach dolnych gałęzi. Czasem dostrzegał któregoś, zaczajonego za pniem drzewa, ale kiedy się zbliżał, żeby przypatrzeć mu się z bliska, skrzat znikał, a kształt, który tworzył jego twarz, zmieniał się na zupełnie inny albo stawał się tłem, albo w ogóle niczym.

Na chwilę przystanął - samotny w wielkim parku, mały chłopiec w tradycyjnym tweedowym płaszczu z welwetowym kołnierzem, otoczony tworam własnej wyobraźni. Czuł strach; idąc oglądał się za siebie, żeby się upewnić, że dzikie koty i skrzaty nie schodzą z drzew i nie zaczynają iść za nim, stąpając ostrożnie, żeby nie robić hałasu na żwirze.

Wiedział, że musi pójść aż do wielkiego dębu, aby zobaczyć garbatego stwora, który dominował wśród innych - Woolrabunninga z Falworth Parku. Byłeś tu, ale znów odszedłeś. Lecz jesteś tu cały czas, ponieważ widzę twoją sylwetkę.

Stanął naprzeciw dębu. Podobna do świni bestia wyglądała inaczej z miejsca, w którym się znajdował: była szczuplejsza i miała mniej zwięzającą się czaszkę. Rozpoznawał przygarbione barki, ale szczęki były znacznie gęściej obsiane zębami. Robert patrzył na nią długo, aż usłyszał łagodny szum mżawki.

- Nie goń za mną, proszę cię - rzekł Robert do bestii, która była tylko kawałkiem pustej przestrzeni wśród gałęzi drzewa. - Masz tu... Przyniosłem ci coś do jedzenia.

Wyjął ostrożnie z kieszeni płaszcz białą papierową serwetkę i położył na trawie u stóp dębu. Rozwinął ją, żeby pokazać bestii, co jej przyniósł. Była to ostro przyprawiona kiełbaska wieprzowa, zabrana z lunchu, jego ulubiona potrawa, szczególnie kiedy była przyrządzona zgodnie z wymaganiami dziadka: popękana, chrupiąca i dobrze wysmażona. Ze strony Roberta była to znaczna ofiara.

- Smacznego - powiedział do bestii, składając jej ukłon. Potem odwrócił się i wolnym, miarowym krokiem zaczął iść w stronę domu.

Tym razem nie śmiał oglądać się za siebie. Czy bestia zlekceważy jego poczęstunek i pogoni za nim, tak jak Woolrabunning pogonił za dziadkiem i rozerwał mu nogę? Czy powinien zacząć biec, żeby chociaż mieć jakąś szansę dotarcia do domu i zatrzaśnięcia drzwi, zanim dopadnie go bestia? A jeśli ucieczka rozbudzi instynkt łowiecki bestii, która wówczas rzuci się za nim w pościg?

Szedł coraz szybciej wzdłuż drzew, gdzie mieszkały dzikie koty, natężając słuch w oczekiwaniu odgłosu pierwszych, ciężkich susów. Wkrótce już prawie biegł z wyprostowanymi kolanami, pracując obszernie ramionami. Przebiegł obok Dumy i Zranionego i wówczas usłyszał za sobą chrzęst żwiru oraz cichy, głęboki warkot...

W stronę domu jechał powoli złocisty jaguar XJS.

Samochód miał włączone reflektory ze względu na popołudniowy zmrok, tak że oślepiiony Robert nie mógł zobaczyć kto w nim siedzi. Potem samochód wyprzedził go i Robert ujrzał machającą rękę oraz znajomy uśmiech. Pobiegł za samochodem aż do frontowych drzwi domu.

- Mama! - krzyknął, kiedy wysiadła z fotela obok kierowcy. Objął ją w pasie i trzymał mocno. Była tak ciepła, domowa i piękna, że nie mógł uwierzyć, iż kiedykolwiek go opuściła.

Rozczochrała mu włosy i pocałowała go. Miała na sobie płaszcz z futrzanym kołnierzem, którego do tej pory nie widział, i pachniała innymi perfumami: perfumami dla boatych kobiet.

Miała też nową, iskrzącą się broszkę, która podrapała mu policzek, kiedy schyliła się, żeby go pocałować.

- Bardzo śmiesznie biegłeś - oznajmiła. - Gerry powiedział, że wyglądałeś jak nakręcony żołnierz.

- Gerry?

- Oto Gerry - wskazała. - Wzięłam go z sobą, żebyście się poznali.

Robert zmarszczył brwi. W głosie matki było jakieś napięcie. Czuł, że coś jest nie w porządku. Z samochodu wyszedł z wyciągniętą ręką wysoki mężczyzna o ciemnych, zaczesanych do tyłu włosach. Miał na twarzy wyraz ciężkiego kaca, a jego oczy były tak niebieskie, jak dwa kawałki śródziemnomorskiego nieba, wycięte z reklamy biura podróży.

- Halo, Robercie - odezwał się, trzymając wyciągniętą rękę. - Mam na imię Gerry. Dużo o tobie słyszałem.

- Naprawdę? - spytał naiwnie Robert. Spojrzał na matkę w oczekiwaniu jakiegoś wyjaśnienia, ale ona tylko uśmiechała się i kiwała głową.

- Słyszałem, że lubisz budować modele samolotów - mówił Gerry.

Robert zarumienił się. Modele samolotów były jego tajemnicą: częściowo dlatego, że nie bardzo mu to wychodziło (choć matka myślała inaczej, nawet gdy nakładał zbyt dużo kleju na skrzydła albo połamał kalki lub też przyklejał osłonę kokpitu, nie dbając o uprzednie pomalowanie pilota). Częściowo zaś ponieważ... ponieważ to była jego prywatna sprawa i koniec. Nie mógł pojąć, skąd wie o tym Gerry. Chyba że matka wszystko mu o nim opowiedziała.

Dlaczego tak postąpiła? Kim był "Gerry"? Robert nigdy o nim nie słyszał, a tymczasem tamtemu się wydawało, że ma prawo wiedzieć o jego modelach samolotów, wozić jego matkę w swoim pretensjonalnym XJS i zachowywać się, jakby był właścicielem całej okolicy.

Z domu wyszedł dziadek Roberta. Ubrany był w swój musztardowego koloru sweter z Fair Isle. Miał dziwny wyraz twarzy, jakiego Robert jeszcze u niego nie widział: podniecony zażenowany, a równocześnie wyzywający.

- Och, tatusiu, jak cudownie zobaczyć się z tobą - oznajmiła matka Roberta, całując go. - To jest Gerry. Gerry, to jest tata.

- Przepraszamy za wcześniejszy przyjazd - uśmiechnął się Gerry, ściskając dłoń dziadka. - Osiągnęliśmy znacznie lepszy czas na M40, niż zakładałem. Był spory ruch, ale dość szybki.

Dziadek Roberta spojrzał podejrzliwie i z niechęcią na XJS.

- Mam wrażenie, że w takiej rzeczy można podróżować całkiem szybko.

- Wie pan, to bardzo śmieszne, ale nigdy nie myślałem o nim jak o "rzeczy". Zawsze uważałem, że to jest "ona".

Dziadek Roberta odwrócił wzrok od XJS i w sposób umiarkowanie ostentacyjny więcej na niego nie spoglądał. Cichym głosem, jakby mówił do siebie, powiedział:

- Przedmiot pozostaje przedmiotem i tylko o kobiecie można powiedzieć "ona". Zawsze miałem przekonanie, że mężczyźni, którzy traktują kobiety na równi z okrętami, samochodami i dobranymi do nich rupieciami, nie zasługują na nic więcej niż na okręty, samochody i dobrane do nich rupiecie.

- A zatem - wzburzył się Gerry. - Chacun á son goût. - Równocześnie posłał matce Roberta spojrzenie znaczące: Mówiłaś, że będzie z nim trudno. Nie żartowałaś. Ona wzruszyła ramionami i starała się przybrać minę, jak gdyby wcale się nie zanosilo na najgorszy weekend w jej życiu. Poza tym ostrzegła Gerry'ego. Ale Gerry nalegał na "spotkanie z rekrutem i z dziadziusem też... I ze wszystkim, co przychodzi ze zdobytym terenem".

Robert stał w pobliżu otwartego bagażnika samochodu, podczas gdy Gerry wyciągał walizki.

- Jak ci się podobają? - spytał Gerry. - Ręcznie preparowana świńska skóra z solidnymi, mosiężnymi zamkami. Specjalna oferta Diner's Club.

Robert wciągnął nosem powietrze.

- Śmierdzą wymiotami.

Gerry postawił walizki i zamknął bagażnik. Srogim wzrokiem patrzył długo na Roberta. Chciał wyrzucić na nim wrażenie. Tymczasem jego milczenie i jego wzrok znudziły Roberta. Spojrzał w stronę Zranionego i Dumy, myśląc o bieganii z nimi wśród drzew.

- Miałem nadzieję, że możemy być przyjaciółmi - powiedział Gerry.

Przyjaciółmi? Jak możemy być przyjaciółmi? Ja mam dziewięć lat, a ty masz sto. Poza tym nie chcę mieć przyjaciół. Nie teraz. Mam Zranionego i Dumę, Dziadka i Mamę. Po co mi przyjaźń z tobą?

- Co o tym sądzisz? - nalegał Gerry. - Będziemy przyjaciółmi, dobrze?

- Jesteś za stary - odparł bez ogródek Robert.

- Co to, do cholery, znaczy: za stary? Mam trzydzieści osiem lat. Nawet nie czterdzieści. Twoja matka ma trzydzieści sześć.

Robert westchnął niecierpliwie.

- Jesteś za stary, żeby być moim przyjacielem.

Gerry przykucnął, tak że jego wielka, sina od czarnego zarostu twarz znalazła się na tym samym poziomie co buzia Roberta. Z butą posiadacza oparł łokieć na masce samochodu.

- Nie miałem na myśli takiej przyjaźni. Chciałem, żebyśmy byli takimi przyjaciółmi jak ojciec z synem.

Roberta zafascynowała brodawka usadowiona w fałdzie nosa Gerry'ego. Dziwił się, że Gerry nie pomyślał o tym, żeby ją wyciąć. Czyżby jej nie zauważył? Musiał ją widzieć codziennie w lustrze. Była taka wielka. Gdybym ja miał taką, sam bym ją odciął. A gdyby tak krwawiła bez końca? Przypuśćmy, że bym ją odciął, a potem nic nie powstrzymałoby wypływającej krwi? Co byłoby lepsze: umrzeć w wieku dziewięciu lat, czy mieć na zawsze taką wielką brodawkę jak Gerry?

- Myślisz, że to możliwe? - przymilał się Gerry.

- Co? - zapytał Robert, myśląc o czymś innym.

- Czy sądzisz, że to możliwe? Czy mógłbyś to zrobić dla mnie, a jeśli nie dla mnie, to dla twojej matki?

- Przecież mama nie ma brodawki.

Przez chwilę wydawało się, że wszechświat zamarł. Robert zobaczył, jak ręka Gerry'ego wyciąga się w jego stronę. Nie pamiętał nic więcej poza tym, że leżał bokiem na żwirze, oszołomiony, widząc gwiazdy i słysząc z dziwnym pogłosem, jak Gerry mówi:

- Podnosiłem walizkę... Nie wiedziałem, że on tam jest...

Właśnie nadbiegł. Musiał nadziać się twarzą na mosiężne okucie.

Odmówił zejścia na kolację i został w łóżku, czytając Groch z kapustą Edwarda Leara. "Popłynęli na morze w sitach... w sitach popłynęli na morze". Lubił wiersze o...Jeziorach o Potwornej Strefie, i o wzgórzach Chankly Bore. Było tam obco, smutno i groźnie, mimo to Robert tęsknił do tej krainy. Pojechałby gdziekolwiek, byle nie zostawać tu i nie słuchać matowego, wysokiego śmiechu matki, rozlegającego się w całym domu, zupełnie innego niż zwykle. W jaki sposób Gerry doprowadził do tego, że tak się perfumowała, że stała się nieczuła i obca? Uwierzyła mu nawet, że Robert uderzył się o walizkę. Co miał powiedzieć, kiedy przytulała go i głaskała po włosach? Gerry mnie uderzył?

Dzieci potrafią mówić o wszystkim, ale nie o takich rzeczach. Wyznanie: Gerry mnie uderzył, wymagałoby więcej sił i opanowania, niż miał ich kiedykolwiek.

Przyszedł dziadek, niosąc tackę z zapiekanką z mięsa i ziemniaków i szklankę coca-coli ze słomką.

- Dobrze się czujesz? - zapytał, siadając w nogach łóżka Roberta i patrząc, jak je. Na dworze panowała ciemność, a mimo to zasłony w sypialni były szczelnie zaciągnięte. Mimo że tapety pełne były tajemniczych mężczyzn w płaszczach, którzy do tej pory nie chcieli się odwrócić, Robert miał uczucie, że nigdy tego nie zrobią, a przynajmniej nie tej nocy. Było cicho, słyszał jedynie musowanie coca-coli.

- Nienawidzę Gerry'ego - powiedział.

Dziadek położył mu na kolanach swoją pomarszczoną dłoń.

- To oczywiste - odparł.

- On ma brodawkę.

- Ja też mam.

- Ale niewielką i z boku nosa.

- Tak, niewielką i z boku nosa.

Robert nabrał na widelec kawałek zapiekanki. Dziadek obserwował go z jakimś niezwykłym smutkiem.

- Muszę ci coś wyjaśnić, Robercie.

- Co takiego?

- Twoja matka... No cóż; twoja matka jest bardzo zaprzyjaźniona z Gerrym. Bardzo go lubi. Czuje się przy nim szczęśliwa.

Robert przestał jeść i odłożył widelec.

- Twoja matka chce wyjść za niego. Chce rozwieść się z twoim ojcem i wyjść za Garry'ego - mówił z przykrością dziadek.

- Jak ona może wychodzić za niego? - spytał zdumiony Robert.

W oku dziadka błysnęła iskierka podejrzania. Ścisnął kolano Roberta i powiedział:

- Przykro mi. Ona go kocha. Ona go naprawdę kocha, on ją uszczęśliwia. Nie można decydować o życiu innych ludzi. Nie można wskazywać im, kogo mają kochać, a kogo nie.

- Ale on ma brodawkę!

Dziadek zabrał tacę i postawił na podłodze, a potem objął Roberta. Trwali długo w uścisku, nic nie mówiąc, dzieląc wspólną udrękę.

Po pewnym czasie dziadek zapytał nieoczekiwanie:

- Na co ci była potrzebna kielbaska?

Robert poczuł, że się rumieni.

- Jaka kielbaska?

- Kielbaska, którą ściągnąłeś ze swojego talerza, owinąłeś serwetką i schowałeś do kieszeni.

Z początku Robert oniemiał. Dziadek wiedział tyle, że aż zapierało oddech. W końcu wydusił:

- Dałem ją bestii. Tej bestii na wielkim dębie. Poprosiłem ją, żeby mnie nie ściagała.

Dziadek pogłaskał go po czole tak delikatnie, że Robert ledwie to poczuł. Potem powiedział:

- Jesteś dobrym chłopcem, Robercie. Zaslugujesz na dobre życie. Powinieneś postępować tak, jak uważasz.

- Nie wiem, co masz na myśli.

Dziadek w rozmarzeniu pogłaskał go znów po czole.

- Mam na myśli to, że nie powinieneś marnować smacznych kiełbasek.

Niewiele po północy zerwała się wichura. Drzewa rozpoczęły w ciemności wściekły taniec derwiszów. Robert zbudził się i leżąc sztywno, wyteżał uszy, czy nie usłyszy chrzęstu czyichś stóp na żwirze podjazdu lub skrobania pazurami w okno. Miał wrażenie, że tej właśnie nocy wszystkie dzikie koty i skrzaty, wysmagane wiatrem, zeskoczą z drzew, wedrą się do domu i rozpoczną hulankę. Nastąpi orgia zębów, zaczerwienionych oczu i oddechów o zapachu kory.

Dziś jest ta noc!

Usłyszał trzask okna, jeden, a potem drugi. Krzyk matki. O Boże! Gerry ją morduje! Dziś jest ta noc i Gerry ją morduje! Wskoczył z łóżka, włożył pantofle, otworzył drzwi i pobiegł korytarzem wołając: "Mamo... Mamo... Mamo..."

Wpadł do sypialni matki i zobaczył w blasku lampy wielki, biały tyłek Gerry'ego, z czarno owłosionym przedziałkiem i jego czerwony, błyszczący członek, posuwający się tam i z powrotem. Zobaczył twarz matki - przeobrażoną, patrzącą na niego. Spoconą, zaróżowioną i wyczerpaną. Twarz spoconej świętej. Twarz z wyrazem rozpacz.

- Robert! - krzyknęła, jak gdyby tonął.

Wybiegł z pokoju. "Robert!" zawołała za nim, ale on biegł dalej. W dół, po schodach, przez hall, do drzwi frontowych. Otworzył je - wichura gwałtownie wtargnęła do domu i pobiegł dalej po żwirze, minął Dumę i Zranionego, a potem tańczące dzikie koty i skrzaty.

Panował tak ogłuszający hałas, że Robert nie mógł zebrać myśli. Ale nie chciał myśleć. Słyszał wycie wiatru w otaczających drzewach i łoskot drzwi w domu, brzęczy jak kanonada artyleryjska: biegł i biegł, z rykiem krwi w uszach - spodnie jego piżamy trzepotały, targane wichurą - aż przy końcu alei zamajaczył olbrzymi dąb, kłaniający się z szacunkiem nawałnicy. Chwiał się jednak niewiele bardziej niż naturalnej wielkości drewniany okręt wojenny, z czasów gdy dębowego drewna używano do budowy statków oceanicznych.

Robert, ciężko dysząc, stanął przed dębem. Widział bestię poruszającą się wśród gałęzi. "Woolrabunning!" - krzyknął na nią. "Woolrabunning!"

Wydało mu się, że żwir pod jego stopami zafalował. Wiatr dźwięczał setkami różnych głosów. "Woolrabunning!" krzyknął znów. "Pomóż mi, Woolrabunning!"

Ogromny dąb zakołysał się i wyprostował, jak gdyby coś bardzo ciężkiego spadło z jego gałęzi. Robert wyteżył oczy w ciemności, ale niczego nie mógł dostrzec. Już miał krzyknąć jeszcze raz na Woolrabunninga, kiedy z hałasem zaczęło się do niego zbliżać coś olbrzymiego, coś, co rozdzierało pazurami darń i bryzgało żwirem.

Nie zdążył się odsunąć: Nie zdążył nawet krzyknąć. Coś szczeciniastego i masywnego uderzyło go w bok i powaliło na plecy, a potem minęło w pędzie, zostawiając za sobą smugę zimnego, cuchnącego powietrza. Coś niewidzialnego. Jakaś bestia. Albo raczej jej pusty kształt.

Podniósł się na nogi, ppotłuczony i zszokowany. Wiat wicherzył mu włosy. Słyszał, jak stwór biegnie w stronę domu. Słyszał go, ale nie widział. Dostrzegał tylko żwir pryskający spod jego pazurów.

Nie mógł się ruszyć. Nie miał odwagi pomyśleć, co się zaraz stanie. Usłyszał łoskot wywalanych drzwi frontowych. Usłyszał pęknięcie szkła i łomot przewracanych mebli. Usłyszał uderzenia i krzyki, a potem przeraźliwy wrzask, jakiego jeszcze nigdy nie słyszał i nie chciałby już nigdy usłyszeć.

Potem zapadła cisza, a on rzucił się w stronę domu.

Sypialnia tonęła w czerwieni. Po ścianach spływały firanki lepkiej krwi. Ale gorsze od krwi były wstążki ludzkiego ciała zwisające zewsząd jak dekoracje odpustowe. I ten słodkawy zapach rzeźni. Robert stał przy drzwiach i nie mógł się zorientować, co właściwie ogląda.

Poczuł, jak dziadek położył mu rękę na ramieniu. Obaj nic nie mówili. Nie mieli pojęcia, co się teraz stanie.

Poszli ręką w rękę wzdłuż podjazdu, między Zranionym i Dumą, między drzewami, na których siedziały dzikie koty i skrzaty.

Kiedy minęli Zranionego i Dumę, oba kamienne lwy obróciły sztywno głowy, otrząsnęły z siebie płaszcze z mchu, zeskoczyły miękko z cokołów i poszły za nimi.

Potem zeskoczyły z drzew dzikie koty i też dołączyły do pochodu; potem garbate skrzaty i karły, i elfy, i mężczyźni w purpurowych płaszczach. Szli wszyscy razem - duża, różnorodna kompania - aż doszli do wielkiego dębu, gdzie stanęli i pochylili głowy w ukłonie.

Nad nimi, wysoko wśród gałęzi, Woolrabunning ryczał i ryczał; był to ryk triumfu i żądzy krwi, który niósł się echem daleko poza Falworth Park.

Robert ścisnął mocno rękę dziadka.

- Kształt bestii! - wyszeptał z przejęciem. – Kształt bestii!

Wtedy dziadek dotknął jego twarzy w sposób, w jaki mężczyzna dotyka twarzy kogoś, kogo głęboko kocha. Za plecami ukrywał zakrwawiony nóż rzeźnicki. Nie był pewien, czy będzie w stanie wypróbować go na Robercie albo na samym sobie. Od dawna miał zamiar przeciąć sobie kiedyś gardło u stóp wielkiego dębu w Falworth Parku: może więc ta noc będzie równie dobra jak jakakolwiek inna.



Jeśli nawet znikną na zawsze - pozostaną ich kształty: jego, Roberta, dzikich kotów i chytrych skrzatów... i może to jest wszystko, na co człowiek może mieć nadzieję.